

Prof. Bogdan Góralczyk
Prawdziwa gra o świat

Andrzej Sikorski
Biorą się za ludzi Macierewicza

Eliza Sarnacka-Mahoney
Co robi amerykańska Polonia?

Jacek Pałkiewicz
Amazonka i Amazonia

A photograph of Donald Trump wearing a blue puffer jacket, smiling and making a peace sign with his right hand. In the background, a person in a red jacket is visible, and another person on the left is holding a camera up to take a picture.

LISTA WILDSTEINA TRAMPOLINĄ PiS

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311508

powszechny

Teatr, który się wtrąca



premiera
8.02.2025

na podstawie
dramatu
Antona Czechowa
w tłumaczeniu
Agnieszki Lubomiry
Piotrowskiej

Wiśniowy sad



instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy

wyborcza.pl

Bielawka
Chotkowski
Czachor
Falkowski
Góo Bã
Kłak
Konieczna
Lange
Łasowski
Łysak
Manuilov
Milošević
Platt
Rajda
Rumas
Sałasiński
Sienicki
Skibińska
Stępiak
Strycharski
Sztarbowski

dyplomantka: Główna, Szkoła



Trump, największy przyjaciel Trumpa

Taki mamy sezon, że wielu ludzi choruje na grypę czy covid. A najwięcej na stosunkowo nową, bardzo zaraźliwą chorobę, która przyszła z USA i wędruje po świecie. Trumpizm podbija kolejne terytoria i na razie skutecznie infekuje coraz większe grupy ludzi.

Jakie są jego objawy? Przede wszystkim niczym nieuzasadniona wiara, że pojawił się ktoś mający recepty na wszelkie bolączki. Cudotwórca albo nawet mesjasz, który ma moc rozwiązania kłopotów ludzi biednych, nie radzących sobie z egzystencją, nawet na najniższym poziomie. Ale i wsparcia bogatych, którzy dzięki niemu staną się jeszcze bogatsi. Bo skoro Trump potrafił w ubiegłym roku podwoić swój wielomiliardowy majątek, to oni też skorzystają z tych jego ekstrapomysłów. Biedni Amerykanie szybko zderzą się z rzeczywistością. Niczego od nowego prezydenta nie dostaną, bo nie ma on charakteru rodzicielskiej różdżki. Ma za to dar takiego opowiadania bajek, że sporo ludzi zaczyna mu wierzyć.

To zauroczenie potrwa jakiś czas. Do momentu, gdy ci sami ludzie zobaczą, że król jest nagi. A oni po raz kolejny zostali oszukani przez polityków. Wszyscy, którzy przed Trumpem tak nadmuchiwali balon z obietnicami, skończyli w niestawie. Historia pełna jest takich przykładów.

Trzeba jednak przyznać Trumpowi, że ma spore umiejętności kreowania siebie na postać pozaziemskiego formatu. Lecz jeśli dobrze się rozejrzeć, to wśród jego fanów ludzi żyjących z myślenia za wielu nie znajdziemy.

Brutalnie, za to skutecznie podporządkował sobie czołowych polityków Partii Republikańskiej. Jeszcze dwa lata temu nie brali pod uwagę tego, że możliwy jest triumfalny comeback Trumpa. Zabrakło im wyobraźni i zdolności trafnego określenia oczekiwań wyborców. A Trump konsekwentnie robił to, na co wielu Amerykanów czekało. Powiedział im to, co chcieli usłyszeć. Tak ich zaczarował, że nie trafiły do nich informacje o jego przestępstwach gospodarczych i kryminalnych, występkach, za które zwykli Amerykanie są skazywani na wieloletnie wyroki. Zobaczmy, jak ten prezydent skończy. Jeśli spodziewamy się po nim najgorszego, radzę to jeszcze pomnożyć. Ci zaś, którzy widzą w Trumpie wielkiego męża stanu, powinni się rozejrzeć za torebką z lodem.

A polska prawica? Zobaczcie wiele takich decyzji Trumpa, że wstyd będzie się do niego przyznawać. Przekona się, że jej idol nie jest największym przyjacielem Polski, że jest wyłącznie największym przyjacielem USA. I oczywiście samego Donalda Trumpa.

**Serdecznie
pozdrawiam wszystkich,
którzy wspierają nasz
tygodnik.**

Fundacja Oratio Recta
Nr konta:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
z dopiskiem:
„Darowizna na rzecz
PRZEGLĄDU”

BAKOWSKI



INNY PUNKT WIDZENIA Podcast PRZEGLĄDU

Klaskierzy ambasadora USA
**Kogo zamkną
za Fundusz Sprawiedliwości**
**Jak zbankrutować przez
studniówkę**



Znajdziesz nas na Spotify i YouTube

W NUMERZE

ZAGRANICA

- 8 Nad Ukrainą wisi widmo Jałty II**
– rozmowa z prof. Bogdanem Góralczykiem
- 22 Wybory amerykańskiej Polonii**
Korespondencja z USA
- 26 Kto chce wysiedlić Gazę?**
Ani realny, ani legalny plan Trumpa
- 28 6 milionów rąk z kijami**
Organizacja radykałów zapleczem Modiego

KRAJ

- 12 Jawne tajemnice i niebezpieczne związki**
Ludzie Macierewicza tracą parasol ochronny
- 14 Słownik pamięci narodowej**
List otwarty do premiera Tuska
- 16 Lista Wildsteina trampoliną PiS**
Cynicznie zagrano teczками SB
- 20 Prawa ucznia między bajki**
Lekcja pisania statutów szkół
- 48 Żeby nie jeździć na Podhale**
W Bytomiu jest stok narciarski

NAUKA

- 32 Informatycy trzymają się mocno**
– rozmowa z prof. Andrzejem Jaskiewiczem

GOSPODARKA

- 36 Skansen Europa**
Prześcignięta na własne życzenie

HISTORIA

- 40 Towarzysze, obywatele i wy, ludzie zza Buga**
Osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych

KULTURA

- 44 Jestem z Ateneum**
– rozmowa z Przemysławem Bluszczem
- 47 Kulturalia**
- 66 Wyśniony świat**
Sztuka Jacka Yerki

OBSERWACJE

- 53 Amazonka i Amazonia**
Jacek Pałkiewicz i królowa rzek
- 56 Szalony świat japońskiego Tindera**
Randki według grupy krwi

ZDROWIE

- 59 Profilaktyka, czyli odroczone nagroda**
Jak dbać o serce

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Trump, największy przyjaciel Trumpa
- 31 Roman Kurkiewicz**
Czystki etniczne jako biznes
- 35 Tomasz Jastrun**
Kaczy Dół
- 39 Wojciech Kuczok**
Podanie o pracę

28

ZAGRANICA



6 MILIONÓW RĄK Z KIJAMI

Organizacja radykałów zapleczem Modiego



53

OBSERWACJE

AMAZONKA I AMAZONIA

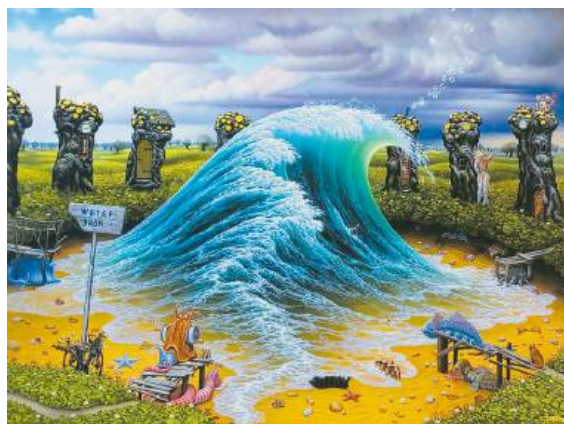
Jacek Pałkiewicz
i królowa rzek

66

KULTURA

WYŚNIONY ŚWIAT

Sztuka
Jacka Yerki



Projekt okładki: Ed Mund

FOT. PAWEŁ TERLIKOWSKI/FORUM

eprasa.pl f5d14a63a0



f Jaka — początek nowej Polski

Artykuł Pawła Siergiejczyka przedstawia wszystko, co jest najbardziej istotne w tej sprawie. Dodam jedynie nieco pozytywnych opinii o działaniach Stalina. Jaki Stalin był, to wiemy, ale był człowiekiem, który jednak lubił Polaków.

Owszem, podpisał układ z Hitlerem, ale kiedy Hitler napadł na Polskę 1 września 1939 r., Stalin go zdradził. Nie zrobił tego, co planował Hitler. W tym czasie mamy ruchawkę na wschodnich terenach Polski, gdzie grupy ukraińskich nacjonalistów przy wsparciu Abwehry dokonują rozprawy z Polakami. Stalin zajmuje tereny naszego kraju dopiero 17 września 1939 r., gdy władza już uciekła. Zajmuje spory obszar, a ruchawka na wschodzie ustaje. Życie na zajętych terenach toczy się w miarę normalnie, chociaż są wywózki na wschód Rosji. To trwa 22 miesiące, do chwili inwazji Niemiec na ZSRR. Na zajętych ziemiach dochodzi do mordów ludności polskiej czy innych narodowości. To temat opisany, jak choćby Wołyń. Wyzwolił nasz kraj, dając nam wiele, ale my nadal nie potrafimy tego zrozumieć. Lepiej mieć taki kraj, jaki nam stworzył, niż żadnego.

Andrzej Kościński

Akurat jaltański porządek to jest coś, co zagwarantowało nam bezpieczeństwo od roku 1945 do dzisiaj. A największym zagrożeniem nie jest żadna wojna na Ukrainie, tylko próba zmiany tego porządku.

Michał Łuksa

f Odebrano telewizję PiS. I mamy rok wegetacji

Generalnie zanika kultura długich, dogłębnych treści czytelniczych na dany temat, czyli czytelnictwo książek, choć to jeszcze może się poprawić. Ale czy znika kultura długich, dogłębnych treści w dobie podcastów i rozmów na trzygodzinnych filmach na YouTube, którego to formatu telewizja nigdy nie byłaby w stanie dźwignąć? A jeśli chodzi o sztuki audiowizualne, to są serie streamingowe, które niestety masowo tracą na jakości, chociaż format długich seriali siłą rzeczy jest zachowany i jesteśmy w stanie podać w nich więcej treści i bardziej szczegółowo przedstawić dany temat niż w formacie filmu lub seriali proceduralnych.

Andrzej Nowak

✉ Grzech rozrzutności

Muszę dodać w uzupełnieniu felietonu prof. Jana Widackiego, że na każdej z tych często marnych uczelni publicznych jest wydział teologiczny. Oczywiście katolicki, z proporcjonalnie większą liczbą zatrudnionych w stosunku do pozostałych wydziałów. Mówi się, że to wynika z konkordatu, co jest oczywiście kłamstwem.

Teresa Jakubowska



ZDJĘCIE TYGODNIA

„Jestem głęboko zaszczyczony, że nasz Prezydent Donald Trump, twórca historii, poprosił mnie o pełnienie funkcji ambasadora w Polsce”, napisał na platformie X Thomas Rose (z prawej). Zapowiedział, że będzie robił wszystko, „aby promować, bronić i rozwijać” interesy USA i prezydenta. Więcej na s. 63.



320 mln euro potraciła Polsce za przysługujących nam funduszy Komisja Europejska za niewykonanie zaleceń w sprawie przyjętych za rządów PiS ustaw o Sądzie Najwyższym, Izbie Dyscyplinarnej i tzw. ustawy kagańcowej. Sąd UE uznał, że potrącenie było zasadne.

Pomiędzy Ustką a Choczewem powstanie polska część morskiej farmy wiatrowej Baltica 2, budowanej przez PGE i duński koncern Ørsted. Koszt całej inwestycji szacuje się na 30 mld zł.

O skali przemytu ludzi na granicy z Białorusią świadczy zatrzymanie w 2024 r. przez Straż Graniczną prawie 600 kurierów i organizatorów. Odnotowano ponad 30,5 tys. prób wejścia na teren Polski. Faktyczna skala działania międzynarodowych grup przestępczych jest znacznie większa.

W Polsce mamy już 16 mln mieszkań. W przeliczeniu na 1 tys. osób to 426 mieszkań o przeciętnej wielkości ponad 75 m kw. Co oznaczają, że na osobę mamy już ponad 32 m kw. Ciągłe jednak zbyt mało (analiza HREIT).

Od początku wojny z Ukrainy wyjechało 10 mln ludzi. W maju i czerwcu ub.r., gdy weszła ustawa o mobilizacji, Ukrainę opuściło 300 tys. osób więcej, niż do niej wróciło.

Jan Klata, wybitny reżyser i były dyrektor Narodowego Starego Teatru w Krakowie, obejmie we wrześniu dyrekturę Teatru Narodowego w Warszawie.

Dr hab. Agnieszka Lajus, historyczka sztuki, pracowniczka naukowa, została powołana przez ministrowie kultury Hannę Wróblewską na stanowisko dyrektorki Muzeum Narodowego.

Coraz więcej potomków emigrantów występuje o potwierdzenie polskiego obywatelstwa. Najwięcej z Izraela. W 2024 r. wpłynęło 23 109 wniosków.

Największy wzrost liczby mieszkańców w latach 1998-2023 odnotowano w powiatach: **piaseczyńskim** (103,7%), **wrocławskim** (100,2%), **poznańskim** (80,4%) i **gdańskim** (74,2%). Największy spadek był w **Bytomiu** (28,1%), w powiatach **hajnowskim** (27,9%) i **krasnostawskim** (27,6%) oraz w **Wałbrzychu** (26,8%) („Rzeczpospolita”).

Blazej S., były rzecznik prezydenta Dudy, został zatrzymany przez CBA i usłyszał zarzuty w sprawie korzyści uzyskanych z Collegium Humanum. W tej aferze jest już 56 podejrzanych.

W 2024 r. policja zatrzymała 91,3 tys. kierowców, którzy byli pod wpływem alkoholu.

Według YouGov tylko 30% Brytyjczyków głosowałoby dziś za wyjściem Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, a 55% opowiedziałoby się przeciw.

Polki i Polacy coraz bardziej dbają o siebie. Przybywa salonów fryzjerskich i kosmetycznych. Na ponad 132 tys. czynnych salonów w 2024 r. przybyło 14,7 tys. Kupujemy też coraz więcej kosmetyków codziennego użytku.

PRZEBŁYSKI

Nawrocki przy pomniku „Ognia”

„Jestem jedynym kandydatem obywatelskim”, zażartował Karol Nawrocki na Równi Krupowej w Zakopanem. Nie był to jedyny żart kandydata osobiście wybranego przez prezesa Kaczyńskiego. Przemawiając w jednym z najdroższych miast w Polsce, Nawrocki żartował i z tego – stwierdził, że można tam odpocząć po prostu taniej. A może dla Nawrockiego tanie są paskarskie ceny, jakich górale żądają od ceprów? Publice za to niezbyt się podobało, gdy Nawrocki mówił, że „na tak szczegółowe pytanie może odpowiedzieć po szczegółowych konsultacjach”.

A co Nawrocki, stojąc 150 m od pomnika bandyty Józefa Kurasia „Ognia”, miał do powiedzenia o mordercy dzieci i kobiet? „O Józefie Kurasiu, który przez wiele lat służył Rzeczypospolitej Polskiej, był polskim żołnierzem i polskim patriotą, w Instytucie Pamięci Narodowej powstała bardzo ważna publikacja dr. Macieja Korkucia: właściwie jedyna biografia, która w sposób analityczny, naukowy opisuje szeroko życie Józefa Kurasia »Ognia«, który służył Rzeczypospolitej. A ta jego służba, jak wiemy, miała wiele wymiarów i przed rokiem 1945, i po roku 1945...”. O łgarstwach w tej książce pisali mieszkańcy Podhala. Niestety, ofiary bandytów „Ognia” nawet małych pomników nie mają.



Sygnalista Wipler

Politycy muszą być niezwykle czujni. Nawet bardziej niż ważka na łące. Ktoś ich przecież może nagrać, zrobić z ukrycia fotkę, a nawet donieść, co i komu dyskretne powiedzieli. Trzeba też bacznie obserwować otoczenie. Bo dyskrekcja kończy się tam, gdzie pojawia się Przemysław Wipler. Poseł Konfederacji. Ten, który Polakom kojarzy się z gościem leżącym na chodniku przed nocnym klubem w Warszawie. Przyszły poseł leżał w pokrwawionym T-shircie, a później szarpał się z policją. Jako poseł Wipler stara się wyglądać godnie. I tym zmylił członków komisji śledczej ds. Pegasusa. Nie wiemy, jak było, ale Wipler przekazał mediom, co poseł Zembaczyński mówił do posła Jaskulskiego. I jak posłanka Kluzik-Rostkowska szturchała posła Cwika.

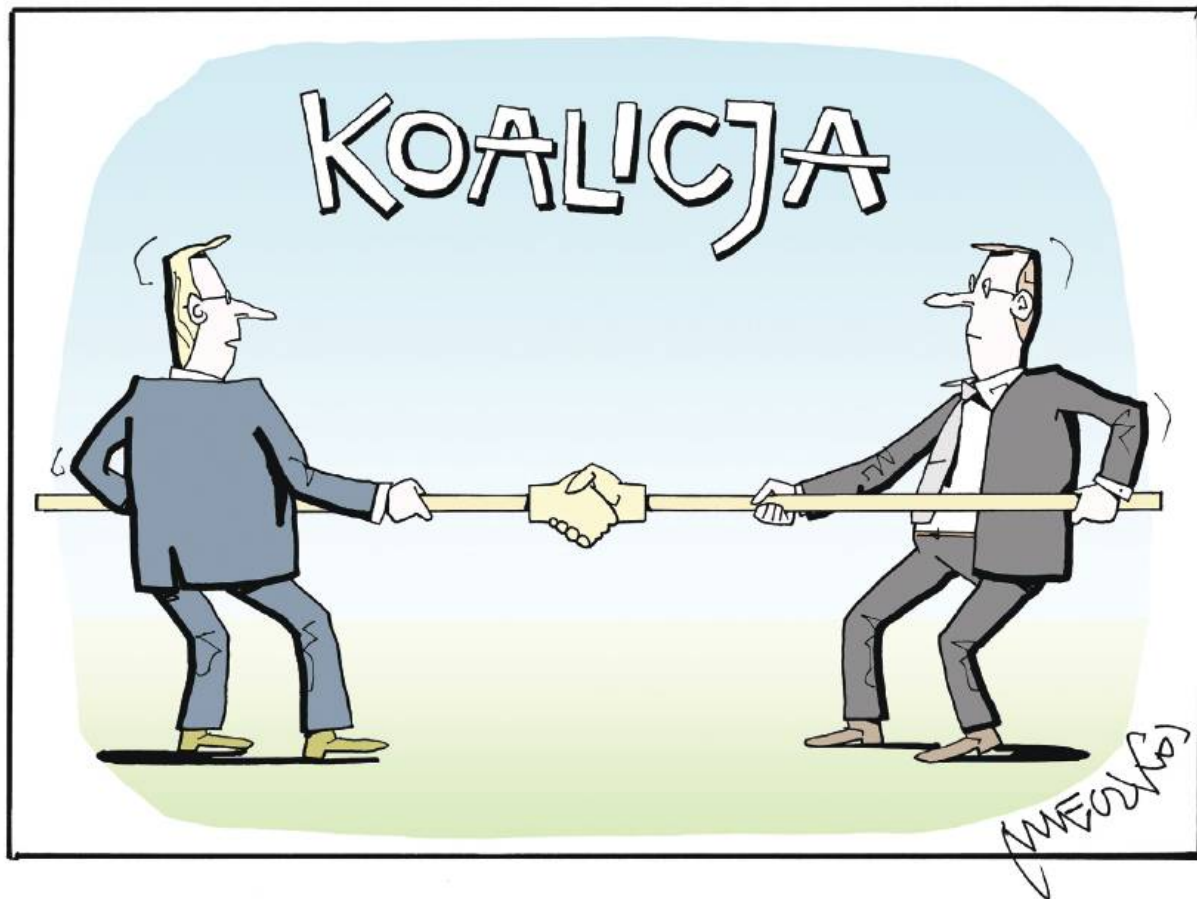
Wipler nie oszczędza też części PiS. Na pewno nie jest fanem Morawieckiego, bo puścił sygnał, że ludzie premiera wyprowadzili wielką kasę na wybory. Może więc, pokutując za stare grzechy, mówi prawdę i czyni dobro?

Zapominalska Wiśniewska

Odezwała się Jadwiga Wiśniewska. Od lat europosłanka PiS. Znana z wiernego udziału w miesięcznicach smoleńskich. Stała zawsze bliźniutko prezesa. I to wystarczyło na dobre miejsca na listach wyborczych. I na sute wypłaty w euro. Dobrobyt jej zaszkodził, bo osłabił czujność. W organie o. Rydzka przejechała się po lobbystach i beneficjentach Zielonego Ładu. Zapomniała bidulka, że prezes Kaczyński Zielony Ład popierał, a komisarz Wojciechowski wręcz głosił, że to jego autorska koncepcja.

Może Wiśniewska liczy, że czytelnicy „Naszego Dziennika” już o tym zapomnieli? My jednak pamiętamy i zachęcamy Wiśniewską, by skoro już atakuje prezesa, pociągnęła ten wątek. Liczymy na transparentność. I ujawnienie, kto w PiS tak skutecznie lobbował za Zielonym Ładem.





PYTANIE TYGODNIA

Jak zachęcić przyzwoitych ludzi, żeby poszli do polityki?

DR MATEUSZ ZAREMBA,
politolog, USWPS

Z badań psychologicznych wiadomo, że do polityki idą ludzie o specyficznym profilu. Od ogółu społeczeństwa odróżnia ich m.in. to, że lubią być w centrum uwagi i lubią być słuchani. Drugą sprawą jest to, jak rozumiemy słowo przyzwoitość. Jeśli mówimy o normach akceptowanych przez dane środowisko, mijemy na uwadze, że w środowisku politycznym przeszły już takie rzeczy jak kilometrówki czy zakup czterech ekspresów kawowych do jednego biura poselskiego. Złapani na takich praktykach mówią: przecież wszyscy tak robią. Nie jest to jednak zachowanie przyzwoite z punktu widzenia przeciętnego obywatela. Dlatego trudno będzie przyciągnąć do polityki zwykłych ludzi, bo pewien schemat norm został utrwalony przez specyficzne osoby. Każda próba wyłaniania się będzie powodowała to, że środowisko będzie kogoś takiego niszczyć. Będzie to kazus Ikara.

DR MIROSŁAW OCZKOŚ,
specjalista od marketingu politycznego

Trudno będzie zachęcić ludzi, żeby poszli głosować w następnych wyborach, a co dopiero żeby poszli do struktur, które jednak są obrzydzone. Po pierwsze, należałoby zmienić prawo, aby partie polityczne nie były udziałowymi księstwami przewodniczącymi. Obecnie to są przedsiębiorstwa, a w przedsiębiorstwie o wszystkim decyduje prezes. Każda partia ma dzisiaj nie klub, lecz zarząd. To zniechęca ludzi, którzy chcieliby wejść do polityki. Od połowy lat 90. funkcjonowała nadzieja, że jak starsze pokolenie się wykruszy, to młodzi zmienią oblicze polskich partii. Okazało się jednak, że młodym podobał się układ, do którego wchodził. Po drugie, widać przewagę naboru negatywnego. To rzucało się w oczy przez osiem lat rządów PiS i Suwerennej Polski. Pojawiali się młodzi ludzie, zazwyczaj dyktanci, którzy chcieli jedynie znaleźć sobie świetne synekury i rozdawać profity kolegom i rodzinie.

PROF. JACEK WÓDZ,
socjolog, Akademia WSB w Dąbrowie Górniczej

Nie ma takiego programu, który zachęciłby ludzi, żeby poszli do polityki. Zdarzają się jednak chwile, kiedy ktoś postanawia wziąć na siebie pewien bagaż odpowiedzialności. Mowa o momentach, gdy coś w społeczeństwie wzbudza gniew czy zainteresowanie. Należy też pamiętać, że polityka nie jest dziedziną, której po prostu da się nauczyć. To w dużej mierze kwestia wyuczucia. W ubiegłym wieku była moda, aby to młodzieżówki poszczególnych partii dokonywały selekcji. Najmocniejsi zostawali w polityce. Dziś ważniejszym problemem jest to, żeby ludzie w ogóle zainteresowali się polityką i znali podstawy, chociażby takie jak trójpodział władzy. Należy pokazywać, że ze wspólnej aktywności może wynikać coś dobrego.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Nad Ukrainą wisi widmo Jałty II

Rozpoczęła się prawdziwa gra o świat

Rozmawia Robert Walenciak

Donald Trump... Czy jego powrót do Białego Domu zmienia świat?

– Jego drugie dojście do władzy oznacza, że to nie jest przypadek, to głęboka strukturalna zmiana w cywilizacji zachodniej. Trumpa 2.0 trzeba wziąć bardzo poważnie. Bez względu na to, że jest nieprzewidywalny, że jego ego idzie 5 m przed nim i jest trudno sterowalny. Już pierwsze dni po wyborach potwierdziły tę tezę – bo kto by wymyślił, że Trump zechce zająć Kanadę, Grenlandię, Kanat Panamski...

I to się w Ameryce podoba!

– Tym razem Trump ma znacznie szerszy mandat, może zrobić, co chce. W mojej ocenie to naprawdę koniec końca historii. W 1991 r., kiedy padł Związek Radziecki, w naturalny sposób z dwubiegunowego układu zrobiła się jednobiegunowa chwila. Amerykanie podyktowali światu, w tym Polsce, dwa pakiety. O jednym doskonale wiemy, to był konsensus z Waszyngtonu, mówiąc po polsku – plan Balcerowicza. Natomiast o drugim pakiecie mówimy zdecydowanie mniej, a Trump właśnie go rozmontowuje. Mianowicie Amerykanie wypracowali swoją wersję demokracji: *checks and balances*, czyli system równowagi i kontroli władz. Nazwali to demokracją liberalną.

Czym ona się różni od klasycznej, monteskiuszowskiej?

– Do klasycznego trójpodziału wprowadza niezależne od trzech władz media i niezależne społeczeństwo obywatelskie. Demokracja liberalna weszła do kanonu, który sześć tygodni po rozpadzie ZSRR, 7 lutego 1992 r., w traktacie z Maastricht przyjęła Unia Europejska. W czerwcu 1993 r. sformułowane zostały tzw. kryteria kopenhaskie. Czyli demokracja



PROF. BOGDAN GÓRALCZYK

– politolog, sinolog, hungarysta, były ambasador w państwach Azji, wykładowca w Centrum Europejskim UW i jego były dyrektor.

liberalna, konsensus waszyngtoński, państwo prawa i prawa mniejszości. Jeśli chodzi o wiarę w konsensus z Waszyngtonu, załamała się ona już w roku 2008. Kto dziś wierzy, że rządzi rynek i niewidzialna ręka rynku? Ale Trump uderza teraz w demokrację liberalną. Zamiast wartości mamy nagą siłę. *Power!*

A czy Ameryka ma siłę?

– W USA w ciągu ostatniej dekady dokonały się dwie rewolucje. Pierwsza – ideologiczna. Bo co mamy w USA? Narodowy kapitalizm i konserwatyzm. Zaczynają się już ekspulsje i deportacje. Trump ogłasza cła. Ale miała miejsce i druga rewolucja – energetyczna, łupkowa. Stany Zjednoczone stały się eksporterem surowców energetycznych, głównie gazu skroplonego. Dlatego tak im potrzebny jest w Świnoujściu gazoport na skroplony gaz. Amerykanie sprzedają nam ten gaz drożej niż Norwegowie, nie mówiąc o dawnych czasach i gazie rosyjskim.

Co więc się stało? Przez co najmniej dwie dekady naukowcy mieli problem ze wskazaniem, kto jest największą gospodarką świata. Bo to była albo Unia Europejska, albo Stany Zjednoczone. Wskazania wahały się pomiędzy 22% a 23% światowego nominalnego PKB, w wypadku obu tych podmiotów. A jak jest dzisiaj? Stany Zjednoczone mają 26%, czyli więcej – bo pandemia, rewolucja łupkowa, ale również wojna na Ukrainie. Ile sprzętu Amerykanie sprzedali? Ta wojna im służy. A Unia Europejska? Był brexit – wystąpienie Wielkiej Brytanii zmniejszyło PKB państw Unii o 4-5%. Unia ma więc 18%. I właśnie w zeszłym roku wyprzedziły ją Chiny – w sensie nominalnym, bo w sensie siły nabywczej są największą gospodarką świata już od 2015 r. Czyli USA mają siłę i USA stawiają na siłę.

To widać i słychać.

– Zobaczymy, czy to się uda. Moim zdaniem gra o Grenlandię jest bardzo poważna. Grenlandia to

cała tablica Mendelejewa, a przede wszystkim pierwiastki ziem rzadkich, czyli te, bez których nie ma dziś postępu naukowo-technologicznego. Trump, jak już wiemy, walczy o nie również na terenie Ukrainy, szczególnie gdyby doprowadził tam do pokoju czy rozejmu.

Mamy więc do czynienia z kolejną odsłoną koncertu mocarstw?

– Tak! Mamy do czynienia z wielkomocarstwową grą. Dlatego w tak trudnym położeniu znalazła się Unia Europejska, bo ona sama się definiuje do dzisiaj jako *soft power*. Co więcej, wiele wskazuje, że Trump będzie grał na rozwałkę Unii. Z Brukselą nie chce gadać, co najwyżej z Berlinem i Paryżem, a najchętniej to z Putinem.

Jeśli Amerykanie tak się zachowują, to Rosjanie już mówią, że skoro Amerykanie mogą, to oni też!

– Nad Ukrainą wisi widmo Jajty II. Jak się bronić w epoce koncertu mocarstw?

– Odpowiedź jest oczywista: Europa musi nabyć znamion *hard power*. Musimy zwiększyć swoje zdolności obronne. W 2015 r. zebrałem grono najlepszych polskich specjalistów od integracji europejskiej i wydałem po angielsku pod moją redakcją tom, którego tytuł w tłumaczeniu brzmiał: „Unia Europejska na scenie globalnej”. Podtytuł zaś mówił wszystko – „Zjednoczeni albo bez znaczenia”. Tymczasem my jesteśmy w tej chwili niezjednoczeni, mówiąc delikatnie.

Unia Europejska jest chorym człowiekiem świata?

– Jest słaba. A Viktor Orbán mówi, że ma jeszcze większe przywary. Bo jest bogata i słaba.

Wydaje się, że punktem odniesienia dla polityki Trumpa są Chiny, a nie Rosja, Unia Europejska czy kryzys bliskowschodni.

– Przyjmując to rozumowanie, powinniśmy oczekiwać po stronie administracji amerykańskiej poważnych prób zakończenia wojny rosyjsko-ukraińskiej, zawieszenia broni.

Żeby zamknąć front.

– Tylko że Putin wie, że ma mocne karty. Ta wojna stała się wojną pozycyjną. A wojna pozycyjna zawsze premiuje tego, kto ma większy potencjał. A kto ma większy potencjał? Wystarczy spojrzeć na mapę. Putin

to wie i będzie przyciskał. Czy się dogadają? Nie wiem. Na pewno Amerykanie będą próbowali, dlatego że dla Trumpa największym wyzwaniem pozostają Chiny.

Bo z Chinami toczy się bój o władzę nad światem?

– Dzisiaj bój o panowanie nad światem to nie wojna kinetyczna, nie militaria, tylko wojna – i właśnie kiedy rozmawiamy, mieliśmy jej nową odsłonę – o wysokie technologie. O sztuczną inteligencję, komputery kwantowe, półprzewodniki, pierwiastki ziem rzadkich, o kosmos. Na tych obszarach toczy się prawdziwa wojna, której wynik zadecyduje o przyszłości świata. Związek Radziecki nigdy nie był takim wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych, jakim są dzisiaj Chiny. Chiny zaczynają być prawie równorzędnym partnerem dla Amerykanów w wymiarze handlowym

Chińczycy są inną kulturą strategiczną. Jak pokonać przeciwnika? Najlepiej bez walki. Lepiej go omamić, zmęczyć...

i gospodarczym, a rozpoczął się bój o to, kto będzie przewodził światu w wymiarze technologicznym. Od pół wieku znam Chiny z autopsji, ostatni raz byłem w Pekinie w grudniu 2024 r. I napisałem tekst „Błękitne niebo nad Pekinem”, bo przez osiem dni nie zobaczyłem ani jednej chmurki, widziałem błękitne niebo. Zlikwidowali smog! A parę lat temu była tam ściera! Jak tego dokonali? Rzucili na świat nową generację samochodów elektrycznych, lepszych i o połowę tańszych od zachodnich. Zachód przed tym się broni nie od dziś. Jeszcze Biden w ubiegłym roku nałożył na Chiny cła – 25% na aluminium i stal, 50% na panele fotowoltaiczne i półprzewodniki, 100% na samochody elektryczne.

Pod tym względem polityka amerykańska jest bardzo konsekwentna.

– Chiny zaczynają pokonywać Zachód technologicznie, czego dowodem jest nowy model sztucznej inteligencji, DeepSeek. Rzucili go na rynek i mamy na Wall Street załamanie, jeśli chodzi o high-tech! A Chińczycy szykują kolejne niespodzianki tego typu. To nie jest koniec.

My o chińskim przywódcy Xi Jinpingu wiemy niewiele. A powinniśmy wiedzieć, że ma wykształcenie technologiczne, że zanim został partyjnym aparatchykiem, skończył politechnikę. I że ma dwie pasje, oprócz trzymania władzy. Pierwsza: całkowicie uwolnił moce dotyczące rozwoju technologicznego i bardzo to wspiera. Wydał cztery tomy dzieł zebranych. Chyba jestem jedynym Polakiem, który je przeczytał, wiem, co tam jest! Całe rozdziały poświęcone nowym technologiom. Druga pasja: walka z zagrożeniami ekologicznymi. W minionym roku Chiny osiągnęły poziom 50:50. Czyli mają 50% energii z alternatywnych źródeł. Różnych – są to i panele solarne, i turbiny wiatrowe, i moc jądrowa. Mają ponad 55 agregatów jądrowych i jeszcze budują 22 kolejne. Budują jeszcze większą zaporę niż Zapora

Trzech Przełomów. Niektóre ich plany wręcz przerażają. Właśnie ogłosili, że montują w przestrzeni kosmicznej, na wysokości 36 tys. km, farmę solarną, o długości ponad 1 km. I jeżeli to będzie działało, to mówią, że będą zbierać – z niej i jej podobnych – tyle energii, ile potrzebuje cała planeta Ziemia.

Chińskie uniwersytety, ich notowania, wciąż idą do góry.

– Technologiczne tak. Ale humanistyczne – zapomnijmy o tym. Dlatego, że największą barierą rozwoju Chin może się okazać jedynowładztwo – skuteczne na krótką metę, ale na długą to nic innego jak recepta na katastrofę. Na dodatek Chiny prowadziły od roku 1979 skuteczną, nie do wyobrażenia w naszej cywilizacji, politykę jednego dziecka. Do listopada 2015 r. A dzisiaj przyszło nowe pokolenie i w ogóle nie chce mieć dzieci! Bo 20 lat trzeba, żeby zdobyć apartament. Pojawia się więc kolejna bariera w rozwoju Chin – demograficzna. Gdy w Chinach startował kapitalizm, 800 mln chłopów zaprzęgnięto do niewolniczej pracy. Już tego nie ma! Kiedy ruszały reformy, Chiny miały ▶

► 14% zurbanizowanego społeczeństwa. A dzisiaj 70% Chińczyków mieszka w miastach i na terenach zurbanizowanych.

A marksizm jako ideologia istnieje?

– Za pragmatycznego do szpiku kości Deng Xiaopinga wszystkie izmy zostały wyrzucone. Natomiast Xi wraca do trzech. Do hierarchicznego z natury konfucjanizmu i do leninizmu, wiadomo o nim bowiem, że to twar- da pała, dyktatura (kiedyś proletariatu). I wraca do marksizmu. A on ma ważny wymiar, jakim jest niewiara w rynek. Bo rynek jest nieuregulowany, chaotyczny, niełatwo daje się kontrolować, władza autorytarna zaś chce kontrolować wszystko. Poza tym w marksizmie nie może rządzić sektor prywatny. Tymczasem własność prywatna w Chinach jest bardzo specyficzna. Niby jest prywatna, ale nie do końca. W każdej chwili może przejść państwo i powiedzieć: to państwowe. Tam wszystko podporządkowane jest państwu. A państwo jest hierarchiczne, z cesarzem na szczycie.

Przecież to jasne, że ani Ameryka, ani Chiny nie będą same rządziły światem. Więc?

– Była już taka propozycja! Gdy Barack Obama dochodził do władzy, jeszcze przed jej przejęciem w styczniu 2009 r., wysłał do Pekinu Zbigniewa Brzezińskiego z jedną propozycją – utworzenia G2. Chińczycy tego nie kupili. Przez chwilę się wahali, że będzie G3, czyli Stany, Chiny i Unia Europejska. Ale Unia wtedy zafundowała sobie brexit i Chińczycy się wycofali. A ja przypominam starą zasadę przypisywaną Konfucjuszowi: tak jak nie ma na niebie dwóch słońc, tak na ziemi nie ma dwóch cesarzy.

Parę lat temu przestrzegał pan przed konfliktem USA-Chiny, nawet militarnym, przypominając dylemat Tukidydesa.

– Ja tylko przytaczałem tezę Grahama Allisona i jego badanie. Allison przeanalizował okres od wielkich odkryć geograficznych do 2015 r. i okazało się, że w tym czasie było 16 przypadków, kiedy dotychczasowy hegemon napotkał gwałtownie rosnącego pretendenta. 12 skończyło się otwartymi konfliktami...

Widzi pan perspektywę gorącego konfliktu Chiny-USA?

– Na razie nie widzę. Natomiast wiem na pewno, że Xi Jinping dostał mandat od Komunistycznej Partii Chin w jednym celu – by dokończyć dzieła zjednoczenia ziem chińskich. Bo jaki to wielki renesans, o którym wciąż mówią, jeśli po obu stronach Cieśniny Tajwańskiej są dwa organizmy z Chinami w nazwie!

W potencjalnej konfrontacji z Chinami jakich sojuszników mogliby szukać Amerykanie?

– Amerykanie mają zdecydowanie większe zdolności sojusznicze. Mamy tzw. Five Eyes, pięć par oczu: USA, Wielka Brytania, Kanada, Australia i Nowa Zelandia.

Mają wśród sojuszników Japonię, Filipiny, a może Wietnam. Do planu okrażenia Chin próbowali pozyskać Rosjan. Pomysł z resetem prezydenta Obamy ku temu zmierzał.

– To było bardziej werbalne. Teraz rozpoczęła się prawdziwa gra! Ale zawsze będę podkreślał, że Chiny to nie Rosja. Rosja to cywilizacja bojarska. Czyli: mam przeszkodę albo mam przeciwnika, to uderzam. I albo się uda, albo sobie łeb naruszę. Chińczycy są inną kulturą strategiczną. Jak

i Portugalczycami, dotyczący podziału świata na pół, więc tu też mogą się podzielić.

Mówił pan, że idee G2 Chińczycy odrzucili.

– Ale podział gospodarczy może być. Technologiczny w zasadzie już jest. Chiny mają całkowicie alternatywny internet. Przecież tam żaden Facebook, Twitter, Google nie działa. Tam nawet nie ma GPS, tylko jest chiński system nawigacyjny Beidou.

Wyłania się inne ważne pytanie, ale ono będzie aktywne po odejściu Władimira Putina. Kiedy Związek Radziecki się rozpadł, był większy gospodarczo od Chin. Oczywiście potem odpadły republiki, więc Federacja Rosyjska jest mniejszym organizmem. Ale dziś gospodarka chińska jest od gospodarki rosyjskiej praktycznie 10-krotnie większa. Rosja zamieniła się w chińskie zaplecze surowcowe i coraz bardziej jest państwem wasalnym. To konsekwencja wyborów i polityki Putina. Stąd pytanie: jak długo Rosjanie będą chcieli być młodszym bratem silniejszego, dynamicznie rozwijającego się partnera chińskiego?

Bój o panowanie nad światem to nie wojna kinetyczna, nie militaria, tylko wojna o wysokie technologie.

pokonać przeciwnika? Najlepiej bez walki. Lepiej go omamić, oszukać, skorumpować, zmęczyć... Oto chińskie sposoby! Jest nawet wydana po polsku książka – „36 forteli. Chińska sztuka podstępów, układania planów i skutecznego działania”. Radziłbym się z nią zapoznać.

Czego więc pan się spodziewa, jeśli chodzi o Tajwan?

– Blokady. Morskiej, powietrznej...
A jeśli chodzi o świat?

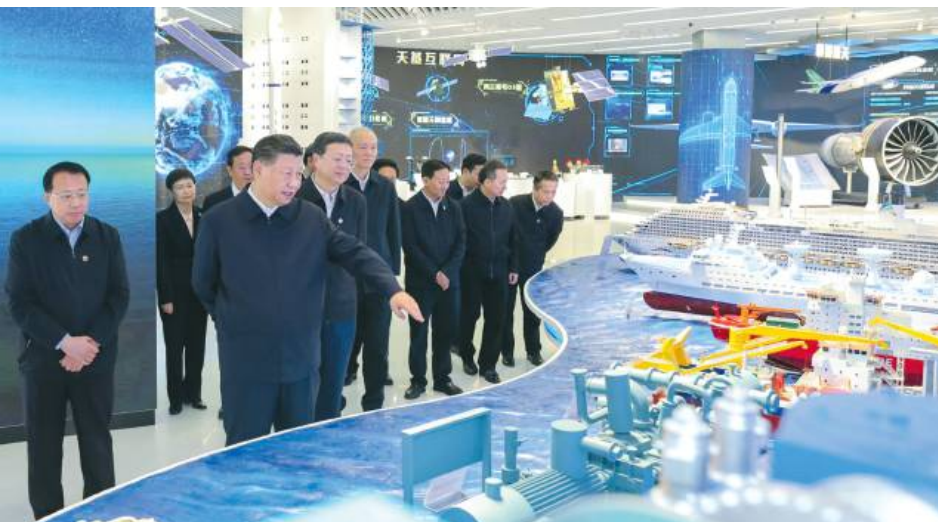
– Jeśli chodzi o świat, gra jest w tej chwili po stronie Donalda Trumpa. A co on zrobi? Nie wiem. Moja głowa za mała.

Jeżeli Chiny zdobędą Tajwan, będzie to dla świata sygnał, że Ameryka nie jest w stanie obronić sojuszników, więc nie można na niej polegać, nie warto na nią stawiać.

– Był taki traktat podpisany w Tordesillas między Hiszpanami

A jakie mają wyjście?

– Mogą się odwrócić w stronę Zachodu, Europy. My musimy mieć świadomość, że od II wojny światowej Europa Zachodnia, a po upadku ZSRR również nasza część, żyła pod trzema parasolami. Pierwszy parasol był amerykański, to parasol bezpieczeństwa, NATO. Nadal jest, ale trzeszczy, nie wiadomo, co Trump z tym zrobi. Rozmawialiśmy o tym na początku – uważam, że wzmocnienie naszych zdolności obronnych jest niezbędne. Drugi parasol jest już całkiem podziurawiony. Bo to były tanie surowce: rosyjska ropa i gaz. Jego już nie ma. Trzeci parasol Europejczycy wypracowali sobie pod koniec lat 90., głównie Niemcy – to współpraca z Chinami, wielki rynek zbytu i tanie towary z Chin. Chiny jako światowa taśma produkcyjna. Nadal to funkcjonuje, ale staje pod znakiem zapytania.



Prezydent Chin Xi Jinping ogląda wystawę poświęconą innowacjom naukowo-technicznym w Szanghaju, 28 listopada 2023 r.

Odnoszę wrażenie, że wojna na Ukrainie opłaca się zarówno USA, jak i Chinom. Chinom, bo Rosja słabnie i staje się coraz bardziej zależna. Przykładem jest to, jak Chińczycy postąpili z Siłą Syberii, gazociągami, który Rosjanie mają wybudować, a cena gazu będzie negocjowana. Ameryka też na wojnie zyskuje. Osłabia Rosję i Europę. I sprzedaje Europie swój drogi gaz.

– Chiny zrobią wszystko, żeby Rosja nie upadła, a szczególnie żeby nie popadła w chaos. I bardzo dobrze, że to robią, bo Europa z taką sytuacją by sobie nie poradziła. Pamiętajmy, Rosja do chwili obecnej ma największe arsenały broni jądrowej. Jeśli to dostałoby się w ręce Prigożynów, jakichś wojskowych watażków, strach o tym myśleć. Chiny tego się boją. Czyli destabilizacja Rosji nie wchodzi w grę.

A rozbicie Ukrainy? Kijów też przecież próbuje grać chińską kartą.

– Ukraińcy wiedzą, że jeżeli ktokolwiek ma wpływ na Putina, to Chiny. Zresztą to, że Putin nie spełnił swoich pogroźek, że użyje taktycznej broni jądrowej, jest – uważam – zasługą Chińczyków, którzy odegrali tu absolutnie kluczową rolę. Bo gdyby raz jej użyto, kto wie, co by się działo. Chińczykom bardzo zależy, żeby Rosja nie była zdestabilizowana. A Ukraińcy liczą z kolei, że gdy skończy się wojna, nadejdzie czas odbudowy i okazja dla chińskich inwestorów.

Chińczycy mieli plan, inicjatywę pokojową.

– To było przyjęcie bardziej rosyjskich warunków niż ukraińskich. Choć o jednym musimy pamiętać – to Chiny doprowadziły do porozumienia szyitów z sunnitami, czyli porozumienia i nawiązania stosunków dyplomatycznych między Arabią Saudyjską a Iranem. W tej sytuacji niczego bym nie wykluczał. Chińska dyplomacja jest sprawna. Ale pamiętajmy, że Xi Jinping ma jeden naczelny cel – Tajwan. Potem długo, długo nic. Najpierw więc Chińczycy będą chcieli dogadać się z Amerykanami. W zależności od efektu tych rozmów kształtowana będzie polityka wobec Europy, Ukrainy i innych obszarów.

Jak będzie wyglądało dogadywanie się Chińczyków z Amerykanami?

– Nie wiem! Jedno mogę powiedzieć: odbyła się pierwsza rozmowa, telefoniczna, ministra spraw zagranicznych ChRL Wanga Yi z Markiem Rubiem, nowym sekretarzem stanu. Chińczyk użył idiomu, który nauczyciele stosują w chińskich szkołach: bądź poważny, zachowuj się.

Twardo.

– Nie wróży to dobrze. To była twarda odpowiedź: nie ustąpimy wam. Natomiast inne komunikaty ze strony Chin, do chwili, kiedy rozmawiamy, adresowane do administracji Trumpa i samego Trumpa, są koncyliacyjne. Ani media chińskie, ani propaganda, poza tą

jedną wypowiedzią, Amerykanów nie zaczepiają.

Wang Yi powiedział też, że Pekin i Waszyngton mogą osiągnąć „wiele wspaniałych rzeczy”, jeśli będą współpracować. Przestrzegając przy tym USA, by nie angażowały się w kwestię Tajwanu.

– Chiny doskonale wiedzą, my też, że Donald Trump nie jest klasycznym politykiem. To mentalność biznesowa i transakcyjna. Więc próbują. W czasie pierwszej kadencji Trump został zaproszony do Chin na wizytę państwową plus. Nie ma w protokole dyplomatycznym pojęcia wizyta oficjalna plus. Może być wizyta cesarska. I oni zorganizowali państwu Trumpom wizytę cesarską. Całe Zakazane Miasto wyludnili. Tylko Trumpowie i Xi Jinping z małżonką i dwoje tłumaczy. Trump, co mu się nie zdarza, nawet podziękował za tę wizytę z samolotu. To był listopad 2017 r. Ale wrócił do kraju, policzył, a chińskie dodatnie saldo z USA sięgało wtedy ponad 400 mld dol. Nic więc mu nie wychodziło i w marcu 2018 r. rozpoczął trwającą do dziś wojnę handlową i celną z Chinami. W tej kadencji będę się spodziewał podobnych zagrywek. A jak się nie uda, wtedy będzie może nawet wojna kinetyczna. Ale najpierw nastąpią próby dogadania się, transakcji.

Bo świat jest wielobiegunowy.

– Taki będzie świat najpewniej. Wielobiegunowy. Na naszych oczach, za naszego życia, dokonuje się bowiem zasadnicza zmiana geopolityczna i geostrategiczna, której my w Polsce i w Europie nie dostrzegamy. W fazie odrodzenia, odnowy są dwie starożytne cywilizacje, obie liczące po 1,4 mld ludzi. Ruszyły Chiny, o czym głośno, a w ślad za nimi Indie, o czym wiemy mniej. Tymczasem Indie są teraz najszybciej rozwijającą się gospodarką na świecie, notującą 8-9% wzrostu rocznie. Zmienia się układ sił na globie. To koniec europeocentryzmu, jaki znamy, i im szybciej to sobie przyswoimy, tym lepiej pozycji Europy będziemy mogli bronić, uwzględniając, że ta pozycja jest już inna, niż była przez minione dziesięciolecie, a nawet stulecie.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Jawne tajemnice i niebezpieczne związki

Prokuratura bierze się za ludzi Antoniego Macierewicza

Andrzej Sikorski

Putkownik rezerwy Krzysztof G., zaufany człowiek i współpracownik Antoniego Macierewicza oraz Michała Dworczyka, usłyszał zarzuty prokuratorskie. Sprawa jest odpryskiem tzw. afery mejlowej. Chodzi o mejle wykradzione z prywatnej poczty Michała Dworczyka, wówczas szefa KPRM, które potem publikowano w serwisie Poufna Rozmowa na komunikatorze Telegram. Była to korespondencja m.in. z Mateuszem Morawieckim oraz politykami i nieformalnymi doradcami premiera. Oprócz plotek, zakulisowych działań, knań i intryg w wykonaniu polityków PiS opinia publiczna poznała także informacje, które ze względu na bezpieczeństwo Polski nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego.

Wojskowe plany w prywatnej skrzynce

Choć Krzysztof G. był oficjalnym doradcą w KPRM, do celów służbowych używał (podobnie jak Dworczyk) prywatnej poczty elektronicznej. W przesyłanych wiadomościach pisał o kulisach przetargów dla wojska, uzbrojeniu, przemyśle obronnym. Do mejli dołączał zdjęcia, plany, schematy, notatki. Takie postępowanie było po prostu głupie. Wojskowy współpracownik szefa kancelarii premiera powinien wiedzieć, jak się obchodzić z dokumentami.

W jednej z wiadomości pułkownik informował Dworczyka o programie „Pirat”. Jest to system lekkich przeciwpancernych pocisków kierowanych, opracowany przez Zakłady Metalowe Mesko – jedną z firm strategicznych, produkującą amunicję dla

wojska. Do ujawnionych mejli dołączone były takie dokumenty jak opis przeznaczenia zestawu raketowego, dokładne parametry taktyczno-techniczne wyrzutni oraz samego pocisku, a także szczegółowe informacje na temat stanu realizacji całego projektu. Z załączonej anonimowej notatki można było się dowiedzieć, że Mesko ma trudności w realizacji kontraktów dla armii, za co na spółkę nakładane są wielomilionowe kary. Mesko miało też produkować wadliwe uzbrojenie. Dotyczyło to przenośnych przeciwlotniczych zestawów raketowych Piorun czy

capability targets 2017 Poland”, który udostępniono mu w MON, a „dokument ma klauzulę NATO zastrzeżone”.

Nieskuteczne rakiety i kanibalizacja armii

Płk Krzysztof G. przekazywał również Dworczykowi informacje od swoich zaufanych ludzi. W jednym z mejli napisał: „Panie Ministrze, otrzymałem tzw. »głos ludu«, czyli odezwał się człowiek »terenu«. Oto co zakomunikował: W dniu dzisiejszym uczestniczyłem w konferencji

Choć Krzysztof G. był oficjalnym doradcą w KPRM, do celów służbowych używał prywatnej poczty. W mejlach pisał o przemyśle obronnym, uzbrojeniu i kulisach przetargów dla wojska.

granatów moździerzowych 98 mm, które miały problem z celnością. Natomiast produkowany przez Mesko na licencji izraelskiej przeciwpancerny pocisk kierowany Spike „nie miał potwierdzonej przebijalności przez płytę pancerną chronioną pancerzem reaktywnym ERAWA”. W notatce wspomniano też o brakach w zabezpieczeniu surowcowym do produkcji amunicji i braku wsparcia ze strony rządu. Sytuacja przedsiębiorstwa miała być tak trudna, że pojawiły się obawy przed upadłością.

W innej wiadomości do Dworczyka Krzysztof G. przesłał objęte tajemnicą dane NATO na temat stanu zapasów amunicji czołgowej polskiej armii. A było jej tak mało, że w razie wojny pocisków wystarczyłoby na ledwie kilka dni walki. Jakby tego było mało, G. ujawnił, że dane przepisał z oficjalnego dokumentu „NATO

OPL w ASzWoj. »Wyzwania i rozwój obrony powietrznej Rzeczypospolitej Polskiej – Obronność RP XXI wieku«. Panowie z WAT (Wojskowej Akademii Technicznej) zakwestionowali skuteczność rakiety GROM w zwalczaniu śmigłowców rosyjskich nowej generacji Ka-50 i Ka-52. Z jednej strony chodzi o uzbrojenie śmigłowca, np. rakiety Wichr, ale chodzi też o system walki elektronicznej i opancerzenie śmigłowca. Rakieta GROM ma wąską wiązkę skanującą i jest zakłócana przez systemy obrony śmigłowców według panów z WAT. (...) Podobnie podczas konferencji wielokrotnie podkreślano ograniczone możliwości rakiety GROM w przechwytywaniu BSP (bezzałogowych statków powietrznych)”.

Gdy politycy PiS mówili o potędze armii i nowych jednostkach na ścianie wschodniej, płk G. informował



Płk Krzysztof G. z ministrem obrony Antonim Macierewiczem i pełnomocnikiem MON ds. utworzenia Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO Bartłomiejem Misiewiczem podczas posiedzenia komisji w Sejmie. 27 stycznia 2016 r.

Dworczyka o postępującej degrengoladzie. Jako przykład podał sformowany w 2019 r. decyzją Mariusza Błaszczaka 14. Suwalski Pułk Artylerii Przeciwpancernej, który nie posiada odpowiedniego sprzętu, takiego jak specjalistyczne niszczyciele czołgów, ma jedynie przenośne wyrzutnie Spike, broń dla piechoty. „Uzasadnienie, że wyrzutnie przenośne są rozwiązaniem przejściowym (do czasu pozyskania sprzętu docelowego) może być rozumiane jako wykręt. Przykładem niech będzie baza bezpilotowców w Mirosławcu – wchodząca w skład Sił Powietrznych, ale wyposażona w sprzęt charakterystyczny dla niższych szczebli,

MON rozbrajało jednostki, tworząc nowe, które nie miały pełnej zdolności bojowej.

Parasol ochronny i prywatne archiwum

Ujawnienie informacji dotyczących armii było kompromitacją. Sprawa powinna się zakończyć nie tylko natychmiastowymi dymisjami, ale też śledztwem prokuratorskim i aktami oskarżenia. Tymczasem PiS rozpostarło nad Dworczykiem parasol ochronny. Płk G. co prawda stracił w 2021 r. posadę doradcy w KPRM i poświadczenie bezpieczeństwa, ale prokuratura wszczęła śledztwo

wiele prawdopodobnie objętych klauzulą tajności. Ich analiza trwa, ale na podstawie dotychczas zweryfikowanego materiału prokuratura postawiła oficerowi zarzuty z art. 231 i 276 kodeksu karnego. Pierwszy dotyczy niedopełnienia lub przekroczenia obowiązków przez funkcjonariusza publicznego, czyli chodzi o to, że G. przysyłał Dworczykowi dokumenty wojskowe o charakterze niejawnym za pośrednictwem prywatnej skrzynki (a powinien korzystać z łączności szyfrowanej). Drugi zarzut mówi o niszczeniu lub ukrywaniu dokumentów. Prokuratura nie informuje o szczegółach sprawy, ale zarzuty prawdopodobnie zostaną rozszerzone.

Krzysztof G. przesłał Dworczykowi objęte tajemnicą dane NATO o stanie zapasów amunicji czołgowej polskiej armii.

dedykowanych dla Wojsk Lądowych. Jeśli jednak uznamy, że ten stan przejściowy – z konieczności – jakiś czas musi trwać, to już żadnego wytłumaczenia nie można znaleźć dla swojej kanibalizacji. Wyrzutnie w tym pułku w znacznej części pochodzą z innych jednostek, które w ten sposób częściowo (lub może nawet całkowicie) rozbrojono z tej klasy uzbrojenia”, napisał G. Wynika z tego, że w celach polityczno-propagandowych pisowskie kierownictwo

dopiero w 2023 r. (sic!), po zawiadomieniu złożonym przez ówczesnych posłów opozycji Cezarego Tomczyka i Adama Szałpkę. W dodatku niewiele w nim się działo. Dopiero po zmianie władzy postępowanie nabrało tempa. Pod koniec 2024 r. na polecenie prokuratury funkcjonariusze Służby Kontrwywiadu Wojskowego przeszukali dom pułkownika. Zabezpieczono telefony, laptopy, komputery, płyty CD, pendrive’y i tysiące dokumentów wojskowych, w tym

Środowisko Macierewicza

Krzysztof G. zrobił karierę dzięki Antoniemu Macierewiczowi. Zanim został doradcą Michała Dworczyka, był pod skrzydłami ministra obrony. Po wygranych przez PiS wyborach przywrócono go do czynnej służby wojskowej (od 2011 r. był w rezerwie kadrowej), dostał awans na pułkownika i stanowisko szefa Zarządu Organizacji i Uzupełnień Sztabu Generalnego WP, gdzie wdrażał koncepcję budowy Wojsk Obrony Terytorialnej, które były oczkiem w głowie Macierewicza. Jesienią 2016 r. G. został zdymisjonowany po ujawnieniu jego antysemitkich i antyukraińskich ▶

► wypowiedzi. Krzywda jednak mu się nie stała, bo w 2018 r. trafił do KPRM.

Krzysztof G. – podobnie jak jeszcze kilku innych zaufanych ludzi Antoniego Macierewicza – związany jest z Fundacją Narodowe Centrum Studiów Strategicznych (NCSS), prywatnym think tankiem, gdzie był ekspertem. Założycielami NCSS byli Tomasz Szatkowski i Jacek Kotas.

Ten pierwszy zasiadał razem z Macierewiczem w komisji weryfikacyjnej żołnierzy Wojskowych Służb Informacyjnych (WSI). Po zakończeniu pracy komisja przedstawiła raport z likwidacji WSI. Wybuchł skandal, bo ujawniono szczegóły tajnych operacji, nazwiska oficerów działających za granicą oraz dane agentów w tak wrażliwych miejscach jak Afganistan, Irak czy Iran. Były szef WSI gen. Marek Dukaczewski nazwał takie działanie „zdradą stanu”. W 2015 r. Szatkowski został wiceministrem obrony narodowej, a w 2019 r. ambasadorem przy NATO. W 2024 r. odwołano go z placówki w atmosferze skandalu. Według doniesień medialnych Szatkowski w 2018 r. nie przeszedł badania na wykrywaczu kłamstw, które przeprowadziła SKW. Chodziło o pytania dotyczące współpracy ze służbami innego kraju, wynoszenia tajnych dokumentów oraz treści oświadczenia majątkowego. Pomimo tego Szatkowski dostał poświadczenie bezpieczeństwa, czyli certyfikat dostępu do informacji niejawnych. Działo się to za wiedzą Jarosława Kaczyńskiego.

Drugi współzałożyciel NCSS, Jacek Kotas, również ma ciekawą przeszłość. W 2006 r. został prezesem Wojskowej Agencji Mieszkaniowej, a w 2007 r., gdy Jarosław Kaczyński stał na czele rządu, przypadł mu stołek wiceministra obrony narodowej. Dzięki Macierewiczowi, który był wówczas szefem SKW, Kotas miał dostęp do tajemnic państwowych. I to mimo że przez wiele lat pełnił funkcje kierownicze w spółkach grupy Radius kontrolowanych przez mafię rosyjską i ludzi związanych z KGB/FSB. Kotas i spółka Era należąca do grupy Radius przewijają się w podejrzanej transakcji nabycia nieruchomości, którą przeprowadził w 2009 r. Adam Glapiński. Chodzi o głośną sprawę zamiany domów, na której obecny szef NBP miał skorzystać. Era przekazała Glapińskiemu atrakcyjną posiadłość pod Warszawą, a w zamian wzięła znacznie mniejszy dom w Wilanowie i nie zażądała dopłaty. Z kolei żona Zbigniewa Ziobry, jak ujawnił Tomasz Piątek, kupiła w 2010 r. 150-metrowy apartament od Andrzeja Kozłowskiego, współpracownika SB, prokurenta Ery i partnera biznesowego Kotas.

Przejęcie przez służby specjalne bogatego dossier płk. Krzysztofa G., które z pewnością skrywa wiele tajemnic, być może da odpowiedzi na sporo pytań, m.in. o związki Antoniego Macierewicza i jego środowiska z Rosją.

Andrzej Sikorski

Szanowny Panie Premierze,

zwracam się do Pana z prośbą o ratunek dla *Polskiego Słownika Biograficznego* (PSB). Panu – historykowi z wykształcenia – nie trzeba tłumaczyć, czym jest to dzieło. Najkrócej mówiąc: to dobro narodowe, jeden z pomników polskiej humanistyki. Gdy 25 listopada 2010, w obliczu ówczesnych zagrożeń, Sejm Rzeczypospolitej objął PSB honorowym patronatem, głosowały za tym jednomyślnie wszystkie kluby i wszyscy posłowie.

I.

Spotykam się czasem z pytaniem: „po co PSB, przecież jest Wikipedia!”. A przecież Wikipedia gros swych haseł z historii i kultury polskiej opiera na biogramach PSB. W Wikipedii błędy są na porządku dziennym – w PSB minimalizuje je wieloszczeblowy system kontroli. Większość haseł w Wikipedii rodzi się z doraźnej potrzeby – biogramy PSB powstają systematycznie: w oparciu o przygotowaną wcześniej *Listę haseł*. A przy tym są w PSB setki biogramów, o których Wikipedia nawet nie wspomina.

Niemal każdy naród ma swój słownik biograficzny. Istnieją słowniki francuski, szwedzki, węgierski, belgijski, holenderski, czeski, słowacki, chorwacki, oczywiście także amerykański i kanadyjski, a również argentyński, południowoafrykański czy australijski. Słowniki biograficzne mają nawet państwa tak małe jak Luksemburg i narody tak mikroskopijne jak Łużycanie.

Wydawanie słownika biograficznego trwa zawsze latami – np. słownik szwedzki zaczął się ukazywać w roku 1917 i dotąd nie został ukończony (doszedł do litery S). Wychodząca w latach 1953-2024 *Neue Deutsche Biographie* obejmuje 28 tomów, ale łącznie z jej poprzedniczką, *Allgemeine Deutsche Biographie* (1875-1912), liczy 84 tomy, a ukazywała się ogółem 108 lat. Również Brytyjczycy dokonali w latach 1992-2004 nowej redakcji *Oxford Dictionary of National Biography* i przy udziale 10 tys. współpracowników z całego świata wydali go w 60 tomach (dzieło to, łącznie z corocznymi suplementami, liczy dziś 60 tys. biogramów). Włosi w grudniu 2020 ukończyli, wydawany od roku 1960, *Dizionario biografico degli Italiani*; zawiera on w 100 tomach 40 tys. haseł. Słownik ten wydaje L'Istituto della

Z głębokim smutkiem i żalem zawiadamiamy, że w dniu 3 lutego 2025 roku zmarł

Profesor Marian Marek Drozdowski

Wybitny historyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego,
autor wielu cenionych publikacji naukowych.

Współpracownik i przyjaciel Muzeum Niepodległości,
człowiek o wielkim sercu i oddany swojej pasji.

Profesor Drozdowski był nie tylko wybitnym naukowcem, ale także wspaniałym
człowiekiem, który swoją wiedzą i doświadczeniem dzielił się z innymi.

Jego śmierć jest ogromną stratą dla polskiej nauki i kultury.

Składamy wyrazy głębokiego współczucia Rodzinie i Bliskim Profesora.

Dyrekcja i Pracownicy Muzeum Niepodległości w Warszawie

Prof. zwyczaj. dr hab. Andrzej Romanowski
redaktor naczelny Polskiego Słownika Biograficznego

SŁOWNIK PAMIĘCI NARODOWEJ

LIST OTWARTY DO PREMIERA DONALDA TUSKA



Enciclopedia Treccani, którego dyrektora powołuje prezydent Republiki. Wszystkie narodowe słowniki biograficzne mają podobny prestiż. Wszystkie też korzystają ze stałego finansowania państwa.

*A Polski Słownik Biograficzny? Wychodzi on w Krakowie od 90 lat: jego pierwszy zeszyt ukazał się 10 stycznia 1935. Liczy, jak dotąd, 55 tomów i 35 984 strony drobnego, dwuszpaltowego druku. Zawiera 28 785 biogramów ułożonych w jednolitym porządku alfabetycznym i aktualnie kończy literę T. Poziom naukowy tych biogramów, ich szczegółowość, ścisłość i dokładność, zbliżające się niekiedy do minimonografii, lokują nas w ścisłej czołówce światowej: wystarczy porównać PSB z *Österreichisches Biographisches Lexikon*, z jego krótkimi, syntetycznymi notami. PSB jest zaś tym więcej zadziwiający, że powstaje metodą nieledwie chałupniczą: robi go (na bazie artykułów nadsyłanych przez autorów) garstka wysoko wykwalifikowanych redaktorów pasjonatów, którzy za swą pracę otrzymują wynagrodzenie na ogół bliskie płacy minimalnej.*

II.

Problemy Polskiego Słownika Biograficznego są znane opinii publicznej. Informowały o nich media (Andrzej Nowakowski w „Gazecie Wyborczej” 5-6 października 2024, Paweł Siergiejczyk w „Przeglądzie” 20-26 stycznia 2025). Na posiedzeniu plenarnym Sejmu 12 lipca 2024 posłanka Dorota Olko zaapelowała o ponadpartyjne porozumienie w sprawie zapewnienia *Słownikowi* stabilnego funkcjonowania. Wszystkie te głosy nie wywołały, jak dotąd, odzewu. Nie przyniosły też skutku moje, trwające już 18 lat, starania. Stąd mój list do Pana Premiera, który jest już tylko krzykiem rozpacz.

Gdy z dniem 1 stycznia 2003 obejmowałem redakcję *Polskiego Słownika*

Biograficznego, jego sytuacja finansowa była ustabilizowana. Wprawdzie zarobki były tu zawsze niskie, ale nie sytuowały się jeszcze w pobliżu płacy minimalnej. Honoraria autorskie i koszty druku pokrywała Fundacja na rzecz Nauki Polskiej. W dodatku w roku 2004 Fundacja wprowadziła premie motywacyjne dla redaktorów. I zapewniała, że *Słownik* będzie dotować do końca swego istnienia.

Niestety, w roku 2007 nowy Zarząd Fundacji nie podtrzymał tych zobowiązań: premie zostały zlikwidowane, a dotację obcięto o dwie trzecie (po czterech latach całkiem ją zniesiono). W tej sytuacji zatroszczył się o *Słownik* Pana rząd. W latach 2010-2011 zapewnił nam pomoc minister kultury Bogdan Zdrojewski. A w latach 2012-2016 żyliśmy z Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki (NPRH), stworzonego – z myślą zwłaszcza o PSB – przez minister nauki Barbarę Kudrycką.

Później było już tylko gorzej. W latach 2016 i 2017 nowa Rada NPRH dwukrotnie odmówiła nam dotacji. W roku 2019 przyznała nam ją, ale znacznie poniżej potrzeb. Ta dotacja kończy się 5 marca br. Gdyby nie przyznana dodatkowo w sierpniu 2024 dotacja celowa wiceministra nauki Macieja Gduli, PSB za miesiąc przestałby się ukazywać. Ale ta dotacja musi być rozliczona do 31 grudnia 2025, a jej kontynuacji nie widać.

Mówi się: trzeba korzystać z nowego grantu NPRH. Ale to droga donikąd. Zasadą NPRH jest niemożność aplikowania o nowy grant, dopóki nie rozliczy się grantu poprzedniego. Czekanie na nowy grant może przeciągnąć się do szeregu miesięcy, może i kilku lat. Gdybyśmy jednak nawet dostali grant wkrótce po 5 marca (co jest nierealne) i gdybyśmy natychmiast wystali zamówienia do autorów, wówczas zaczyna bić następujący zegar: autor na napisanie biogramu potrzebuje

około dziewięciu miesięcy, redaktor (który de facto jest zawsze ukrytym współautorem, tak wiele poprawek wprowadza) potrzebuje kolejnych dziewięciu miesięcy, a następne dziewięć miesięcy musi być poświęcone na autoryzację, prace adiustacyjne i wydawnicze. A zatem, licząc nawet od połowy tego roku (co, powtarzam, nie jest realne), w wydawaniu *Słownika* musiałaby nastąpić przerwa co najmniej dwuletnia. W praktyce oznaczałoby to jego kres.

I oto sprawa, z którą zwracam się do Pana Premiera. Proszę umożliwić dalsze istnienie *Polskiego Słownika Biograficznego*! Proszę zapewnić mu stabilizację, a więc finansowanie stałe, corocznie odnawialne, zabezpieczone ustawowo! Potrzeba na to 2,5 mln zł rocznie. Czy jest to nie do udźwignięcia dla budżetu?

III.

Panie Premierze, nie poruszam tu kwestii II serii PSB. Ponieważ *Słownik* publikuje wyłącznie biogramy osób nieżyjących i ponieważ w trakcie jego wychodzenia umierali różni wielcy Polacy, nie mamy dotąd biogramów np. Władysława Andersa, Jana Pawła II, Tadeusza Mazowieckiego, Jacka Kuronia, Czesława Miłosza czy Władysława Szymborskiej.

Kiedyś trzeba będzie to załatwić, ale dziś musimy ratować to, co jest. Już teraz ciąg wydawniczy PSB został zamrożony, bo z braku finansowania nie możemy zamawiać nowych haseł. A co będzie po 31 grudnia?

Uniestwienie *Polskiego Słownika Biograficznego* byłoby nie tylko zbrodnią na polskiej humanistyce. Byłoby czymś, co można by porównać tylko z jego dwukrotnym zamknięciem: w roku 1939 przez okupanta hitlerowskiego i w roku 1949 przez władze stalinowskie. Nie mieści mi się w głowie, by mogła do tego dopuścić Polska wolna i niepodległa. ■

Lista Wildsteina trampoliną PiS

Dzika lustracja i barbarzyńska inkwizycja

Robert Walenciak

„Dawno nie było wydarzenia, które by tak podzieliło szeroko rozumianą elitę polityczną i intelektualną, jak upublicznienie tzw. listy Wildsteina. Dotychczas we wszystkich bulwersujących sprawach wyodrębniał się natchniony główny nurt, dominujący ton wypowiedzi, który pospół określały »Gazeta Wyborcza«, »Rzeczpospolita«, telewizja publiczna i TVN. W ślad za tym podążała sondażowa opinia publiczna. Kto się wyłamywał, ten był uważany za prawicowego lub lewicowego radykała, a właściwie oszołoma. Teraz medialne wpływy zwolenników powszechnej lustracji i jej przeciwników wydają się wyrównane. Ten spór i konflikt jest w istocie wielowymiarowy”, pisał w lutym 2005 r. prof. Jacek Raciborski.

Miał rację, lista Wildsteina, jej publikacja, zmieniła Polskę. Na górze przyniosła pęknięcie w elitach post-solidarnościowych oraz mediach popierających post-Solidarność, co w konsekwencji doprowadziło do rozpadu PO-PiS i uczyniło z Jarosława Kaczyńskiego jednego z dwóch hegemonów na polskiej scenie politycznej. Na dole spowodowała masę nieszczęść, polowanie na niewinnych ludzi. Kolejną eksplozję społecznej hysterii. W ten sposób wojna na górze dotarła pod strzechy i zepsuła Polaków.

Co to jest lista Wildsteina

Historia listy, jak to opisuje we wspomnieniach Antoni Dudek, ma

początek jeszcze w roku 2002. Wtedy na posiedzeniu Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej dyrektor archiwum IPN Bernadetta Gronek poprosiła o podjęcie decyzji, w jakiej postaci mają być udostępniane spisy teczek.

Rzecz była istotna. Do tej pory do archiwum IPN dostęp z mocy ustawy miały tzw. osoby pokrzywdzone, czyli te, które były inwigilowane, a poza tym naukowcy i dziennikarze. Ten dostęp był bardzo utrudniony. Bo najpierw należało prosić archiwum o informację, czy akta danej osoby istnieją i jak są oznaczone. A dopiero potem, mając sygnatury, wnioskować o teczki. Trwało to nieraz miesiącami. Zapadła więc decyzja, by zbiory IPN objąć ogólnodostępnym katalogiem osobowym. Tu pojawił się problem, jakie zbiory ma ten katalog objąć.

Część profesury przestrzegała, że może z tym być mnóstwo problemów, że łatwo będzie o ludzką krzywdę, bo na podstawie jednej teczki nie sposób wyrokować, jakie dana osoba miała związki z SB. Mówił o tym w „Przeglądzie” prof. Andrzej Friszke. Oto fragment rozmowy:

„– Weźmy status KTW, czyli kandydata na tajnego współpracownika. Może on kryć różną treść. Może oznaczać, że bezpieka nawiązała z danym człowiekiem kontakt i że de facto rozpoczęła się współpraca. Może też oznaczać, że nawiązała kontakt, zaproponowała współpracę, a on odmówił, więc do dalszych kontaktów nie doszło, ale przecież tateczka została. A mogło być i tak, że ktoś został przez SB wytypowany na tajnego współpracownika, więc założono mu

teczkę i zaczęto koło niego chodzić, zbierać materiały pomocne w werbunku. I w którymś momencie sprawę, z różnych powodów, przerwano. W tym przypadku on nawet nie wiedział, że interesuje się nim SB! Nikt z nim nie rozmawiał! Ateczka jest.

– Jak jednych oddzielić od drugich?

– Bez zajrzenia do teczki nie sposób tego zrobić. To magma, guma. Żeby dokładnie określić, jak było naprawdę, trzeba by sprawdzać wszystko, teczka po teczce. Każdy przypadek prześwietlać indywidualnie”.

To było wołanie na puszczy. W IPN przyjęto rozwiązanie, że akta zostaną zmieszane. To znaczy do jednego katalogu zostaną wrzucone teczki informatorów, osób, które były wytypowane jako kandydaci na informatorów, oraz funkcjonariuszy UB i SB.

Tak powstała lista w Warszawie. Liczyła ponad 160 tys. nazwisk. Zamieszczona została w czytelni archiwum IPN przy ulicy Towarowej pod koniec listopada 2004 r.

Wśród fanów teczek błyskawicznie rozeszła się wiadomość, że istnieje katalog z sygnaturami „agentów”. Na to, że są tam również teczki tych, którzy współpracy nie podjęli, albo funkcjonariuszy, nikt nie zwracał uwagi. Zaczęto robić amatorskie odpisy nazwisk.

Aż w końcu szambo eksplodowało.

Tym, który wykonał brudną robotę, był Bronisław Wildstein, wtedy pracujący w „Rzeczpospolitej”. Jak ustalono, Wildstein nie mógł skopiować tej listy sam, bo komputery w czytelni IPN możliwości



Brudną robotę wykonał Bronisław Wildstein, ale prawdopodobnie listę skopiował mu któryś pracownik IPN. Nz. pikietą w obronie Wildsteina pod siedzibą „Rzeczpospolitej”, Warszawa, 4 lutego 2005 r.

kopiowania nie miały. Najprawdopodobniej więc zrobił to któryś pracownik instytutu. A potem Wildstein podesłał ów „indeks” niektórym kolegom dziennikarzom. Jak później tłumaczył, aby mogli zwrócić się do IPN w celu odtajnienia istotnych dla nich materiałów dotyczących konkretnych osób. Co samo w sobie było śmieszne, bo dziennikarze mogli osobiście udać się do czytelni IPN i tam szukać interesujących ich nazwisk. Usłużność Wildsteina nie była im potrzebna.

Ale nie bądźmy naiwni, przecież nie o to w tej sprawie chodziło. Intencja była oczywista – Wildstein zamierzał odpalić bombę i odpalił.

Chaos i strach (na dole)

Artykuł w „Gazecie Wyborczej” zatytułowany „Ubecka lista krąży po Polsce” tylko przyspieszył to, co było nieuniknione. Kopie listy rzeczywiście zaczęły krążyć po Polsce. A ponieważ nie były zabezpieczone, co poniektórzy zaczęli dopisywać kolejne nazwiska. Efekt? Po kraju rozlała się dzika lustracja.

W Krakowie polityk Platformy Obywatelskiej, przyjaciel Jana Rokity,

Zbigniew Fijak, powołał zespół, który zaczął lustrować środowiska Uniwersytetu Jagiellońskiego i „Tygodnika Powszechnego”.

W tymże Krakowie Klub Radnych Prawa i Sprawiedliwości zażądał, aby prezydent Krakowa Jacek Majchrowski, radni oraz dyrektorzy wydziałów urzędu miasta i prezesi miejskich spółek poddali się autolustracji.

Wildstein zamierzał odpalić bombę i odpalił. Po kraju rozlała się dzika lustracja.

W Lublinie ujawnieniem list agentów SB działających na KUL zaczął grozić Ryszard Bender.

W Gdańsku Krzysztof Wyszkowski ujawnił, że wśród inwigilujących „Tygodnik Solidarność” był agent o pseudonimie „Nowak”. I że jest to pseudonim Małgorzaty Niezabitowskiej.

W Katowicach lista Wildsteina trafiła na tablicę ogłoszeń w budynku Uniwersytetu Śląskiego. Nazwiska identyczne z nazwiskami wykładowców zostały podkreślone. Media cytowały wypowiedź zagadniętej studentki: „Przecież nawet dzisiaj mówi

się, że to Czerwony Uniwersytet. Powstał za czasów PRL. Na pewno tu byli agenci”.

W Warszawie oskarżeni o to, że byli agentami SB, zostali Jadwiga Staniszkis i Andrzej Paczkowski. Staniszkis dowiedziała się, że jest na liście Wildsteina, chwilę przed emisją programu Jacka Żakowskiego i doznała szoku. Miała szczęście, w programie uczestniczył prof. Friszke, który mógł błyskawicznie potwierdzić jej niewinność. Widział bowiem jej teczkę i była to teczka osoby, na którą zbierano materiały, by później przystąpić do werbunku, do czego jednak nie doszło.

W podobnej sytuacji znalazł się prof. Paczkowski, na którego również zbierano kwity i który otrzymał status osoby pokrzywdzonej.

W mniejszych miejscowościach musiały się tłumaczyć osoby noszące popularne nazwiska. Tak jak Andrzej Karaś, wójt gminy Zaleszany. Domagano się jego dymisji, bo agent. Rzeczywiście to nazwisko znalazło się w katalogu IPN, ale chodziło o innego Karasia.

Takie i inne przypadki podgrzewały atmosferę. Jeszcze w grudniu 2004 r. sędzia Bogusław Nizieński, rzecznik interesu publicznego, ogłosił, że nie wyjaśnił do końca spraw 588 osób. W tej grupie było m.in. 335 adwokatów, 81 sędziów, 47 postów, 43 dziennikarzy itd. Ich

nazwiska są zapisane w księgach rejestracyjnych SB – mówił – ale nie ma ich akt, więc w sądzie nie mógłby wygrać sprawy.

Te wszystkie informacje budowały atmosferę wszechogarniającego spisku i tworzyły podglebie nagonki. Zwłaszcza że do listy można było dopisywać nazwiska. Znalazł się na niej nawet Kaczor Donald. Ale to był śmiech przez łzy.

Różne wersje listy Wildsteina stały się listami hańby – ludzie najpierw sprawdzali, czy jest tam ich nazwisko. Potem szukali nazwisk swoich bliskich, rodziców, krewnych, wrogów ▶

► i znajomych. A następnie dzwonili do siebie z rewelacjami.

Ci, którzy znaleźli swoje nazwisko, a czuli się niewinni, przyjeżdżali do IPN, by ratować swoją godność. W telewizji można było więc zobaczyć tłumy w małym holu biurowca instytutu. Ludzi tłoczących się przy dwóch stołach, wypełniających wnioski na parapetach. Takich wniosków wpływało kilkaset dziennie.

To ofiary współczesnej inkwizycji. Proszę, oto twoje imię i nazwisko, ogłaszamy je publicznie, niech każdy wie, a teraz udowodnij, że to nie ty. Jak masz szczęście, zajmie to dwa-trzy tygodnie, bo tyle będzie trwało ekspresowe sprawdzanie, zastrzeżone dla tych, którzy „są na liście Wildsteina”, tak postanowiło kierownictwo IPN. A jeżeli nie, może to trwać nawet lata. Przez ten czas będziesz obywatelem drugiej kategorii, agentem, który musi udowodnić, że nim nie jest. Osobą trędowną dla rodziny, przyjaciół i współpracowników.

Histeria teczkowa sformatowała myślenie milionów Polaków o Polsce Ludowej. Nagle 40 lat zostało sprowadzone do teczek, agentów, SB.

„Elementarna uczciwość nakazuje potępić to, co się stało – mówił w TVN 24 wstrząśnięty całą sytuacją Tadeusz Mazowiecki. – Barbarzyństwo się stało”.

Lud tak chce

Te słowa nie zatrzymały fali. Sprawa teczek, rozliczeń, lustracji i agentów SB trafiła na podatny grunt. Pokazał to sondaż CBOS z przełomu lutego i marca 2005 r., w którym 45% Polaków przyjęło pozytywnie ujawnienie teczek. Negatywnie ledwie 27%.

Zadecydowała ciekawość? Raczej nie. Chodziło o ważniejsze sprawy. W tę czulszą nutę uderzał zresztą Wildstein: „Chcą ukryć przed nami, dziennikarzami, społeczeństwem, jego najnowszą przeszłość, teraźniejszą, by pozostawić ekskluzywną wiedzę tych, którzy zdaniem towarzystwa tę wiedzę powinni sprawować”.



Na podstawie jednej teczki nie sposób wyrokować, jakie dana osoba miała związki z SB. Łatwo więc było o ludzką krzywdę.

Zarysował zatem dwa światy, a w ślad za nim rysowali podobny podział inni przedstawiciele prawicy. Ze z jednej strony jest lud, przed którym pewne bardzo ważne sprawy są ukrywane, a z drugiej ci, co ukrywają. Byli agenci i funkcjonariusze SB,

i ich agentów, czy jawnie, uczciwie?

Pytanie brzmiało zatem: czy jesteś za ukrytymi przed ludźmi kombinacjami, czy za jawnością? Do tego dorzucano wątpliwość: dlaczego jacyś archiwiści mają nam mówić, co jest w teczkach i czy możemy je oglądać lub nie możemy? Przekażcie tę decyzję w nasze ręce!

Ale najważniejsze w tym sporze było chyba to, że lustratorom udało się poruszyć jeszcze inną emocję. Otóż przekonali wielu Polaków, że ludzie z teczkami – czyli ci, którzy byli agentami, i ci, którzy ich chronią – to elita, ta wyłoniła przy Okrągłym Stole. I że uderzając w nich, ten stół wywracamy. Że elitom, które wówczas się dogadały, by Polską rządzić, można pokazać czerwoną kartkę. Można je pozbawić powagi, pogryźć. „Lud w swej masie lubi rozliczenia i zrucanie z piedestału tych, którym się udało – opisuje to zjawisko prof. Jacek Raciborski. I dodaje: – Te zachowania to był przejaw antyelitizmu. A antyelitizm jest rdzeniem wszelakich populizmów”.

Innymi słowy, wtedy wszystko się zaczęło. Te nastroje były jak fala na oceanie, na którą wskoczyli politycy. Wyniknęła z tego bardzo ciekawa rozgrywka, której towarzyszyła jeszcze inna – wojna mediów.

Wspomina o niej Jacek Raciborski we fragmencie zamieszczonym na wstępie – sprawa lustracji zachwiała dotychczasowym fadem medialnym w Polsce. Naruszony został dotychczasowy porządek, w którym główny

postkomuniści. No i ta część dawnej Solidarności, która zasiadła z nimi do Okrągłego Stołu. A przecież lud – argumentowano – ma święte prawo znać prawdę, ma prawo wiedzieć, kto go gnębił.

Walka o ujawnienie zawartości teczek traktowana była w tej opowieści jako walka o prawdę. Lustratorzy stroili się w szaty jedynych sprawiedliwych, rycerzy walczących o prawdę. Która, jak wiadomo, nas wyzwoli. Ale ta konstrukcja zakłada jeszcze jedno – że naprzeciw rycerzy prawdy stają obrońcy kłamstwa. Oto mamy manichejski podział!

Do obywateli trafiał też inny argument. Że teczki SB i innych służb to Święty Graal polskiej polityki. Że kto nad nimi panuje, ten panuje nad Polską. Bo może szantażować, spiskować, rozgrywać wiele spraw za kurtyną. Zerwijmy ją! – wołali więc lustratorzy. – Czy chcemy, by o sprawach Polski decydowano w gronie wtajemniczonych, dawnych esbeków

nurt wypowiedzi określały „Gazeta Wyborcza”, telewizja publiczna i TVN. Wpływy zaczęli zdobywać dziennikarze mediów prawicowych. Wtedy, w zderzeniu z mediami głównego nurtu, zaczęli budować swoją siłę.

A na górze wojna

Wojna mediów była kalką wojny polityków, nowej wojny na górze. Tym razem prowadzonej przede wszystkim wewnątrz obozu postsolidarnościowego.

Rozgrywka okazała się bardzo ciekawa. Początkowo prym wiodł w niej Roman Giertych, jego Liga Polskich Rodzin złożyła projekt ujawnienia wszystkich teczek. Ujawnijmy wszystko, a ludzie sami rozsądzą! – wołali. Jarosław Kaczyński był bardziej powściągliwy. Mówił, że trzeba ujawnić, ale bez tzw. informacji intymnych, obyczajowych. Jednak potem, gdy okazało się, że projekt LPR nie ma szans, że tecki nadal będą pod strażą IPN, ruszył energicznie do walki. I szybko tę walkę sformatował.

Nawiązał do swojej starej tezy, że całe zło Trzeciej RP wywodzi się z Polski Ludowej, ze służb specjalnych. Że dawne tajne układy między agentami i ich oficerami prowadzącymi wciąż istnieją i pasożytują na współczesnej Polsce.

W tej opowieści tecki grały więc kluczową rolę. Poza tym ta opowieść wpasowała się znakomicie w falę rosnącego populizmu. Mógł wreszcie przeciwstawić Trzeciej RP swoją Rzeczpospolitą – Czwartą. Zastużonym liderom opozycji demokratycznej mógł rzucić w twarz: agenci,

Okragły Stół, SB... I zakrzyknąć: wy, którzy byliście do tej pory w drugim szeregu, nie załapałście się na konfektury, skupcie się wokół mnie! Kaczyński po latach różnych politycznych eksperymentów znalazł swoją melodię. Czego zwieńczeniem było hasło z wyborów prezydenckich 2005: Polska liberalna kontra Polska solidarna.

Rok 2005 zbudował pozycję PiS na polskiej scenie. Jeszcze w lutym 2005 r. partia ta miała 15% poparcia. A potem, gdy rozkręcały się emocjeteczkowe, ruszyło to w górę i w kwietniu miała już 24%. Jesienią Lech Kaczyński wygrał wybory prezydenckie, a w listopadowych wyborach PiS uzyskało 27% i było największą partią w Sejmie.

Walka o ujawnienie zawartości teczek w tej opowieści traktowana była jako walka o prawdę.

Jeżeli więc mówimy o Prawie i Sprawiedliwości, to lista Wildsteina, awantura, którą wywołała, jest jednym z jego kamieni węgielnych. Jednym z najważniejszych wydarzeń w historii PiS.

Jednocześnie był to rok, w którym zatonała lewica. Nie tylko politycznie. Histeria teczkowa sformatowała myślenie milionów Polaków o Polsce Ludowej. Nagle 40 lat zostało sprowadzone do teczek, agentów, SB... Do najbrudniejszej części ludzkich działań. To trwale zepchnęło SLD do defensywy. Zmusiło do prób odcinania się od dziedzictwa PRL. Z efektami, które obserwowaliśmy w kolejnych latach.

A jeśli ktoś wątpi, że Kaczyński rozegrał sprawę listy Wildsteina cynicznie, to przypomnę tylko, że jego sekretariatem w tym czasie zarządzała pani Basia, była sekretarka gen. Michała Janiszewskiego, szefa URM w czasach Wojciecha Jaruzelskiego. Finansami partii kierował Stanisław Kostrzewski, członek PZPR do momentu jej rozwiązania. A wspomagał go w tym Kazimierz Kujda, agent SB o pseudonimie Ryszard. Nawiasem mówiąc, jego nazwiska nie ma na liście Wildsteina. Warto więc sprawdzić, dlaczego wtedy go ukrywano. Ten wątek zakończmy informacją, że paręnaście dni temu Sąd Apelacyjny w Warszawie utrzymał w mocy orzeczenie sądu pierwszej

instancji uznające Kazimierza Kujdę za kłamcę lustracyjnego.

Co innego zatem się robi, a co innego opowiada ludziom.

Błędem byłoby, gdybyśmy afere z listą Wildsteina uznali za efekt motyla, za wydarzenie przypadkowe, które wywołało ruchy tektoniczne na polskiej scenie politycznej. Raczej było odwrotnie – przemiany następowały, zmieniało się społeczeństwo, zmieniały się partie. I ta para musiała znaleźć ujście. Kto miał więcej talentu politycznego, refleksu i szczęścia, ten sytuację wykorzystwał. Kto się zagapił, odpadł. Na wiele lat. A może i na zawsze.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

ZAMÓW PRENUMERATĘ POCZTOWĄ PRZEGLĄDU 2025 Z DOSTAWĄ DO DOMU

Cena bez zmian. Jeden egzemplarz w prenumeracie 7,50 zł

97,50 zł – II KWARTAŁ 292,50 zł – II, III, IV KWARTAŁ

Zamówienia są przyjmowane do 25 lutego 2025 r.

we wszystkich placówkach pocztowych lub u listonoszy

albo drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl



Prawa ucznia między bajki

Rozstrzygnięto konkurs pokazujący, jak łamane są prawa ucznia – wygrał zapis, który łamie i polską konstytucję, i prawo międzynarodowe

Kornel Wawrzyniak

Pod koniec stycznia Stowarzyszenie Umarłych Statutów ogłosiło wyniki IV edycji plebiscytu na Statutowy Absurd Roku. To forma happeningu, poprzez którą największa organizacja zajmująca się ochroną interesów uczniów zwraca uwagę na problem nagminnego nieprzestrzegania praw uczniowskich w polskich szkołach. Dyrektorzy, nauczyciele, pedagodzy i sami uczniowie często nie wiedzą, jak powinien wyglądać prawidłowo skonstruowany statut szkoły.

Dyrektor ważniejszy niż Konstytucja RP

Plebiscyt organizowany przez SUS odbywa się czwarty rok. Stowarzyszenie tropi najbardziej niedorzeczne przepisy obowiązujące w szkołach na terenie całej Polski. W tym roku wygrała Szkoła Podstawowa nr 2 z Wodzisławia Śląskiego. Zwycięski zapis był parafrazą art. 31 Konstytucji RP, mówiącego, że ograniczenie praw i wolności obywatelskich jest możliwe tylko na mocy ustawy. W wodzisławskiej podstawówce natomiast ustanowiono, że takie uprawnienie będzie przysługiwało dyrektorowi. – Wśród praw, które mogły być ograniczone, znalazły się Konwencja o prawach dziecka, Powszechna deklaracja praw człowieka czy niektóre

prawa wynikające wprost z konstytucji. Taka sytuacja w Polsce jest możliwa w zasadzie tylko w ramach stanu wyjątkowego wprowadzonego przez prezydenta na wniosek

rządu. A statut wodzisławskiej szkoły przyznawał tę kompetencję dyrektorowi placówki – wyjaśnia Damian Zdancewicz z SUS.

Przypadek jest skrajny, ale nie odosobniony. Co więcej, art. 31 Konstytucji RP jest w statutach szkół chyba najczęściej łamanym zapisem ustawy zasadniczej. SUS opublikowało w 2023 r. raport „Prawa ucznia w Polsce”, w którym ponad 80% ankietowanych mówiło o poczuciu, że ich prawa w szkole są naruszane. Jednym z najpoważniejszych problemów, na które zwracają uwagę autorzy raportu, jest kwestia oceny wyglądu. Z badania przeprowadzonego przez stowarzyszenie wynika, że statuty ogromnej części szkół ograniczają swobodę uczniów w zakresie stroju. Niemal połowa ankietowanych twierdzi, że w statutach ich szkół są takie zapisy. Kolejne 44% badanych podkreśla, że ubiór czy makijaż ma wpływ na ocenę z zachowania. Tymczasem, regulując zasady wyglądu uczniów, statut szkoły ogranicza ich wolność, która – zgodnie z art. 31 ust. 3 Konstytucji RP – może być ograniczana tylko w drodze ustawy, stwierdzają autorzy raportu.

Nielubiany uczeń ma niższą ocenę

Drugie miejsce w tegorocznym plebiscycie zdobyła Szkoła Podstawowa nr 1 w Myślenicach. Tam przewidziano, że w ocenie



Stowarzyszenie Umarłych Statutów jest pierwszą i największą w Polsce organizacją bezpośrednio broniącą interesów uczniów. Przyświeca mu cel rozpowszechniania wśród polskich uczniów wiedzy o ich prawach i sposobach ich ochrony, pomocy w indywidualnych przypadkach oraz lobbowania za zmianami czyniącymi polską szkołę wolną od bezprawia i skutecznie przygotowującą do życia w XXI w.

zachowania bierze się pod uwagę to, czy uczeń jest akceptowany przez koleżeństwo.

– To zupełne odwrócenie roli szkoły, która powinna pomagać uczniom zmagającym się z brakiem akceptacji, a nie karać ich za to – wytyka członkini SUS i koordynatorka plebiscytu Emilia Kassner. – Oceniać w ramach oceny zachowania można wyłącznie to, na co uczeń ma wpływ. A brak akceptacji może wynikać z różnych powodów, np. dyskryminacji, czemu szkoła musi przeciwdziałać – dodaje.

To kolejna praktyka, którą zna z autopsji wielu uczniów. W licznych, o zgrozo, podstawówkach wychowawcy urządzają pod koniec semestru wśród uczniów ewaluację i samoocenę, która jest brana pod uwagę przy ocenie z zachowania. Dzieci muszą ocenić samych siebie w skali 1-10. W tej skali muszą też oceniać kolegów. Czy wchodzącym w wiek dojrzewania uczniom, którzy i tak mają wiele kompleksów, taka ocena w czymś pomaga? Uzasadnień merytorycznych brak, a praktyka stała się dodatkowym elementem dyskryminacji na forum szkolnym.

– Chciałoby się powiedzieć: centrum europejskiej stolicy, dobra szkoła. A bzdury robią bez zastanowienia. Dzieci robią sobie żarty, a co wrażliwsze bardzo to przeżywają. Jedyne efekty są takie, że część dzieciaków łapie stany depresyjne, w szczególności omamione Instagramem dziewczynki. Wszystko dlatego, że klasa nie dała 10 na 10. Na rodzica spada zaś ciężar tłumaczenia, że wychowawczyni jest po prostu niepoważna. Tylko jak dziecko ma to zrozumieć, skoro od tego notowania 10 na 10 zależy ocena z zachowania? – mówi ojciec, którego syn chodzi do V klasy.

Nowy szkolny przedmiot – Facebook

Aż dziw bierze, że tegoroczny zdobywca trzeciego miejsca nie został sklasyfikowany ex aequo ze zwycięzcą. W I Prywatnym Liceum Sztuk Plastycznych im. W. Dąbrowskiego w Płocku zdecydowano, że uczniowie będą oceniani

za aktywność na oficjalnym profilu facebookowym szkoły. Zdaniem SUS skutkowało to ryzykiem obniżenia ocen m.in. za krytyczne opinie uczniów na temat placówki. Pogląd ten podzieliło Centrum Edukacji Artystycznej (CEA), które prowadzi nadzór pedagogiczny nad szkołami artystycznymi, i nakazało dyrekcji liceum usunięcie kontrowersyjnego postanowienia już w lipcu 2024 r. Szkoła zapis usunęła. Szum zrobił się, kiedy się okazało, że zapis został zgłoszony do plebiscytu na Statutowy Absurd Roku. Placówka zażądała sprostowania. Chyba ze wstydu...

Trzeba przyznać, że inne szkoły są dużo sprytniejsze, jeśli chodzi o pielegnowanie wizerunku w mediach społecznościowych. Coraz więcej angażuje w prowadzenie kont samych uczniów. Tworzy się obrazek, że u nas jest fajnie i mamy to na TikToku. Często w przygotowywaniu tych materiałów biorą udział uczniowie poniżej 13. roku życia. Według polskich przepisów nie mają oni jeszcze osobowości prawnej. Same portale społecznościowe również są od 13. roku życia. To jednak szkołom nie przeszkadza. Jak mawia modna młodzież, „kto pytał?”.

Sukces SUS

Stowarzyszenie podkreśla, że reakcją szkół na wyróżnienie w plebiscycie było wycofanie rzeźbionych przepisów ze statutów. Nominacje wybierane są ze wszystkich zgłoszeń napływających w ciągu roku do SUS. – Przy okazji każdej kolejnej edycji obserwujemy, że temat jest traktowany w debacie publicznej z coraz większą uwagą. To prawdziwy paradoks, że im śmieszniejsze absurdy pokazujemy, tym poważniej podchodzi się do kwestii praw ucznia. To naprawdę działa – komentuje Damian Zdanczewicz.

Z setek niefortunnnych zapisów do plebiscytu trafiają te najbardziej zdumiewające. W tym roku o antynagrodę konkurowało osiem szkół z różnych części Polski. Najciekawsze zgłoszenia spoza czołówki dotyczyły: „rysunków przedstawiających, w jaki sposób ma wyglądać fryzura ucznia”, „obowiązku

przyjęcia »właściwej pozycji do nauki«” i „zobowiązania uczniów do dbania o estetykę przyborów szkolnych”.

– Wydawałoby się, że w takim konkursie nie ma wygranych. Natomiast w tym roku z radością możemy ogłosić, że zwyciężyli uczniowie – komentuje wiceprezesa SUS Aleksandra Kuśmierz. – W przypadku obu szkół, które dotarły do finału, dyrektorzy zadeklarowali pilne wprowadzenie poprawek do statutów – dodaje z satysfakcją.

Male zwycięstwa cieszą, jednak coroczny happening SUS pokazuje głębszy problem związany z oświatą. Uczniowie widzą, że ich prawa łamane są codziennie, lecz niektóre praktyki są tak powszechne, że przestały być widoczne, co potwierdza raport SUS. Na liście przewin znalazło się m.in. realizowanie przez wychowawcę klasy podczas lekcji wychowawczej materiału z przedmiotu, którego uczy. Inną praktyką niedozwoloną prawnie, a często wskazywaną przez uczniów, jest wymaganie wpłat na radę rodziców i karanie za jej brak. Zasada bezpłatności nauki narusza z kolei pobieranie opłaty za ksero. Karalne powinno być również niewydanie świadectwa z powodu nieoddania książki do biblioteki.

Wniosek jest dość oczywisty – szkoły, nauczyciele czy dyrektorzy nie są przygotowani do prawidłowego formułowania zapisów w statutach. Problem jest tak głęboki, że Stowarzyszenie Umartych Statutów przygotowało z pomocą praktyków i ekspertów prawa oświatowego Statut Nieumarły. To wzorcowy statut szkoły, na którym placówki mogą się opierać, tworząc własne przepisy. Można go pobrać za darmo ze strony stowarzyszenia. Większość placówek woli jednak pozostawać w niewiedzy, a nauczyciele często nie mają pojęcia, co jest w tym dokumencie. Wystarczy wejść na strony internetowe kilku podstawówek, by się przekonać, że nadal mają zapisy dotyczące obowiązku odrabiania prac domowych. A minął już prawie rok od jego zniesienia.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Wybory amerykańskiej Polonii

Powrót? Może. Ale nie z powodu strachu przed deportacją

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Polski rząd z fanfarami szykuje się na przyjmowanie mas Polaków, którzy żyją w Ameryce nielegalnie i – zagrożeni deportacją – będą z niej uciekać. Patrzę na to z rozbawieniem, bo w tych deklaracjach widzę przede wszystkim kolejny dowód na to, że Polska nie wie, czym jest współczesna Polonia amerykańska i jak naprawdę żyje się jej w Ameryce. Jeśli Polacy wrócą do ojczyzny, zrobią to z innych powodów niż strach przed wydaleniem.

W ciągu ostatniego roku z USA wyjechały trzy znajome rodziny, w których domach na co dzień rozbrzmiewał język polski. Wszystkie z od dawna uregulowanym statusem imigracyjnym oraz w bardzo dobrej sytuacji materialnej – naturalizowani obywatele z urodzonym w Ameryce potomstwem. Jedno małżeństwo, rodzice dorosłej córki, wróciło do Polski, żeby przejąć opiekę nad starzejącymi się rodzicami. Dwie pozostałe rodziny obrały za cel Belgię i Niemcy z nadzieją na lepsze, a zwłaszcza tańsze perspektywy edukacyjne dla swoich wciąż nieletnich dzieci i bardziej sprzyjające warunki społeczno-kulturowe ich wychowywania. Wszyscy wyprowadzili się z USA wiele miesięcy przed ponownym dojściem Donalda Trumpa do władzy.

Wiemy, że nie wiemy

Propozycję napisania artykułu o nielegalnych polskich imigrantach, którzy lada dzień hordami zaczęną wracać do stęsknionej za nimi ojczyzny, przyjął jako wyzwanie. Od bardzo dawna nie mam wśród znajomych Polaków nikogo, kto przebywałby w Stanach nielegalnie.



Znaczny odsetek Polaków mieszkających dziś w USA nielegalnie to rodzice urodzonych tu dzieci, które obywatelstwo uzyskiwały na mocy tzw. prawa ziemi.

Powodem jest zapewne moje miejsce zamieszkania – z dala od tzw. historycznych skupisk polskojęzycznej Polonii w USA, czyli Wschodniego Wybrzeża oraz Chicago. Moją świadomość kształtują szerokie kontakty ze środowiskami polonijnymi w wielu zakątkach Ameryki, w tym społecznościach skupionymi wokół polskich szkół, będącymi bez wątpienia najbardziej żywym i aktualnym odbiciem życia polonijnego

dzieci podróżuje nie tylko do Polski, ale i po całym świecie, skłania zaś do refleksji, że równie drastycznie spadła w kręgach polonijnych liczba rodziców „bez papierów”.

O tym, jak mało mamy badań, które pokazałyby amerykańską Polonię w jej pełnym, współczesnym wymiarze, i o przyczynach tego stanu rzeczy pisałam nieraz. Zainteresowanych zapraszam do lektury archiwalnych wydań

Polska nie wie, czym jest współczesna Polonia amerykańska i jak naprawdę żyje się jej w Ameryce.

oraz dobrym polem do badania. Co pokazują? Przede wszystkim to, jak dramatycznie od początku wieku zmalała emigracja Polaków do USA. Dziś ze świecą szukać tam dzieci urodzonych w Polsce, lawinowo za to rośnie liczba uczniów z rodzin mieszkających, w których językiem polskim posługuje się tylko jeden rodzic. Jednocześnie rośnie zamożność polonijnych rodziców. To, jak wiele

„Przeglądu”. To, co wiemy, jest w dużej mierze efektem pracy amerykańskiego rządu, który co 10 lat przeprowadza powszechny spis ludności. Ostatni, z 2020 r., wykazał, że Polonia, czyli Polish Americans, to grupa niemal dziewięciomilionowa, ale osób polskojęzycznych jest w niej tylko nieco ponad 400 tys.

Całkowicie po omacku poruszamy się też w kwestii liczby tych,

na których przyjazd szykuje się polskie MSZ. Ponieważ prasa krajowa, zarażona emocjami narastającymi wokół tematu amerykańskich deportacji, wypowiedziała się już dość obszernie – znamy szacunki. Może to będzie 15 tys., a może i 100 tys. osób! Trudno uwierzyć, że przy obecnych możliwościach technologicznych i komunikacyjnych zbadać, o jakich danych naprawdę mówimy, jest czymś więcej niż kwestią organizacji, funduszy i woli. Ale cóż, z sarmackim przytupem jak zawsze wolimy dociekać, niż opierać się na faktach. Opinie na temat tego, czym jest i jak żyje amerykańska Polonia, kształtują nam więc szwagier z New Jersey oraz treści z polonijnych platform społecznościowych opanowanych przez zwolenników Trumpa. Temat „gonienia” nielegalnych rodaków wybrzmiewa na tych ostatnich głośno. Najlepszy dowód na to, że Polaków zagrożonych deportacją jest mnóstwo, czyż nie? Popatrzmy, jak wygląda rzeczywistość.

Gdzie ci nielegalni?

Ludzie się boją. Bardzo trudno będzie ci znaleźć kogoś do rozmowy – z miejsca przestrzegali mnie znajomi ze Wschodniego Wybrzeża i z Chicago, do których zwróciłam się o pomoc w skontaktowaniu mnie z rodakami żyjącymi „bez papierów”. Większość od razu też przyznała, że osobiście nikogo takiego nie zna, potrzebny więc będzie czas, żeby popytać dookoła. Firmy sprzątające? Budowlane? – sama podsuwałam pomysły, opierając się na stereotypach dotyczących profesji nielegalnych imigrantów, nie tylko z Polski, ale i z innych części świata.

– Do sprzątania to już od bardzo dawna przychodzą do nas Meksykanicy – wyjaśniała mi Beata Milkowski, właścicielka szkół jazdy w Chicago. – Dzisiaj Polki w takich firmach są pracodawczyniami. Podobnie jak Polacy w firmach budowlanych. Mieszkam w Chicago od ponad 20 lat i byłam świadkiem wielkiego przeobrażenia naszej społeczności. Dawne polskie dzielnice się wyludniają, bo Polonia staje się zamożna i wyprowadza na bogate przedmieścia. Zamykają się

polskie delikatesy i księgarnie. Symptomatyczny jest zanik polskich firm doradztwa podatkowego i ubezpieczycieli, dla których obsługa polskich klientów „bez papierów” była istotną częścią biznesu. Przetrwali ci, którzy potrafią konkurować na rynku z firmami amerykańskimi – opowiada Milkowski. I dorzuca: – Polacy z mojego otoczenia, którzy mieli z Ameryki wyjechać, bo się tutaj nie urządzili, zrobili to dawno temu.

Jest strach, ale pewnie minie

Z dziennikarskiego punktu widzenia miałam jednak szczęście. Najpierw odezwała się do mnie

to zrobić? Przecież to jest prawo konstytucyjne? – pytała.

Dwa dni później udało mi się zdobyć bezpośrednią wypowiedź Polki, także „bez papierów”, mieszkającej w okolicach Nowego Jorku.

– Na razie nie podejmujemy żadnych drastycznych kroków, ale z tyłu głowy jest myśl, że ktoś może przyjść, o coś zapytać i się wyda. Jeśli będzie naprawdę nieciekawie, pewnie wrócimy do Polski. Na razie obserwujemy, co się dzieje. Niby są masowe deportacje, ale mówi się, że tylko kryminalistów. Jak jest naprawdę? Nikt nie wie. Może to źle zabrzmi, ale nie wydaje mi się, żeby Polacy byli pierwsi na celowniku.



Rozporządzenie wykonawcze Donalda Trumpa anulujące prawo ziemi zostało natychmiast zaskarżone jako niekonstytucyjne.

jedna z matek z polskiej szkoły w Nowym Jorku, pytając w imieniu koleżanki, czy nie mam jakichś jednoznacznych informacji na temat przyznawania dzieciom obywatelstwa. Gdy poprosiłam o wyjaśnienie, w jakiej dokładnie sytuacji znajduje się znajoma, usłyszałam: – Ani ona, ani jej mąż nie mają stałego pobytu, ale żyją normalnie, rozliczają się z podatków, w ubiegłym roku kupili dom. Do tego żadnych zatargów z prawem, to normalna, kochająca się i szanująca rodzina. Ułożyli sobie tutaj życie. Teraz czekają na narodziny dziecka. Ale słysząc, że Trump ma zmienić prawo i dzieci nielegalnych nie będą już dostawać obywatelstwa. Czy on w ogóle może

I w ogóle tacy jak my, którzy się nie wychylają, nie powinni być pierwsi do odstrzału – dodaje.

Kiedy proszę o wyjaśnienie, co znaczy „tacy jak my”, słyszę: – Przyjechaliliśmy tu z mężem 20 lat temu, mąż miał obiecaną zieloną kartę z tytułu pracy. Lata mijały i nic się nie działo, a potem to już się tak zasiedzieliśmy, że nie było po co do Polski wracać. Zwłaszcza kiedy urodziło się nam dziecko. Wbrew pozorom można tutaj bardzo normalnie żyć, nawet jak się jest nielegalnie. I płacić podatki. Ale oczywiście nie o to tu chodzi. Próbowaliśmy zdobyć papiery na różne sposoby, ale to bardzo trudne. I chyba najbardziej denerwujące jest to, dlaczego ▶

► ludzie, którzy chcą uczciwie żyć i pracować, mają rzuć klody pod nogi. Może Trump powinien tym się zająć, a nie straszeniem deportacjami i powtarzaniem, że Ameryka jest najlepsza na świecie? No chyba nie jest, skoro tak to wygląda – mówi rozżalona.

Złamane prawo, które można nastawić

Powyższe historie potwierdziły to, o czym słyszałam od dawna. Znaczący odsetek Polaków mieszkających dziś w Ameryce nielegalnie to rodzice

możliwość uregulowania swojego statusu na mocy specjalnej ustawy w 2001 r.

Ale decyzja, by „przeczekać” – skoro amerykańskie ustawodawstwo jednocześnie umożliwia człowiekowi normalne życie, odprowadzanie podatków, korzystanie z usług bankowych i hipotecznych, prowadzenie własnej działalności gospodarczej, a w wielu stanach również posiadanie prawa jazdy – ma sens z jeszcze jednego powodu.

– Posiadanie dziecka, które jest obywatelem, może pomóc, jeśli rodzic dostał się w ręce służb i ma

Adwokatka wie, że taki krok naprawdę może zmienić wszystko, bo sama przez jakiś czas miała nieuregulowany status i głowiła się, jak zalegalizować swój pobyt. – Wiele osób nie wie, że jeśli chodziły tu kiedyś do szkoły i miały wizę studencką, to jej ważność, o ile nie dostaniemy oficjalnego zawiadomienia, że została cofnięta, nie wygasa. To zaś oznacza, że nawet jeśli edukacja została zakończona dziesiątki lat temu, jak najbardziej można wystąpić o sponsorowanie przez miejsce pracy – tłumaczy.

Choć na co dzień Polacy stanowią tylko połowę klientów kancelarii Kurczaba & Brozek, odkąd zaczęły się deportacje, to oni dzwonią najczęściej. Czy rozważają powrót do Polski? – Nie, zdecydowanie nie – natychmiast odpowiada mecenas. – Szukają sposobu, jak tego powrotu uniknąć.

Kto przyleci w deportacyjny prezencie?

Z danych ICE (Immigration and Customs Enforcement) wynika, że nakaz deportacyjny ma obecnie nieco ponad 2,3 tys. Polaków. Eksperci, w tym politolog Dominik Stecuła pracujący na Uniwersytecie Stanowym Ohio, autor najnowszego portretu Polonii w USA przedstawionego w książce „Polish Americans Today”, szacują, że Polaków żyjących w USA „na nielegalu” jest teraz raczej mniej niż więcej, nawet poniżej 50 tys. Osobiste kontakty z Polakami bez uregulowanego statusu skłaniają Stecułę, podobnie jak i mnie, do refleksji, że większość takich osób zapewne też podpisałaby się pod słowami moich wcześniejszych rozmówców, tych którzy mieszkają w USA od ponad 20 lat i lada dzień będą mogli zalegalizować pobyt dzięki synowi/córce. Ich wnioski były zaś następujące: – Nie wiadomo, co będzie się działo, ale z drugiej strony my już to wszystko przerabialiśmy. Jest straszenie, lecz tak naprawdę nikomu nie zależy na pozbywaniu się nielegalnych. Ameryka nie istnieje bez nielegalnych wykonujących najgorsze prace za półdarmo. Wszyscy wiedzą, że Trump sam wynajmował takich do budowy Trump Tower.

Z danych Immigration and Customs Enforcement wynika, że nakaz deportacyjny ma obecnie ponad 2,3 tys. Polaków.

urodzonych tu dzieci – amerykańskich obywateli, którzy obywatelstwo nabyli na mocy tzw. prawa ziemi zapisanego w konstytucji. Są to więc ludzie, którzy łamią prawo, ale robią to dlatego, że to samo prawo otwiera przed nimi możliwość legalizacji ich statusu, każąc im na to tylko trochę poczekać. Dlatego czekają.

– W świetle prawa dziecko będące obywatelem amerykańskim może sponsorować rodziców z chwilą ukończenia 21 lat – wyjaśnia Ewa Brożek, adwokatka imigracyjna z kancelarii Kurczaba & Brozek Law Offices w Chicago. – Niestety, oprócz małżeństwa z amerykańskim obywatelem to w tej chwili jedyny sposób na legalizację pobytu. Po raz ostatni nielegalni imigranci w USA dostali

wyznaczoną rozprawę deportacyjną. O ile bowiem udowodni przed sądem, że przebywa w Ameryce dłużej niż 10 lat, nie był w tym czasie karany, płacił podatki i jest moralnym człowiekiem, sąd może mu zezwolić na dalszy pobyt poprzez tzw. *cancellation of removal* (anulowanie deportacji). Taki wyrok nie jest sposobem na otwarcie sobie ścieżki do uzyskania zielonej karty, ale chroni przed deportacją i pozwala spokojnie doczekać tych wytęsknionych 21. urodzin dziecka – mówi mec. Brożek.

Gdy schodzimy na temat słynnego już dzisiaj rozporządzenia wykonawczego Donalda Trumpa anulującego prawo ziemi, w głosie ekspertki pojawiają się emocje. Dokument, jak wiemy, został natychmiast zaskarżony jako niekonstytucyjny i Ewa Brożek nie ma wątpliwości, że sąd również tak zaopiniuje. Środowisko prawne jest jednak głęboko oburzone i zaszokowane faktem, że adwokaci Trumpa w ogóle coś takiego mu przygotowali. Mówi się, że mogą zostać za to pociągnięci do odpowiedzialności dyscyplinarnej i nawet stracić licencję na wykonywanie zawodu. Rada, jaką mec. Brożek ma obecnie dla wszystkich nielegalnych imigrantów, brzmi: nie panikujcie i nie bójcie się przyjść po poradę prawną.

Zmarł nasz Przyjaciel

Jerzy Więcek

Niestrudzony działacz Lewicy
na Podbeskidziu

Bardzo oddany swojej
społeczności

Niezawodny i serdeczny kolega

Żegnamy Go z głębokim żalem

Julia i Andrzej Jendrychowcie

Za chwilę to wszystko się uspokoi i wróci do normy.

Jakie to ma znaczenie dla polskich planów pomocy nieszczęśnikom deportowanym z USA? Przede wszystkim takie, że szacunki polskich konsulatów, na podstawie których wiceministra Mościcka-Dendys powzięła informację o tym, że wydalonych z USA może zostać 30 tys. Polaków, należy włożyć między bajki. Tym bardziej że zaledwie dwa tygodnie od startu planu deportacyjnego już mamy doniesienia, że niektórzy zatrzymani są wypuszczani na wolność, gdyż ICE, o czym także mówiło się od początku, nie ma środków ani możliwości lokalowych, by dopełniać procedur deportacyjnych wedle przepisów. Jeśli dojdzie do otwarcia więzienia Guantanamo, które może przyjąć do 30 tys. osób, umieszczeni zostaną tam – jak wskazują słowa płynące z Białego Domu – najgorsi kryminaliści. A nawet jeśli znaleźliby się wśród nich wszyscy Polacy z listy ICE, to pojawia się całkiem inne pytanie. Czy Polska powinna rozwijać przed nimi czerwony dywan? Finansować z pieniędzy polskiego podatnika nowy start życiowy nad Wisłą? Zostawiam to do refleksji.

Polonia może wrócić, ale z własnej woli

W chwili gdy piszę ten tekst, czyli na przełomie stycznia i lutego, raczej więc się nie zanoszi na masowe powroty amerykańskiej Polonii – nawet tego jej segmentu, który żyje w USA „bez papierów”. Nie znaczy to jednak, że taki scenariusz nie może się wydarzyć.

Od pierwszych dni swojej ponownej prezydentury Donald Trump zdaje się robić wszystko, by zachwiać porządkiem świata i odebrać Amerykanom poczucie stabilności, przewidywalności. Tam, gdzie miał być cud gospodarczy, mamy na razie podwyżki i zapowiedzi, by szykować się na „zaciskanie pasa”. Tam, gdzie miał być powrót do „prawdy i praworządności”, mamy mnożące się akty łamania konstytucji oraz rządy wyciągniętej z kapelusza czwartej władzy oligarchów, przy pełnej akceptacji konserwatywnej

części sceny politycznej i społeczeństwa. W planach na najbliższą przyszłość rysują się zaś demontaż szkolnictwa publicznego i wielkie cięcia w podstawowych systemach zabezpieczeń społecznych, które i tak są w Ameryce skąpe i nieadekwatne do potrzeb.

Amerykanie polskiego pochodzenia, nie tylko emigranci z Polski, ale wszyscy, którzy poprzez kontakty z miejscem urodzenia przodków wiedzą, jak wygląda dziś życie i w kraju,

Why More Americans Are Leaving the US in 2025, 23 stycznia 2025 r.). Nie dziwi mnie to, bo temat ewentualnej wyprowadzki z USA od kilku tygodni mocno wybrzmiewa również w kręgu moich najbliższych polskich i europejskich znajomych. Dodam, że w warunkach coraz łatwiejszej do zorganizowania pracy zdalnej Europejczycy oraz ich potomkowie już od jakiegoś czasu licznie reemigrują na Stary Kontynent. Kierują nimi względy rodzinne, lecz coraz częściej także

Powszechny spis ludności z 2020 r. wykazał, że Polonia, czyli Polish Americans, liczy niemal 9 mln, ale osób polskojęzycznych jest w niej nieco ponad 400 tys.

i w Europie, mogą za jakiś czas dojeść do wniosku, że Ameryka przestała spełniać ich oczekiwania. Po wyborach prezydenckich liczba mieszkańców USA zainteresowanych uzyskaniem drugiego paszportu wzrosła o 400% w porównaniu z ostatnim tygodniem przed wyborami. W skali rocznej mówimy o wzroście zainteresowania rzędu 30% (Henley & Partners, 4-10 listopada 2024 r.). Jednak, jak donosi w najnowszym raporcie Harvey Law Group (HLG), wyszukiwanie w internecie wiadomości na temat emigracji z USA zwiększyło się po wyborach aż o ponad 1500% (HLG, Top Reasons

aspekty społeczne i edukacyjne, podobnie jak u moich znajomych przywołanych na początku tekstu.

Istnieją podstawy, by sądzić, że kombinacja polityki imigracyjnej Trumpa z kurczącą się konkurencyjnością Ameryki w zakresie komfortu codziennego życia przeciętnego człowieka rzeczywiście może odwrócić trwający od stuleci trend napływu mas ludzkich. Słynne jest chińskie ponoć przekleństwo: obyś żył w ciekawych czasach – Ameryka zapędziła się w czasy tak ciekawe, że przynajmniej dla połowy jej mieszkańców z gruntu straszne.

Eliza Sarnacka-Mahoney



AMERYKA PO WYBORACH
JAK TO SIĘ STAŁO?
ELIZA SARNACKA-MAHONEY

**Pierwsza książka w Polsce
wydana po wyborach**

Porozrywane Stany
Błyskotliwa analiza „amerykańskiej
duszy” i politycznych wyborów

58 zł

Eliza Sarnacka-Mahoney
dziennikarka i pisarka
związana z Polską i USA



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Kto chce wysiedlić Gazę?

Nieprzemyślany plan Trumpa nie jest ani realny, ani legalny. Może jednak być strategią negocjacyjną

Jakub Katulski

Wygląda na to, że Donald Trump ma nowy plan pokojowy dla Bliskiego Wschodu. Nie po raz pierwszy, bo już w poprzedniej kadencji ogłosił tzw. umowę stulecia, która zakładała transfery terytorium i amerykańskie inwestycje, a zarazem cementowała izraelską dominację nad Palestyńczykami. Wówczas jednak zespół Trumpa publikował rozbudowane dokumenty informujące drobiazgowo, jak będzie przebiegało wdrażanie planu pokojowego. Palestyńczycy ów plan odrzucili jeszcze przed jego publikacją, także dlatego, że nie był z nimi wcześniej negocjowany ani nie odpowiadał na ich realne potrzeby co do bezpieczeństwa i ciągłości terytorium.

Obecny plan Trumpa to tylko zapowiedź, którą mogliśmy usłyszeć podczas wspólnego wystąpienia z izraelskim premierem Benjaminem Netanjahu. Jest mniej szczegółowy, za to o wiele bardziej przerażający. Również dlatego, że przywódca kraju mieniącego się liderem wolnego świata wskazuje łamanie międzynarodowego prawa humanitarnego jako remedium na konflikt izraelsko-palestyński i niestabilność w regionie.

Prawdopodobnie nie tego spodziewał się Benjamin Netanjahu, lecąc do Stanów Zjednoczonych. Wcześniej administracja Trumpa sugerowała, że jej priorytety w stosunku do Bliskiego Wschodu wyglądają inaczej. Mówiono zwłaszcza o zwiększeniu presji ekonomiczno-politycznej na Iran, wymierzonej nie tylko w program nuklearny Teheranu, ale także w eksport ropy naftowej, który sięgnął w 2024 r. 587 mln baryłek, a jego głównym odbiorcą byli Chińczycy. Trump zapowiadał też,

że wyasygnuje 1 mld dol. na pomoc dla Izraela, w ramach której Amerykanie wyślą nie tylko bomby, ale i sprzęt burzący, w tym opancerzone buldożery.

Izraelskie media, szczególnie portal Times of Israel, jeszcze przed rozpoczęciem wizyty powoływały się na źródła w amerykańskiej administracji i snuły przypuszczenia, że Bibi będzie rozmawiał z Trumpem przede wszystkim o normalizacji stosunków z Arabią Saudyjską. To zresztą byłaby kontynuacja pomysłów z czasów pierwszej kadencji Trumpa, których nie udało się sformalizować i dodać do listy sukcesów tzw. porozumień abrahamowych.

Rodziny izraelskich zakładników przebywających wciąż w Strefie Gazy liczyły zapewne, że głównym tematem rozmów będzie pomoc Amerykanów w uwolnieniu ich bliskich.

Palestyńczycy nie chcą opuszczać swoich ziem, a przymusowe przesiedlenie jedynie pogłębi problemy regionu.

Jednak jeszcze przed spotkaniem z Netanjahu Donald Trump zapowiedział plan wysiedlenia Palestyńczyków ze Strefy Gazy i relokowania ich do Egiptu i Jordanii. Podczas wspólnego przemówienia z Bibim amerykański przywódca potwierdził swoje słowa, rozszerzając plan o przejęcie kontroli nad tym skrawkiem terenu przez Amerykanów i budowę „bliskowschodniej riwieri”, czyli inwestycje deweloperskie w linię brzegową.

Plan z oczywistych przyczyn oburzył wszystkich z wyjątkiem izraelskiej skrajnej prawicy. Itamar Ben-Gwir, lider partii Ocma Jehudit (Żydowska Siła), która niedawno opuściła szeregi koalicji rządowej, napisał na swoim koncie

w portalu X, parafrazując zakończenie klasycznego filmu „Casablanca”: „Donald, to wygląda na początek pięknej przyjaźni”. W poprzednim poście przypominał, że również jego preferowaną strategią było wysiedlenie Palestyńczyków z Gazy.

Problem m.in. w tym, że taki plan wymagałby koordynacji z partnerami w regionie, a ci zdecydowanie odmówili współpracy w tym zakresie. Zaczynając od palestyńskiego prezydenta Mahmuda Abbasa, który podkreślił, że Gaza jest integralną częścią Palestyny, a kończąc na przywódcach Egiptu i Jordanii, którzy jeszcze w poniedziałek, przed przemówieniem Trumpa i Netanjahu, wspólnie z innymi sojusznikami USA w regionie wysłali list otwarty do sekretarza stanu Marca Rubia. Czytamy w nim, że Bliski Wschód już dziś ma największą ze wszystkich rejonów

świata liczbę przesiedlonych populacji, a znaczna część Palestyńczyków też tak się klasyfikuje. Co jednak istotniejsze, zdaniem sygnatariuszy listu kluczowe dla pokoju w regionie jest nie tylko rozwiązanie dwupaństwowe konfliktu izraelsko-palestyńskiego, lecz także to, żeby Izrael nie zaanektował żadnych terytoriów palestyńskich. Autorzy podkreślają, że Palestyńczycy nie chcą opuszczać swoich ziem, a przymusowe przesiedlenie jedynie pogłębi problemy regionu.

Tego aspektu zdaje się nie rozumieć Donald Trump, który z charakterystycznym dla siebie przekonaniem stwierdził, że Palestyńczycy chcą mieszkać w Gazie jedynie dlatego, że nie mają alternatywy. A przecież



Propalestyński protest z udziałem ortodoksyjnych antysyjonistycznych Żydów. Waszyngton, 4 lutego 2025 r.

można im zaproponować budowę „czegoś na kształt pięknego miasta”. Tym samym amerykański prezydent zademonstrował ignorancję co do istoty konfliktu między Palestyńczykami a Izraelczykami, który dotyczy nie jakości życia, ale aspiracji narodowych wywodzących się z tradycji i religii. Być może znaleźliby się Palestyńczycy, którzy zdecydowaliby się na przesiedlenie, gdyby im zaproponować lepsze warunki życia w sąsiednim kraju. Trudno natomiast sądzić, że niemal 2 mln mieszkańców Gazy pogodzi się z tym dyktatem, i oczekiwać od Egiptu czy Jordanii przyjęcia sąsiadów. Zwłaszcza że najprawdopodobniej zostanie tym przypieczętowany los palestyńskiej sprawy narodowej. Izraelski ruch osadniczy od lat naciska bowiem na aneksję Zachodniego Brzegu, doszukując się praw do tej ziemi w tekstach biblijnych. Jeśli powstanie niebezpieczny precedens, z pewnością osadnicy będą oczekiwać dalszych kroków.

Donald Trump nie wyklucza także wystąpienia amerykańskich wojsk w celu zabezpieczenia Gazy i wygwieżdżowania ekspulsji jej mieszkańców. Taka zapowiedź jest niebezpieczna, bo jej spełnienie oznaczałoby złamanie

prawa międzynarodowego. W lipcu 2024 r. opinia doradcza Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości uznała Gazę nie tylko za integralną część palestyńskiego terytorium, ale również za teren okupowany. Choć Izraelczycy od lat próbują przekonywać, że nie ma mowy o żadnej okupacji przynajmniej od 2005 r., kiedy zdecydowali się na likwidację żydowskich osiedli w nadmorskiej enklawie. Mimo że kilkanaście miesięcy temu na terytorium Gazy nie było izraelskich żołnierzy, Izrael wspólnie z Egiptem otaczał ten obszar ścisłą blokadą morską, lądową i powietrzną, kontrolując przepływ nie tylko towarów, ale i ludności.

Konwencja genewska z 1949 r. o ochronie osób cywilnych w czasie wojny nakłada szczególne obowiązki na mocarstwo okupujące, zabraniając masowych czy indywidualnych przesiedleń bez względu na powody. Prawo międzynarodowe nie zezwala też na przekazywanie kontroli nad obszarem okupowanym podmiotowi trzeciemu. A tym właśnie byłoby umieszczenie w Gazie amerykańskich żołnierzy w celu zabezpieczenia interesów deweloperów.

Plan Trumpa jest więc nie tylko nielegalny i nierealny – on wyduje

się po prostu niepoważny. Stanowi część ofensywy, którą ekipa Trumpa prowadzi od początku prezydentury i której efektem jest przede wszystkim chaos w sprawie cel nakładanych na sąsiadów i szok w amerykańskiej administracji. Trudno powiedzieć, czy ta deklaracja ma jakiś poważniejszy cel niż wprowadzenie chaosu informacyjnego i wywołanie paniki. Niewykluczone, że absurdalny na pierwszy rzut oka plan to część strategii negocjacyjnej, choćby prowadzącej do wyczekiwanej w Waszyngtonie i Tel Awiwie normalizacji stosunków z Muhammadem ibn Salmanem.

Czy taka strategia zadziała, skoro światowi liderzy przywykli do nieprzewidywalności Trumpa i traktują ją jak swego rodzaju stałą w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi? Niektórzy nawet potrafią ograć ego amerykańskiego prezydenta, jak pokazali to Kanadyjczycy i Meksykanie, zmuszając Waszyngton do wstrzymania wojny celnej i wprowadzenia ustępstw. Tutaj również jest wysoce prawdopodobne, że plan Trumpa dla Gazy zostanie zapomniany lub przekształcony w o wiele bardziej realną koncepcję.

6 milionów rąk z kijami

Indyjskie RSS jest prawdopodobnie największą organizacją polityczną na świecie, choć głosi, że z polityką nie ma nic wspólnego



Mateusz Mazzini

Trudno o pomyłkę nawet na pierwszy rzut oka, już pobieżne przejrzanie materiałów audiowizualnych na temat tej organizacji budzi jednoznaczne skojarzenia. Większość zaczyna się od tego samego ujęcia. Dziesiątki mężczyzn, niekoniecznie młodych, ustawiają się białym światłem w odmierzonej co do centymetra układzie rzędów i kolumn. Wszyscy ubrani są w identyczny sposób, choć nie można tego nazwać umundurowaniem. Nikt się nie wyróżnia, bo tu śmiało można zastosować słynne „Jednostka – zerem, jednostka – bzdurą” Majakowskiego. Śnieżnobiałe koszule, oliwkowe

spodnie (czasami z krótkimi nogawkami), czarne nakrycia głowy. W rękach charakterystyczne lathi – długie kije bambusowe, teoretycznie służące do musztry, ćwiczeń fizycznych i synchronizowania ruchów podczas przemarszów. Jednak każdy, kto choć raz widział tych mężczyzn w akcji, doskonale wie, że lathi mogą mieć inne zastosowanie, niezwiązane z treningami na zakurzonych placach w miastach, miasteczkach i wsiach subkontynentu.

Potężni jak nigdy

Rashtriya Swayamsevak Sangh (Narodowe Stowarzyszenie Ochotników), w skrócie RSS, to prawdopodobnie największy na świecie ruch

Bambusowe kije są wizytówką organizacji, ale nie w nich prawdziwa siła RSS.

o konotacjach politycznych. Według ostrożnych szacunków ma ok. 6 mln członków, choć ta liczba, jak każde dane demograficzne w Indiach, jest prawdopodobnie zaniżona. Organizacja założona w 1925 r. obchodzi stulecie działalności, więc to dobry moment, żeby o niej napisać, bo prawdopodobnie nigdy dotąd nie była tak potężna.

RSS trudno scharakteryzować kategoriami obowiązującymi w zachodnich społeczeństwach demokratycznych. Organizuje np. życie i czas pozaedukacyjny milionom młodych ludzi w Indiach, ale nie w taki sposób jak europejscy

harcerze czy amerykańscy skauci. Ma również wyraźne zabarwienie nacjonalistyczne, którego nikt nie ukrywa. Nie można natomiast powiedzieć, że to młodzieżówka jakiegokolwiek partii politycznej.

Nacjonalizm, który w RSS jest promowany, ma ściśle związki z religią hinduistyczną. Ale to znów pułapka interpretacyjna, bo nie mówimy tu o klasycznym ruchu religijnym. Oczywiście w tym miejscu można wdać się w spór, ponieważ ideologia nacjonalistyczna w Indiach jest antydemokratyczna i wcale nie postuluje rozdziału władzy świeckiej i duchowej, niemniej jednak nie tylko o religię w RSS chodzi. Dobrym tropem jest autorytaryzm, bo właśnie z powodu pomieszczenia tych prądów i dziedzin – nacjonalizmu, religii, poświęcenia celów i praw jednostki dla dobra ogółu, militaryzacji codziennych czynności – trudno szukać analogicznych podmiotów w Europie czy w USA (przynajmniej na tak masową skalę). Prędzej znajdziemy je w krajach rządzonych dyktatorsko, np. w Iranie. Tamtejszy Związek Mobilizacji Uciemnionych stanowi przybudówkę Islamskiej Gwardii Rewolucyjnej i rządzi się takimi samymi prawami jak RSS.

W hinduskiej organizacji nie ma ani marginesu błędu, ani żadnych odstępstw od normy. Ferment intelektualny, debata na temat linii ideologicznej? To nie tutaj. Trudno zresztą, żeby było inaczej, skoro RSS czerpało inspirację z najgorszych totalitaryzmów.

Prof. Marzia Casolari, włoska historyczka badająca na Uniwersytecie Turyńskim dzieje Azji, w publikacji na temat RSS cytuje wiele źródeł niepozostawiających pola do interpretacji. W latach 30. XX w. liderzy RSS byli zafascynowali Adolfem Hitlerem i Benitem Mussolinim. Hitlerjugend stanowiło oczywisty punkt odniesienia, ale ideologia też miała znaczenie, zwłaszcza w kwestiach rasowych. Na szczytach władzy RSS dominowało przekonanie, że żyjących na terenie Indii muzułmanów (a było to jeszcze przed niepodległością i rozwojem z Pakistanem) należy potraktować tak, jak naziści w III Rzeszy traktują Żydów. Nienawiść na tle etnicznym

nie zniknęła nawet po ujawnieniu horroru Holocaustu i obozów koncentracyjnych. Do dzisiaj zresztą wśród członków RSS panuje przekonanie, że muzułmanie nie zasługują na pełnię praw obywatelskich.

Pospolite ruszenie

W 2022 r. portal Vice zrealizował film dokumentalny o RSS. W kilku scenach reporter rozmawia z szeregowymi członkami organizacji, którzy wskazują, że wprawdzie „nie są przeciwko żadnej społeczności”, ale też „każda społeczność musi całkowicie się podporządkować ich normom”. Ich, czyli wyznawców hinduskiego nacjonalizmu. W tych ciasnych ramach ideologicznych muzułmanie nie mieszczą się z wielu różnych powodów. I coraz częściej płacą za to karę.

Według konstytucji powstałego w 1947 r. niepodległego państwa Indie są świeckie, a władza nie ma religijnej legitymizacji. Wprawdzie to w przytłaczającej większości kraj

ruszenie, które – jak mówią aktywiści trenujący w białych koszulkach – ma uzupełnić braki w wiedzy mieszkańców Indii na temat ich własnej tożsamości narodowej. Deklaratywnie bowiem RSS jest właśnie tym: przede wszystkim organizacją edukacyjną.

Kilka lat temu Lauren Frayer, reporterka amerykańskiego radia NPR, przygotowała obszerny reportaż na temat organizacji. Przy okazji poprzednich wyborów parlamentarnych na subkontynencie, w 2019 r., przepytła zwolenników nacjonalistycznej partii BJP i premiera Narendry Modiego, jak ważny jest dla nich udział w codziennej musztrze, podczas której wykrzykiwane są nazwiska „wybitnych synów i córek Indii, aż od czasów antycznych”. Uzyskała wręcz jednakowe odpowiedzi – dla wszystkich ta codzienna praktyka była fundamentalnie ważna. Tak samo jak poparcie dla Modiego, który sam z RSS się wywodzi.

O tym, jak znacząca była rola dyscypliny, podporządkowania się zbiorowości i nacjonalistycznych ideałów

Deklaratywnie RSS ma przede wszystkim cele edukacyjne.

hinduistyczny (ok. 80% populacji wyznaje tę politeistyczną religię), ale muzułmanów wciąż mieszka tam bardzo dużo – 172 mln, 14% ogółu. Nie jest to oczywiście taka sama proporcja jak w latach 30. XX w., kiedy RSS powstawało. Wtedy, przed secesją Pakistanu, państwa muzułmańskiego przecie, napięcia religijne (także pomiędzy innymi grupami, z Sikhami na czele) były ogromne, a przyzwolenie na przemoc jeszcze większe niż teraz.

Nazywanie RSS organizacją paramilitarną nie jest przesadą również dlatego, że jego członkowie regularnie odbywają ćwiczenia z bronią palną. Bambusowe kije są ich wizytówką, ale nie w nich prawdziwa siła stowarzyszenia. Jak bardzo jest ono potężne? Tego naprawdę nie wie nikt, bo dane na temat zasięgu, zasobów i członkostwa są co najwyżej przybliżone. RSS nie prowadzi dokładnej ewidencji członków. Nie ma kart, legitymacji, procesu rekrutacyjnego. To dosłownie pospolite

w życiu obecnego indyjskiego przywódcy, doskonale opowiada poświęcony mu audioserial „The Modi Raj”, przygotowany w zeszłym roku przez brytyjski tygodnik „The Economist”. Już w pierwszym odcinku, kiedy autorzy przybliżają dzieciństwo i młodość Modiego, dowiadujemy się, że członkostwo w RSS było dla niego tym, czym podobne organizacje okazują się dla tysięcy innych ludzi: dźwignią awansu społecznego.

Przyszły premier pochodził z bardzo ubogiej rodziny, mieszkał w niewielkim miasteczku w stanie Gudżarat. W kastowo zabetonowanym społeczeństwie Indii nie miał zbyt dobrych perspektyw na przyszłość. RSS okazało się kluczem do wielkiego świata, bo Modi, początkowo szeregowy członek, dał się poznać jako sprawny organizator i doskonały mówca. Ci, którzy pamiętają go z tego okresu, opowiadali reporterom o jego płomiennych przemowach i zdolnościach mobilizacyjnych. Modi podróżował po całym kraju, ▶

► zakładając kolejne komórki organizacji, a w przypadku obszaru tak wielkiego jak Indie często oznaczało to długie miesiące poza domem. W czasie tych podróży, podobnie jak w życiu codziennym, praktykował totalną ascezę. „The Modi Raj” zawiera m.in. relacje z narad, które odbywały się w pokojach wynajmowanych dzisiejszemu premierowi przez organizację. Opisy tych pomieszczeń zawsze są takie same: gołe ściany,

stają się coraz bardziej radykalne, głównie dlatego, że RSS dostaje od rządu zielone światło na wszystko. To swoista samonapędzająca się machina nacjonalizmu: Modi wie, że bez swoich radykalnych harcerzy nie wygra, oni zresztą pracują na jego sukces całkowicie za darmo. Z kolei RSS popiera go, bo daje przyzwolenie na agresywniejszą retorykę wobec muzułmanów oraz na przemoc fizyczną.

na orbicie RSS istnieje bowiem cały system mniej lub bardziej sformalizowanych grup, które zajmują się ochroną krów. Pilnują ich nie tylko na pastwiskach, ale też na drogach czy w miejscach publicznych. A jeśli dopatrzą się niewłaściwego zachowania wobec zwierząt, od ręki wymierzają sprawiedliwość. Już po przejęciu władzy przez Modiego, w 2015 i w 2017 r. muzułmańscy mężczyźni byli linczowani przez samozwańczych obrońców krów, bo oskarżano ich o zjedzenie wołowiny i znieważenie zwierząt. RSS od tych zabójstw się odcinało, bo mogło. Nie dało się w żaden sposób powiązać morderców z organizacją, bo przecież formalnych zasad członkostwa czy choćby dowodów na przynależność do stowarzyszenia nie ma. W RSS nominalnie dobrowolne jest wszystko, także przemoc.

Wraz ze wzrostem międzynarodowych ambicji Indii, które pod przywództwem Modiego chcą być mocarstwem już nie tylko regionalnym, swoje ambicje rozszerza też RSS. W ostatnich latach przestało być organizacją krajową, coraz obficie czerpiąc z zasobów ludzkich indyjskiej diaspory. We wrześniu 2022 r. w Londynie doszło do zamieszek pomiędzy imigrantami z Pakistanu i z Indii. Ci pierwsi zostali zaatakowani po meczu krykieta, a napastnicy wykrzykiwali pod ich adresem obelgi typowe dla RSS. Na nagraniach z tamtych wydarzeń słychać hasła ksenofobiczne, rasistowskie, islamofobiczne. Na tym jednak RSS nie poprzestało, bo po brytyjskich zamieszkach w mediach sprzymierzonych z organizacją i BJP pojawiło się mnóstwo głosów europejskiej skrajnej prawicy. Łatwo zrozumieć, że spoiwem tych grup była nienawiść do islamu. Indyjska telewizja pokazała nawet Tommy’ego Robinsona, brytyjskiego aktywistę radykalnej prawicy, w ostatnich tygodniach regularnie wychwalanego przez Elona Muska.

Bambusowe kije są więc w modzie nie tylko na subkontynencie indyjskim.

Nazywanie RSS organizacją paramilitarną nie jest przesadą – jego członkowie regularnie odbywają ćwiczenia z bronią palną.

poślanie często na ziemi, stół nocny, a na nim książka. Ten stereotypowy obraz w opowieściach o nacjonalistycznym liderze w sercu wielkiej wojny staje się wręcz karykaturą mitu. Ale w ten sposób rodziła się legenda Modiego, która wydzwignęła go do władzy, zapewniając mu pełną lojalność RSS.

Radykalni

W dzisiejszych Indiach to ogromny kapitał polityczny, który premier sukcesywnie powiększa, odpowiadając na postulaty organizacji. A te

Nie trzeba głęboko drażyć, żeby wytworzyć sobie wizję Indii według RSS. Wystarczy posłuchać wypowiedzi wieloletniego przywódcy stowarzyszenia, Mohana Bhagwata, kierującego nim od 2009 r. Dla niego nie istnieje pluralizm religijny, ani w Indiach, ani nigdzie indziej. W 2017 r. wstawił się powiedzeniem, że hinduizm jest jedynym prawdziwym wierzeniem, a wszystkie inne religie to „sekty, które wyłamały się z wierzeń hinduistycznych”. Bhagwat ma spory problem z uznaniem państwowości Pakistanu. „Jedynym sposobem na uśmierzenie bólu związanego z rozbiorem Indii jest cofnięcie tego rozbioru”, czyli po prostu wchłonięcie Pakistanu, poddanie go władzy rządu w New Delhi. Muzułmanom Bhagwat nie chciałby dawać w Indiach żadnych praw, najchętniej zmusiłby ich do konwersji.

Jego podwładni w deklaracjach posuwają się jeszcze dalej. We wspomnianym dokumencie Vice szeregowi członkowie RSS mówią, jak drażni ich to, że muzułmanie nie otaczają kultem krów, świętych zwierząt hinduizmu, traktowanych jak matki całej cywilizacji. Gdy reporter pyta, co groziłoby mu, gdyby taką krowę zaszlachtował i zjadł jej mięso, członek RSS odpowiada, że „musiałby go niestety gołymi rękami zabić”.

Przykład z krową nie jest zresztą przesadzony, bo na tym tle coraz częściej dochodzi w Indiach do aktów przemocy pomiędzy przedstawicielami poszczególnych grup religijnych. Wewnątrz, a właściwie



Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Prezident Donald Trump przy okazji spotkania z premierem Izraela Benjaminem Netanjahu, który jako pierwszy polityk odwiedził nowego amerykańskiego przywódcę, wygłosił tezy swojego „planu” dla Gazy. Bez cienia dyplomatycznej kultury, brutalnie zapowiedział, że Palestyńczycy z Gazy (wszyscy – doprecyzował) zostaną wysiedleni do sąsiednich krajów arabskich (Egiptu, Jordanii), a USA przejmą na długoterminową własność teren Strefy Gazy. „Ameryka przejmie Strefę Gazy, zrobimy tam, co trzeba. Będzie naszą własnością, będziemy odpowiedzialni za rozmontowanie wszystkich niebezpiecznych niewybuchów, za usunięcie całej broni. To konieczne, dlatego tak zrobimy. Rozwinie my to miejsce, stworzymy tysiące miejsc pracy, będzie to coś, z czego cały Bliski Wschód będzie bardzo dumny”.

metafory, uspokajającą, jest to, że kolejka mimo wszystko nie wypada z torów, jej szaleństwo jest pozorne i kontrolowane. Być może tak należy patrzeć na posunięcia (czy na razie deklaracje) Trumpa. Choć oznacza to, że rzeczywistość może się okazać jeszcze bardziej ponura. Zaryzykowałbym tezę, że kluczowe „pomysły” polityczne Trumpa są w istocie jego pomysłami biznesowymi, obliczonymi na błyskawiczne i bardzo znaczące korzyści finansowo-majątkowe własne lub rodziny, przyjaciół, sojuszników. Teza ta, choć całkowicie spoza świata profesjonalnie uprawianej polityki i filozofii państwa demokratycznego, znajduje potwierdzenie w biografii zarówno Trumpa, jak i jego sojuszników miliarderów w rodzaju Muska. Są to osoby, które do świata polityki weszły bez żadnych, podkreślam: żadnych, doświadczeń

Czystki etniczne jako biznes

Najmroczniejsze z politycznych marzeń najbardziej skrajnych prawicowych i osadniczych partii Izraela otrzymały właśnie wsparcie z ust amerykańskiego prezydenta. Izraelski minister spraw zagranicznych Gideon Saar poinformował na portalu społecznościowym X, że Izrael z zadowoleniem przyjmuje decyzję prezydenta USA o wystąpieniu z Rady Praw Człowieka ONZ i też opuszcza to międzynarodowe gremium. Rzeczywiście, może akurat dobrze się dzieje, że państwo, na którym ciążyą zarzuty ludobójstwa, nie jest nawet w roli obserwatora częścią takiej instytucji.

Co do słów Trumpa, już następnego dnia sekretarz stanu USA Marco Rubio i rzeczniczka prasowa Białego Domu Karoline Leavitt próbowali wycofać się z sugestii prezydenta, że Palestyńczycy zostaną przesiedleni na stałe, twierdząc, że będzie to jedynie tymczasowe, aby umożliwić odbudowę kraju.

W ostatnim czasie zięć Trumpa Jared Kushner, mąż Ivanka, dzięki wsparciu finansowemu z Arabii Saudyjskiej inwestuje w biznesy budowlano-deweloperskie z izraelskimi firmami. Jednocześnie Arabia Saudyjska deklaruje, że „utworzenie państwa palestyńskiego jest stanowczą, niezachwianą postawą”, jak ogłosiło saudyjskie MSZ w obszernym oświadczeniu zamieszczonym w środę na portalu X.

Były premier Izraela Ehud Barak nazwał plany Trumpa fantazją.

W kontekście tempa, radykalności i nieprzewidywalności Trumpowskich zapowiedzi i działań w polityce światowej pojawia się niekiedy pojęcie rollercoastera – zwariowanej, pędzącej na łeb na szyję kolejki, której pasażerowie drą się z przerażenia. Drugą stroną tej

na innym polu niż własny biznes, zysk, mnożenie majątku. Dlaczego nagle miałyby zmienić metody i paradygmaty podejmowania decyzji, jeśli jedynym znanym im rozwiązaniem problemów czy kwestii dyskusyjnych jest zarobienie większych pieniędzy, a wszystko pozostałe: prawa człowieka, prawo międzynarodowe, dobro publiczne, prawa niezamożnej większości, stanowi tylko nieznaczący przypis do reguły? Jest to system spójny, tłumaczący „racjonalnie” metodologię podejmowania decyzji, sposób „myślenia”, który należy nazywać co najwyżej kalkulacjami.

Istnieje takie polskie słowo, zapożyczone z jidysz, a wcześniej z niemieckiego, jak geszefciarz, obok którego stoją szwindel, przekręt, oszustwo. Przy założeniach interpretacyjnych, które tu zrobiłem, te słowa doskonale oddają jedyną inspirację ruchów politycznych Trumpa.

Kiedys Kartezjusz mówił: „Myślę, więc jestem”. Tutaj należałoby napisać: „Zarabiam, tłukę miliardy, więc jestem”. Patrząc na Trumpa i jego poczynania, które wymykają się tradycyjnym ocenom działania polityka o globalnym znaczeniu, widzimy, że nie jest on jakimś wypadkiem przy pracy amerykańskiej demokracji, lecz jej zwieńczeniem. Bo religia zarabiania ponad wszystko, mnożenia majątku, sukcesu mierzonego zasobnością ogniskuje w rzeczy samej „amerykańskie marzenie”, jego fenomen i znaczenia.

Pytanie, które pozostaje w mocy, to czy godzimy się na taki świat, czy jesteśmy gotowi zostać w nim statystami i konsumentami, czy jednak nasze człowieczeństwo chce czegoś innego? Może na szczęście nie wszyscy jesteśmy aż tak amerykańscy? Chciałoby się. Riwiera Bliskiego Wschodu? Świat może wyglądać inaczej. Powinien. ■

Informatycy trzymają się mocno

Na tle krajowej nauki informatykę, w tym sztuczną inteligencję, można uznać za polską specjalność

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Czy polscy informatycy są w świecie dostrzegani, wyróżniają się poziomem przygotowania wśród specjalistów z innych krajów?

– Ta ocena jest mieszana. Nie jesteśmy szczególnie mocni w skali światowej, bo też nakłady na naukę w Polsce, wynoszące ok. 1% PKB, należą do raczej niskich w stosunku do bogatszych krajów Europy, np. Skandynawii, a także do średniej europejskiej, która wynosi ponad 2% PKB. Do czołówki się nie zaliczamy. Z drugiej strony wśród polskich naukowców w prestiżowym rankingu Uniwersytetu Stanforda oraz wydawnictwa naukowego Elsevier (Stanford/Elsevier's Top 2% Scientist Rankings) aż ok. 9% stanowią osoby prowadzące badania w informatyce, podczas gdy w skali światowej jest to ok. 6%.

Dodajmy, że ranking jest imienny, bibliometryczny, opiera się m.in. na danych z cytowań, a wymienia ok. 1 tys. nazwisk polskich naukowców z różnych dziedzin. Informatyków jest ok. 100. Pańskie nazwisko też tam się znajduje.

– W skali naszego kraju wśród nauczycieli akademickich informatycy według danych POL-on stanowią zaledwie 3%, choć wywodzi się spośród nich 9% najlepszych polskich naukowców. Na tle krajowej nauki informatykę, w tym sztuczną inteligencję, można więc uznać za polską specjalność.

Potencjał intelektualny dostrzegamy już wśród polskiej młodzieży, bo w międzynarodowych konkursach matematycznych czy informatycznych nasi studenci odnoszą liczne sukcesy.



PROF. ANDRZEJ JASZKIEWICZ

– informatyk z Politechniki Poznańskiej specjalizujący się w jedno- i wielokryterialnej optymalizacji kombinatorycznej, algorytmach ewolucyjnych, sztucznej inteligencji oraz systemach wspomaganie decyzji.

– Nagrody potwierdzają, że potencjał jest duży. Mamy zdolną młodzież, ale trzeba zadać pytanie, na ile jej potencjał jest wykorzystywany. Ilu wybitnie zdolnym studentom możemy zaoferować stypendia doktoranckie choć częściowo konkurencyjne wobec wynagrodzeń w przemyśle, ilu absolwentów pozostanie na uczelni i będzie przekazywało swoją wiedzę kolejnym pokoleniom, a ilu wyrwie się do firm, wspomagając największe światowe koncerny. Naszym uczelniom trudno pozyskać tych najzdolniejszych.

Tytuł magistra informatyki brzmi dumnie, ale mamy tutaj rozmaite

specjalizacje. Programista stoi chyba wyżej od np. administratora?

– Informatyka to bardzo szerokie pojęcie. Zwróciłbym uwagę na jeszcze dwie „elitarne” specjalności. Jedną zajmuje się sztuczną inteligencją (AI), a druga cyberbezpieczeństwem. W praktyce informatycy obu specjalizacji tworzą opracowania w odniesieniu do konkretnych potrzeb. Obie specjalizacje są bardzo potrzebne, zwłaszcza że nieustannie tworzone są różne języki oprogramowania, wysokopoziomowe i niskopoziomowe, i coraz częściej zdarzają się zorganizowane ataki, które zagrażają cyberprzestrzeni i pochłaniają ogromne zasoby.

Warto też wspomnieć o wysokich kompetencjach potrzebnych w robotyce, gdzie wymagana jest mieszanka wiedzy z dziedziny informatyki, oprogramowania i umiejętności sprzętowych. W wielu firmach odczuwa się brak dobrze przygotowanych informatyków po studiach i tam organizuje się dodatkowe kursy i szkolenia przyuczające do zawodu. Nie są to może najwyższej klasy specjaliści, ale potrafią coś dla danej firmy stworzyć, zaprogramować pod określone potrzeby. Jednak później często się okazuje, że takie słabiej wyedukowane osoby mają większe problemy ze znalezieniem nowej pracy.

Studia informatyczne oferowane są i przez uniwersytety, i przez politechniki. Jaka jest różnica między ich absolwentami? Czy ci pierwsi są bardziej teoretykami, a drudzy praktykami?

– Absolutnie nie. Poziom kompetencji zależy raczej od jakości nauczania w konkretnej szkole wyższej. Ogólnie programy nauczania są bardzo podobne. Doszło do tego, że np. na tym kierunku na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, tak samo jak na politechnice, absolwenci otrzymują tytuł inżyniera. Poziom specjaliści w danej dziedzinie zależy od zakresu zdobytej wiedzy. Siłą rzeczy informatyk przyuczony w ciągu kilku tygodni kursu nie osiądzie takiej wiedzy jak ktoś, kto kształcił się przez kilka lat. Może się podejmować prostszych zadań, które ktoś mu zleca, tworząc jakieś fragmenty programu, ale nie może zastąpić osoby pracującej samodzielnie nad bardziej skomplikowanymi problemami. Oczywiście są wyjątki – bardzo dużo zależy od zdobytego doświadczenia w pracy zawodowej i od samodoskonalenia.

Wygląda na to, że wspomniani przez pana specjaliści z dziedziny cyberbezpieczeństwa muszą się ścigać z równie dobrze przygotowanymi hakerami, którzy nie tylko atakują prywatne konta bankowe czy profile w mediach społecznościowych, ale nawet mogą obezwładnić całe sieci i systemy strategiczne dla naszego życia.

– U nas prawo utrudnia działalność hakerów, ale są kraje, gdzie wiele rzeczy jest dozwolonych.

W niektórych państwach świadomie prowadzi się wojnę cyfrową, zachęca do podejmowania się takiej działalności. Polska w takie rzeczy nie wchodzi, ale nie twierdzą, że u nas hakerów nie ma. Pomimo zaawansowanych systemów bezpieczeństwa zdarzają się spersonalizowane ataki, które dotyczą czasem naszych naukowców, pod których podszywają się jacyś oszuści. Takie świetnie skonstruowane działania początkowo wyglądają bardzo wiarygodnie.

Zawód informatyka to jednak w potocznym rozumieniu bardzo dobra profesja.

– Generalnie się zgodzę. Branża IT to prężny biznes, który tworzy obecnie 4,5% polskiego PKB. W ostatnich latach szczególne znaczenie ma

Nakłady na naukę w Polsce, wynoszące ok. 1% PKB, należą do raczej niskich w stosunku do bogatszych krajów europejskich.

szuczna inteligencja. Zapotrzebowanie na dobrych informatyków rośnie więc najszybciej. Firmy potrzebują takich pracowników i oferują stosunkowo wysokie wynagrodzenia. Nawet bezpośrednio po studiach jest ono wyższe od średniej krajowej. Przeciętnie wynosi kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie, a „seniorzy” zarabiają i kilkadziesiąt tysięcy.

Popyt na fachowców z tej dziedziny napędzają rozwijające się sposoby korzystania ze sztucznej inteligencji.

– Firmy oferujące rozmaite algorytmy AI dopasowane do potrzeb klientów robią dobry biznes, bo pokazują, że oprogramowania te można zastosować w różnych obszarach. W nauce, ekonomii, przemyśle, medycynie itd. To ogromnie ułatwia pracę zespołów ludzkich, podnosi skuteczność i wydajność. A przede wszystkim poprawia wyniki finansowe firm. Nic więc dziwnego, że korzystanie z oprogramowania postępującego się sztuczną inteligencją, kupowanie dostępu do narzędzi znajdujących się czy to w tzw. chmurze, czy w laboratoriach firm informatycznych albo uczelnianych, staje się dla nas niemal rutynowym zajęciem.

W Polsce też?

– Oczywiście. Ja również pracuję w podobny sposób – ostatnio z moim doktorantem przygotowaliśmy artykuł o symulacji przepływu płynów, co można wykorzystać np. w modelowaniu klimatu lub projektowaniu silników. Środowisko naturalne stawia przed nami trudne zadania obliczeniowe i aby w pełni wykorzystać dane rozwiązania, warto zaprząć AI, wielokrotnie podwyższającą moc komputerów. Są to skomplikowane symulacje fizyczne, oparte np. na modelach sztucznych sieci neuronowych. W dziedzinie mechaniki płynów posługiwanie się zaawansowanymi narzędziami informatycznymi jest bardzo obiecujące.

W potocznym rozumieniu najdoskonalszym „centralnym komputerem” jest ludzki mózg, którego funkcjonowanie bywa inspiracją dla konstruktorów nowych „maszyn myślących”.

– Z pewnością. Sztuczne sieci neuronowe będą podstawowym składnikiem i narzędziem sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego (ML). Są modelowane na podstawie budowy naszego mózgu, o której coraz więcej wiemy. Działanie mózgu jest najważniejszą odpowiedzią dla informatyków, świetnie się nadaje do prób symulacji za pomocą skomplikowanych kart graficznych. Weźmy układy Nvidia Corporation, amerykańskiej firmy komputerowej będącej jednym z największych na świecie producentów procesorów graficznych i układów scalonych przeznaczonych na rynek komputerowy. Na rozwój takich systemów, pozwalających posługiwać się sztuczną inteligencją, jest ogromne zapotrzebowanie i wydaje się w tym celu grube miliardy.

Brzmi to bardzo pięknie i z pewnością szefowie wielkich korporacji się cieszą, ale co ze sztucznej inteligencji ma zwykły obywatel? Jak wygląda np. oprzyrządowanie

► administracji państwowej albo sfery edukacji powszechnej?

– O ile w biznesie z AI korzysta się coraz szerzej, o tyle np. w administracji wszystko jest jeszcze na etapie początkowym. Typowymi zastosowaniami są tłumaczenia i coraz bardziej inteligentne wyszukiwarki internetowe. AI można zadawać różne pytania, choć potrafi ona także zmyślać. Pomoże napisać list do klienta, bardziej lub mniej formalny, prosty

dla ludzi. To jest oczywiście poważny dylemat, bo jeśli konsekwentnie będzie się odrzucać zapotrzebowanie armii na nowe rozwiązania, w przypadku realnego ataku będziemy na przegranej pozycji. Niekontrolowany rozwój sztucznej inteligencji w dziedzinach „siłowych” może natomiast nieść olbrzymie zagrożenie dla nas wszystkich.

Na koniec zapytam o znaczenie popularnych zastosowań technologii

W wielu firmach odczuwa się brak dobrze przygotowanych informatyków po studiach i tam organizuje się dodatkowe kursy i szkolenia przyuczające do zawodu.

bądź rozbudowany, dokona korekty. Trzeba być jednak ostrożnym – należy sprawdzać podsuwane sugestie i generowane obrazy, grafiki. Ale wydaje się, że to, co na razie jest w powijkach, może całkowicie zmienić nasz świat. Tyle że nikt nie wie, w jakim kierunku to pójdzie.

Wiele pionierskich rozwiązań technicznych i technologicznych powstało w przemyśle zbrojeniowym, a dopiero w drugiej kolejności znalazło zastosowanie pokojowe. Rozwiązania sztucznej inteligencji mogą np. bezbłędnie naprowadzać rakiety czy drony na wroga, nawet przewidywać jego kontrposunięcia taktyczne i strategię. Mogą wykrywać miejsca rozlokowania żołnierzy itd. I są na to pieniądze: na naukę przeznacza się u nas 1% PKB, ale na obronność już 3%, a w niedalekiej przyszłości może i 5%.

– Na pewno rozwiązania o charakterze militarnym są bardzo zaawansowane, to jednak może się nie podobać wielu specjalistom. Znam osoby, które zdecydowanie nie chcą podejmować tematów wojskowych.

W środowisku informatycznym także można mieć do czynienia ze swoją klauzulą sumienia?

– Jeśli jakieś rozwiązanie służy zabijaniu, wielu ludzi może mieć z nim problem. Nie chcą nawet poruszać takich tematów w rozmowach. Z drugiej strony, gdy istnieje wybór, czy wysłać w dany punkt żołnierzy, czy roboty lub drony, raczej wybierze się rozwiązanie bezpieczniejsze

cyfrowych, takich jak gry komputerowe czy korzystanie z mediów społecznościowych. Czy rozwijają one kompetencje cyfrowe osób traktujących zasiadanie przed komputerem jako rozrywkę?

– Kwestia gier komputerowych była już przedmiotem badań. We wnioskach z nich podaje się, że gry mogą sprzyjać rozwojowi wyobraźni przestrzennej i ćwiczyć szybkość reakcji. Zwiększa się również sprawność grającego, zarówno intelektualna, jak i manualna czy nawet ruchowa, bo są i takie bardziej usportowione gry. Wielu informatyków przyznaje, że ich związek z siecią i komputerami rozpoczął się od gier i to one były pierwszą motywacją do zajęcia się taką pracą. Co do

sytuację i podgrzewają emocje, stosując kompletną dezinformację. To nie ma nic wspólnego z wolnością wypowiedzi. Poza tym, choć każdy może napisać w mediach społecznościowych, co tylko zechce, o tym, ilu i jacy inni użytkownicy taki post zobaczą, decydują już algorytmy. Wśród informatyków powstało więc przekonanie, że powinno się stworzyć mechanizm permanentnego weryfikowania krążących w sieci przekazów i unikać celowego szkodenia, podburzania, siania nienawiści itd. W tradycyjnych mediach była jakaś korekta i weryfikacja, fakty podlegały sprawdzaniu. W mediach społecznościowych każdy może napisać cokolwiek, nawet w bardzo drastycznej, a przez to atrakcyjnej formie. Tymczasem prawdziwy obraz na tym tle wypada błado. Prawda często jest po prostu nudna.

Sądzi pan, że metodami administracyjnymi, nawet z pomocą sztucznej inteligencji, uda się zapobiec oszustwom, manipulacjom, nadużyciom w komunikacji sieciowej?

– Uważam, że wykorzystywanie sztucznej inteligencji w celach przestępczych powinno być skutecznie zakazane prawnie. Powinno się wprowadzić takie rozwiązania, a firmy wykorzystujące algorytmy AI muszą brać odpowiedzialność za negatywne efekty ich działalności. Na razie używanie sztucznej inteligencji generującej fałszywe wiadomości, które są bardziej spersonalizowane

O ile w biznesie z AI korzysta się coraz szerzej, o tyle w administracji wszystko jest na etapie początkowym.

mediów społecznościowych, byłbym bardziej sceptyczny. Nie mam o nich najlepszej opinii. Źródła podają, że np. czystki etniczne w Birmie były napędzane przez odpowiednio sterowane informacje, komunikaty, manipulacje opinią – także za pośrednictwem mediów społecznościowych. Obrońcy social mediów posługują się argumentem „wolności słowa”, ale mamy w nich niekiedy do czynienia z celowo tworzonymi z udziałem sztucznej inteligencji fake newsami, które podsycają niesnaski, zaogniają

i dopasowane do konkretnej osoby, jest wciąż dozwolone. Nikt także nie przeciwstawia się systemowo botom, które podszywają się pod ludzi i prowadzą z nieświadomymi odbiorcami rozmowy przez telefon lub korespondują mejlowo. AI często odpowiada na pytania użytkowników, aby wyłudzić od nich dane osobowe lub pieniądze, albo wprowadza inny rodzaj szkód.

Bronisław Tumilowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Kaczy Dół

O Wiktorze Kulerskim, moim międzyleskim sąsiedzie, czasami tu – zawsze serdecznie – wspominam (Wiktor jest wiernym czytelnikiem „Przeglądu”). Nauczyciel, człowiek o pięknej opozycyjnej biografii. Pochodzi z warszawskiego Międzylesia i nadal w nim mieszka, ze swoją Zosią i z dochodzącymi kotami, w malutkim, ciasnym saloniku z kuchnią.

Wiktor od dawna zbierał materiały o Międzylesiu, które kiedyś nazywało się Kaczy Dół. Miejsce, od którego nazwa się wywodzi, nadal widać tuż obok ronda – stała tam niegdyś woda i pływały w niej kaczkę. Nazwę zmieniono jeszcze przed wojną, bo kto chciałby mieć kaczkę adres (dzisiaj tym bardziej źle kojarzony)? Wiktor swoje międzyleskie artykuły drukował w „Gazecie Wawerskiej”, ale dokumentację zbierał od początku lat 70. Po to, by ocalić od zapomnienia ludzi i miejsca: okres między wojnami, potem okupację i czas apokalipsy. Przed laty namawiałem go, by zrobił z tego książkę. Nie kwapił się, zawsze niechętny, by istnieć publicznie. Ale w końcu książka powstała, także dzięki Bogdanowi Birnbaumowi, który został jej współautorem.

I oto w Wawerskim Centrum Kultury mamy spotkanie z obydwoma autorami i książką. Jednocześnie świętujemy 90. urodziny Wiktora. W obszernej sali widowiskowej wszystkie miejsca zajęte, ludzie stoją i siedzą na schodach. Wielu dawnych działaczy opozycji, wpadłam na Zbyszka Bujaka, są też liczni miejscowi – zaczynamy się interesować korzeniami naszych małych ojczyzn. Nie chcę, by czytelnicy odnieśli wrażenie, że mam jakąś obsesję żydowską – tyle u mnie ostatnio żydowskich motywów, ale samo jakoś tak się układa.

Holokaust w Międzylesiu i okolicach to najbardziej wstrząsające rozdziały tej książki. Oczywiście ginęli tu też Polacy, co Kulerski skrzętnie dokumentuje – ważny jest dla niego każdy człowiek. Gdy doszedł do Międzylesia front, na Hafciarskiej, przy której teraz mieszkam (pierwotnie nazywała się Podkaczy Dół), była jego linia. Chodząc na spacer, widzę ślady po okopach i umocnieniach. Walczyli tu także polscy żołnierze ze Wschodu. Kościuszkowcy jawią się nam jako bezimienna masa, niby nasi, a nie nasi, jakoś gorsi, a to przecież byli sybiry. Kulerski daje im imiona, czyni z nich ludzi. Kiedyś poprowadził mnie do starej, przekrzywionej sosny, blisko

ronda, do miejsca, gdzie hitlerowcy dokonywali egzekucji łapanych w pobliżu Żydów. Niestety, czasami przyprawiali ich Polacy. „Ktoś był świadkiem, jak Jan Orlicki, stróż z Chrzanowa, prowadził na posterunek policji chłopca żydowskiego (...). Zastrzelony został z dziewczynką żydowską, która ujrawszy chłopca prowadzonego na śmierć krzyknęła. Zabrano ją i zabito razem z chłopcem”.

Po egzekucjach zawsze znalazł się ktoś, kto rzucał się na zwłoki i odzierał je z ubrań. Szokująca jest relacja o błąkających się po okolicy małych dzieciach, którym zamordowano rodziców. „Chłopiec ujrzał przez okno małe obdarte dzieci żydowskie, stały i patrzyły na niego bez słowa z dłońmi zaciśniętymi na drutach ogrodzenia. Znieruchomiał. Matka w popłochu wepchnęła syna do pokoju i zamknęła drzwi”. Byli oczywiście tacy, którzy ukrywali Żydów, pamięć o nich została zapisana. Znamienne jednak, że po wojnie ludzie ci ukrywali to, że ukrywali – strach było do tego się przyznać. Tak było w całej Polsce.

Zaczynamy się interesować korzeniami naszych małych ojczyzn.

Villa La Fleur w Konstancinie – wstyd przyznać, że jestem tu po raz pierwszy. To prywatne muzeum, zwiedzamy wystawę malarstwa Mojżesza Kislinga. Niezwykła, w pięknej scenografii. Zdumiewające, jak wielu wybitnych polskich malarzy urodzonych przed progiem XX w. miało żydowskie korzenie. Cała niezwykła École de Paris – w drugim pałacyku są ich obrazy – to w większości malarze żydowskiego pochodzenia. Ich dzieła zbierał kiedyś Wojtek Fibak, miał wielką kolekcję, stracił po kolejnych rozwodach. Sporo sprzedał. Mówiłem mu swego czasu: „Nie wybaczę ci, że nie stworzyłeś własnego muzeum. To, że byłeś mistrzem tenisa, pójdzie w zapomnienie, a muzeum stałoby się na stulecia częścią kulturalnego pejzażu Warszawy”.

Zbigniew Ziobro drwi sobie z naszego państwa, nie uznaje go, uznaje inną Polskę, w której był ministrem i siał zniszczenie w wymiarze sprawiedliwości. Komisja w sprawie Pegasusa chwilami bezradna, tak bywa z demokracją, że ma niemrawe narzędzia wobec szubrawców. Inna sprawa, że jej członkowie okazali się niewystarczający wobec zadań, z którymi musieli się zmierzyć. Powinno być tam kilku Giertychów, ale skąd ich brać?



Grzegorz Rudnik

Skansen Europa

Dlaczego gospodarka europejska przestała być konkurencyjna

W 1992 r. udział Unii Europejskiej w globalnym PKB wynosił 29%. Niemieckie samochody marki Volkswagen, Porsche i Audi uchodziły za najlepsze na świecie. Firma Siemens produkowała komputery osobiste pod marką Siemens Nixdorf. W Wielkiej Brytanii Alan Sugar kierował produkującą komputery firmą Amstrad. Wprowadzony we Francji w 1982 r. system wideotekstowy Minitel był najbardziej udaną usługą sieciową istniejącą przed rozpowszechnieniem internetu. Podpisany 7 lutego 1992 r. w Maastricht traktat o Unii Europejskiej stworzył ją taką, jaką znamy do dzisiaj. Związek Radziecki się rozpadł, a powstałe w wyniku rozpadu państwa pograżały się w kryzysach. Udział Stanów Zjednoczonych w globalnym PKB wynosił 25,7%, a Chin zaledwie 2%. Japonia, która w latach 70. i 80. XX w. rozwijała się w błyskawicznym tempie, też wpadła w kryzys. Europejcy przywódcy byli w euforii – wszystko wydawało się zmierzać w dobrym kierunku. Dziś wiemy, że rok 1992 był początkiem końca dominacji Starego Kontynentu.

W 2024 r. udział Europy w światowym PKB wyniósł 17,5% i wiadomo, że będzie spadał. W XXI w. europejska gospodarka utraciła

innowacyjność i przestała być konkurencyjna. Niemieckie koncerny samochodowe przenoszą produkcję do Chin i Stanów Zjednoczonych. Wielkie firmy chemiczne, takie jak BASF, również. Prognozy są złe, a rozwiązania nie widać. Skrajne opinie wskazują, że Europa zmieni się w skansen zabytków odwiedzany przez turystów z Azji i Ameryki Północnej. Co spowodowało tak głęboki upadek?

**Wolność, równość,
braterstwo i co dalej?**

Po co powstała Unia Europejska? Pod koniec XX w. politycy niemieccy, francuscy, brytyjscy i włoscy wyznawali pogląd, że głównym zadaniem zjednoczonej Europy ma być zapewnienie społeczeństwu demokracji, pokoju, wolności, sprawiedliwości i dobrobytu. Gospodarka i jej wzrost w ich pojęciu miały być jedynie narzędziami służącymi realizacji tych szczytnych celów. Jej stan nie budził niepokoju – była potężniejsza niż

amerykańska i japońska. I tak samo innowacyjna.

W zarządach i radach nadzorczych wielkich europejskich banków i koncernów zasiadali menedżerowie równi wiekiem członkom Biura Politycznego KPZR. Nie byli w stanie dostrzec wyzwań, które pojawiły się na przełomie lat 80. i 90. XX w.

Zachodnie społeczeństwa, uwolnione od zagrożenia ze strony Związku Radzieckiego, chciały żyć dostatniej. Znacząco wzrosły w nich wydatki na opiekę zdrowotną i świadczenia emerytalne.

W latach 90. Niemcy ponieśli ogromne koszty zjednoczenia i nie w głowie im było dbanie o innowacyjność przedsiębiorstw. Podobnie sądzono w innych państwach. W efekcie w ostatnich 50 latach w Unii Europejskiej nie powstała ani jedna spółka o kapitalizacji rynkowej przekraczającej 100 mld euro. Za to w Stanach Zjednoczonych powstało ich sześć – ich kapitalizacja przekroczyła 1 bln euro.

Kłopoty niemieckiej gospodarki są paliwem dla populistów. Nz. zwolennicy prawicowej AfD na wiecu w Erfurcie przed wyborami w Turyngii w sierpniu 2024 r. W tych wyborach AfD zwyciężyła, wyprzedzając CDU.

W Europie nie brakuje utalentowanych naukowców ani ambitnych przedsiębiorców. Jednak innowacje są tutaj blokowane na etapie komercjalizacji. Okazuje się, że to problem systemowy. Europejskie firmy specjalizują się w tradycyjnych technologiach, których potencjał jest ograniczony, i dlatego wydają na badania i innowacje mniej. W ostatnich 20 latach w badania i rozwój najwięcej inwestowały koncerny motoryzacyjne. Tak było w Stanach Zjednoczonych na przełomie XX i XXI w. Dziś w USA najwięcej inwestują firmy technologiczne.

Europejskie firmy nie były w stanie stworzyć „własnego” Google’a, Facebooka, Instagrama, choć zrobili to Chińczycy i Rosjanie. Francuski system Minitel, który o dekadę wyprzedził internet, nie był rozwijany i teraz jest już historią. Europejskie banki potężnie oberwały w wyniku kryzysu 2008 r. i chociaż z czasem pokonały problemy, to nadal realizują bardzo konserwatywną politykę.

W rezultacie koszt prowadzenia polityk społecznych powiększa się z każdym rokiem. Dodatkowo kraje Europy Zachodniej zmagają się z napływem kolejnych fal imigrantów, głównie z Afryki, państw islamskich, a ostatnio z Ukrainy, którzy są coraz większym obciążeniem dla budżetów. Rosną też naciski na zwiększenie wydatków na ochronę zdrowia i emerytury. Na to nakładają się oczekiwania przedsiębiorców, że państwo w razie kłopotów zapewni im dotacje. Na razie w imię zachowania europejskich wartości i stylu życia pieniądze się znajdują. Stabnie za to wzrost gospodarczy i rośnie dystans do Stanów Zjednoczonych i Chin. I nikt nie wie, jak powstrzymać katastrofę.

Czy na pewno über alles?

Niemiecka gospodarka była i jest najpotężniejsza w Unii Europejskiej. Największym niemieckim

pracodawcą pozostaje przemysł motoryzacyjny. W ubiegłym roku koncern Volkswagen wyprodukował o ok. 2 mln samochodów mniej niż w roku 2019. Jednocześnie utrzymał podobny poziom zatrudnienia. Okazało się, że niektóre jego zakłady wykorzystywały swoje moce produkcyjne w 20-30%.

W ubiegłym roku pojawiły się informacje, że kierownictwo koncernu rozważa zamknięcie co najmniej trzech fabryk w Niemczech i zwolnienie tysięcy pracowników. Byłby to bezprecedensowy krok w prawie 90-letniej historii Volkswagena.

W całym 2023 r. niemiecki Federalny Urząd Statystyczny odnotował 17 814 upadłości firm.

Przykrą okolicznością okazała się rosnąca w Niemczech sprzedaż samochodów elektrycznych produkowanych przez chińskie koncerny. Były one tańsze niż pojazdy niemieckie. I lepiej wyposażone. Czas pokaże, czy będą równie trwałe.

W ubiegłym roku sprzedaż pojazdów marki Volkswagen spadła o 1,4%, do 4,8 mln, a zysk operacyjny firmy zmniejszył się o prawie 37%. Kłopoty dotknęły też koncern BASF. Jego sprzedaż w 2023 r. spadła o ponad 21%, do 68,9 mld euro z 87,3 mld euro w roku 2022. W wyniku wojny w Ukrainie spółka zależna koncernu, Wintershall Dea, musiała wycofać się z Rosji, co spowodowało odpisy w wysokości ok. 7,3 mld euro. Dzisiaj BASF stoi także przed wyzwaniem związanym z globalnym spowolnieniem gospodarczym, wysokimi kosztami energii, napięciami geopolitycznymi oraz koniecznością restrukturyzacji. I zapowiada redukcję zatrudnienia w niemieckich zakładach. Za to nie rezygnuje z inwestycji w Chinach. Pojawiły się również informacje o planach uruchomienia produkcji w Stanach Zjednoczonych. Dla Niemców są to złe wiadomości.

W całym 2023 r. Federalny Urząd Statystyczny odnotował 17 814 upadłości firm. Rok 2024 okazał się jeszcze gorszy. W okresie od stycznia do sierpnia sądy zgłosiły 14 403 przypadki upadłości niemieckich firm,

co oznaczało wzrost o ok. 23% w porównaniu z tym samym okresem w roku poprzednim. Według prognoz agencji kredytowej Creditreform ogólna liczba bankructw w ubiegłym roku może osiągnąć 22,4 tys. podmiotów. Prognozy na rok 2025 są jeszcze gorsze. Może upaść nawet 30 tys. firm.

W mediach często jako powód kłopotów gospodarki podaje się wzrost kosztów energii, który w Niemczech jest dwa-trzy razy wyższy niż w Stanach Zjednoczonych i Chinach. Dlatego politycy prawicowej partii Alternatywa dla Niemiec (AfD) domagają

się przywrócenia dostaw gazu ziemnego z Rosji, zniesienia sankcji i powrotu do dawnej, korzystnej dla obu stron, wymiany handlowej. Niemal identyczne problemy mają gospodarki innych zachodnich państw. I nie nie wskazuje, że to się zmieni.

Co ciekawe, Unia Europejska nadal ma nadwyżkę w wymianie handlowej ze Stanami Zjednoczonymi. W roku 2021 było to prawie 166 mld euro, a w roku 2023 – 158 mld. Ostatnio prezydent Donald Trump nazwał ten deficyt „bestialstwem” i stwierdził, że „Unia przekroczyła granice”, więc „z całą pewnością” na europejskie towary zostaną nałożone cła. Wkrótce się przekonamy, czy był to wojowniczy wstęp do negocjacji, czy początek wojny handlowej, która pogłębi

Naszemu autorowi

**Profesorowi
Piotrowi Kimli**

składamy wyrazy
serdecznego współczucia
po śmierci

MAMY

Jerzy Domański
i zespół tygodnika „Przegląd”

► problemy gospodarcze państw Sta-
rego Kontynentu.

Co ogranicza Europę?

Lista przyczyn kłopotów państw unijnych jest długa. Na pewno jednym z najważniejszych są wysokie koszty energii związane z wojną w Ukrainie i odcięciem Europy od taniego rosyjskiego gazu. Ważną przyczyną są też rosnące koszty pracy, materiałów i ogólne koszty prowadzenia działalności gospodarczej. Hamulcem są także restrykcyjna polityka monetarna i wysokie stopy procentowe, które zwiększają koszty kredytów.

Na to nakładają się problemy demograficzne i niedobór pracowników, zwłaszcza tych o wysokich kwalifikacjach, co negatywnie wpływa na rozwój przedsiębiorstw.

Spadek realnych dochodów ludności przekłada się z kolei na rosnące oszczędności konsumentów i mniejsze wydatki. Rynki są również destabilizowane przez napięcia geopolityczne i konflikty zbrojne, które przyczyniają się do zrywania łańcuchów dostaw.

Istotną okolicznością są wprowadzone przez UE sankcje na towary i usługi sprzedawane i kupowane w Rosji. Dlatego nikogo nie powinien

dziwić zastój inwestycyjny w największych unijnych gospodarkach, z niemiecką na czele, który przekłada się na spadek konkurencyjności wobec Stanów Zjednoczonych, Chin czy Indii. Kosztowna okazała się poza tym polityka Zielonego Ładu, którą Unia ma zamiar konkretyzować – bo na razie oficjalnie się z niej nie wycofała.

Gdy mówimy o realizacji ambitnych programów – doświadczenia europejskie są jak najgorsze. Wystarczy wspomnieć strategię lizbońską

do 3% PKB, zredukowane miały zostać przepisy biurokratyczne utrudniające rozwój firm, miał też nastąpić wzrost zatrudnienia.

Już w 2005 r. było jasne, że realizacja tej strategii idzie źle, a luka rozwojowa między Stanami Zjednoczonymi a Europą rośnie. Jako główne przyczyny wskazywano słabą koordynację działań, sprzeczne cele zapisane w strategii, jej zbytnią obszerność oraz brak determinacji ze strony państw członkowskich.

Unia Europejska nadal ma nadwyżkę w wymianie handlowej ze Stanami Zjednoczonymi. W roku 2023 było to 158 mld euro.

przyjętą przez Radę Europejską w marcu 2000 r. Jej celem było uczynienie państw UE w ciągu 10 lat najbardziej dynamicznym i konkurencyjnym regionem gospodarczym na świecie, rozwijającym się szybciej niż Stany Zjednoczone. Strategia lizbońska opierała się na założeniu, że nasze gospodarki staną się bardziej innowacyjne dzięki szeroko zakrojonym badaniom naukowym, których wyniki znajdą zastosowanie w nowoczesnych gałęziach przemysłu. Wyznaczono następujące cele: nakłady na badania i rozwój w państwach UE miały w roku 2010 wzrosnąć

Według danych Europejskiego Związku Izb Przemysłu i Handlu publikowanych po roku 2010 zapóźnienie Unii Europejskiej w PKB, w zakresie konkurencyjności oraz finansowania nauki w stosunku do Stanów Zjednoczonych wynosiło 20-30 lat.

Wskazywano opór państw UE przed ograniczeniem rozbudowanych przywilejów socjalnych, które zapewniały rządowi poparcie, lecz generowały ogromne koszty i ograniczały konkurencyjność. Pisano, że Europejczycy pracują krócej niż Amerykanie bądź w ogóle nie pracują, utrzymując się z pomocy społecznej. W efekcie główną słabością Europy były nie problemy z gospodarką opartą na wiedzy, ale nadmierne rozwinięte systemy socjalne oraz szczególnie ochrona zatrudnionych. Z jednej strony, skłaniało to obywateli państw unijnych do niepodjęcia pracy, z drugiej – zniechęcało pracodawców do tworzenia nowych stanowisk. I koło się zamknęło.

Od 2010 r. sytuacja się pogorszyła. Kryzys roku 2008, który zaczął się od upadku amerykańskiego banku Lehman Brothers, uderzył z całą mocą w gospodarkę europejską. W 2020 r. do Europy dotarła pandemia COVID-19, a w lutym 2022 r. wojna rosyjskie najechały Ukrainę. Dziś w obliczu licznych zagrożeń przyszłość wydaje się bardziej niepewna niż dekadę temu. A Europa zamienia się w okupowany przez migrantów skansen.

Grzegorz Rudnik



Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Podanie o pracę

Faktycznie, polityka nie zajmuje mnie wcale, dopóki sama się mną nie zajmie. W okresach rządów być może nieudolnych, ale z pewnością bardziej demokratycznych nie martwię się na zapas, kątem oka sprawdzam tylko stan rzeczy, na co dzień jednak żyję tym, co apolityczne. Lasem się zaciągam, martwię się o niego dopiero, kiedy słyszę silniki pił tańczuchowych. Rzekłbym nawet, że chodzę na wybory, aby głosować na polityków, którzy dają największą nadzieję, że polityka przestanie mnie obchodzić.

Owóż na kampanię prezydencką spoglądam z ukosa, chytliem i pobieżnie, bo ten pojedynek na miny i sondaże tyle znaczy, co show podczas oficjalnego ważenia przed walką bokserską. Poza tym nie chcę oglądać Rafała Trzaskowskiego, którego w mniej pustelniczym okresie życia zdążyłem poznać i polubić za jego ogładę i erudycję, jak bierze czynny udział w mizdrzostwach Polski, zmuszony mizdrzyć się do wszystkich bęcwałów ojczystych, albowiem każdy głos może być jęczyzkiem u wagi. Choć tak po prawdzie zauważam już teraz, że moce Rafała są rozleglejsze od sprawności Nawrockiego, bo Trzaskowski to i z Martyniukiem po Zenkowemu się dogada, a pan Karol to jednak tylko po siłowniach, klasztorach i stadionach może szukać popleczników.

Trochę też przed kamerami wygląda ta kampania jak plebiscyt na najpiękniejszy uśmiech, a w tej dziedzinie kandydat „uśmiechniętej Polski” ze swoim wrodzonym rozpromienieniem jest o kilka długości przed rywalami. Powiedziałbym nawet, że największym kłopotem Nawrockiego jest konieczność szczerzenia się do kamer, jego uśmiech jest tak wymuszony, że przypomina sardoniczny grymas w zaawansowanej fazie choroby tężkowej – ktoś, kto obiecuje rządy twardej ręki i bezlitosnej zemsty, nie ma w swoim sakwojażu szczerego uśmiechu, wyjmuje więc te odpustowe, sztuczne, plastikowe. Mówiąc wprost, Nawrocki uśmiecha się tak, jak Duda gadał

po angielsku. Choć trzeba przyznać, że obywatelski kandydat PiS z językiem obcym radzi sobie lepiej od Dudy, ale też niżej tej poprzeczki zawiesić już się nie dało.

Na razie zatem pisiory wysyłają zaoczne obietnice zemsty, czcze groźby, pogroźki na wierzbie, ale od zagłady jesteśmy daleko. Wciąż to złołe muszą uciekać przed dobrukami, a nawet pierzchać przed nimi pod obcą obronę, tulić się do piersi bratanków, choć pogoń jest wysoce niemrawa, a nawet wcale jej nie ma.

Dopiero kiedy zbudzą się demony, i ja się zbudzę, na razie jeszcze trochę snu zimowego pozostało do przebarłozenia i kawałek wiosny do przekichania od pyłków. Podśmiewam się co najwyżej z tego, jak bliźniaczko podobne do siebie są zachowania mediów prorządowych, kiedy trzeba wprost zająć krytyczne stanowisko wobec

władzy. Portale i gazety pisowskie, zajęte na co dzień robieniem medialnego fellatio rządowi „dobrej zmiany”, w sytuacjach kryzysowych zdobywały się co najwyżej

Chodzę na wybory, aby głosować na polityków, którzy dają największą nadzieję, że polityka przestanie mnie obchodzić.

na uwagę, że wprowadzie wszystko jest w porządku, ale szwankuje komunikacja. Ergo, narodowi trzeba wytłumaczyć skuteczniej, że jest dobrze, bo nie daj boże zwątpi i się znarowi. Teraz czytam w „Wyborczej” o rządowych problemach z komunikacją i wybucham śmiechem, ale zaraz też się miarkuję, bo dociera do mnie fakt zupełnie nieprawdopodobny: od chwili przejęcia władzy rząd koalicyjny nie ma rzecznika prasowego. Jest to fuszereka najwyższej miary, wynikająca z wodzowskiego narcyzmu i arogancji, bo wierzyć mi się nie chce, że koalicjanci nie znaleźli dotąd kompetentnego człowieka na to stanowisko.

Niniejszym ogłaszam, że w erystyce jestem biegły, sztukę komplementów przeciwczyłem na ostatniej Żonie, z kartki też czytać umiem wartko i wyraźnie, a wedle kilku szacownych gremiów i w piśmie posiadam niejakie talenty. Wnioskuje zatem o rozpatrzenie mojej kandydatury. ■

SKLEP PRZEGLĄDU

sklep.tygodnikprzeklad.pl



**ZAWSZE
W ZASIĘGU RĘKI**

Bogata oferta i najlepsze ceny:

książki | e-booki | prenumerata elektroniczna | subskrypcja | Zdanie

Towarzysze, obywatele i wy, ludzie zza Buga

Wbrew powszechnemu wyobrażeniu osadnictwo na „Ziemiach Odzyskanych” nie było tylko koniecznością, bywało też wyborem

Karolina Ćwiek-Rogalska

Żeby trafić „na zachód”, trzeba tam najpierw dojechać. Ci, którzy ruszyli ze wschodu, muszą przeciąć nie jedną, ale dwie granice.

Najpierw jest ta nowa, wschodnia granica Polski. Jej przekroczenie musiało być osobliwe. Jak mogą wjeżdżać do Polski, skoro z niej nie wjeżdżali? W końcu Polska w ich pamięci jest przecież inna, szersza. Pawłowiczowie stwierdzają nawet, że ich podróż ciągnie się „od krańca do krańca Polski”, choć tam, skąd wyruszają, Polski już nie ma. Geografia powojnia

ta druga granica. I nie, nie ta na linii Odry i Nysy, ale granica, która przed 1945 r. oznaczała, że wjeżdżało się na terytorium Niemiec. Mówi się, że Sowieci mieli swój sposób na oznaczanie tej linii. Mówi się, że za Wieleńiem, gdzie na Noteci ustawiono tymczasowy most dla wojska, stała brama z napisem „Wot ona, proklataja Giermania”. We wspomnieniach osadników i osadniczek takie bramy się nie pojawiają – nie dla nich wszak są przeznaczone i raczej nie dla pociągów, które ich wiozą.

Rodzina Pawłowiczów nie wie, dokąd jedzie. Mają tylko przypuszczenia. Podobno „jakimś ważnym punktem

Zobaczmy, co widzimy jego oczami: „Cel podróży nie był nam dokładnie znany. Z dokumentów wynikało, że mamy pojechać do Piły i zameldować się w biurze Pełnomocnika Rządu na Pomorze Zachodnie, skąd otrzymamy dalsze instrukcje i skierowanie”. Punktem orientacyjnym na mapie są nie tyle miejscowości, których nazwy są Bronisławowi obce, ile pełnomocnik, którego w tym topograficznym gąszczu trzeba odnaleźć.

Pawłowiczowie w ogóle nie mają kontroli nad kierunkiem ruchu. Stoją w Pile dość długo. Czekają. Dopiero potem ruszą dalej, na Stargard, wtedy nazwany bardziej po piastowsku Starogrodem. Jeszcze w 1947 r. nowa nazwa tego miasta będzie budzić kontrowersje. (...) Wątpliwości geograficzne nie opuszczają nowych osadników przez cały czas. Po dotarciu do Stargardu/Starogrodu rodzina Pawłowiczów staje przed kolejnym dylematem: „Czy zostać tutaj, czy jeszcze próbować szczęścia. Słupsk ponoć daleko, o Szczecinku nikt niczego konkretnego nie wie”.

Póki gdzieś się nie wysiadzie, niewiele wiadomo. Pawłowiczowie nie mają wtedy pojęcia, że Szczecinek, w przeciwieństwie do Piły, został zdobyty szybko i nie jest specjalnie zniszczony. Dowie się tego za to Drugi Bronisław – wspomnienia opatrzy godłem „Koszalinianin”. Dojeżdża właśnie tam, do Neustettin, Szczecinka. Wywieziony na roboty przymusowe do Rzeszy mężczyzna po wojnie, w maju 1945 r., rusza na wschód, aby dotrzeć na polski zachód, i po wyjściu z pociągu kieruje swoje kroki do miejscowego oddziału PUR (Państwowy Urząd

„Repatrianci zza Buga” są „podstawowym czynnikiem” w osadnictwie. Bo „została odcięta droga, przez co zagospodarowują się b. dobrze”, pisano w latach 40.

jest mglista, niewyraźna. Stanisław wspomina, że słyszy głos ojca, który mówi: „Już Polska”. Doskakuje więc do drzwi wagonu i wygląda na zewnątrz: ale nic się nie dzieje, ciemność i tylko ciemność.

Reakcja przypomina rozczarowanie młodego Cezarego Baryki, który po dręczącej podróży pociągiem w końcu wysiada w tej nowej Polsce. Rozczarowanie obu chłopców, tego wymyślnego i tego prawdziwego, dzieli niespełna 30 lat. Baryka, idąc przez zrujnowane przygraniczne miasteczko, powtarza jak mantrę słowa o nieistniejących szklanych domach. We wspomnieniu Stanisława Polskę skrywa „tylko ciemność”. Ale tam, gdzie podróż Baryki się kończy, droga wysiedlonych trwa. Bo jest jeszcze

jest Piła”. (...) Duży węzeł kolejowy i morze ruin – najbardziej zrujnowane miasto regionu, z którego centrum zostało jakieś 10% zabudowań. „Miasto zniszczone kompletnie”, pisze więc Stanisław i dodaje: „Nikt nawet nie myśli o pozostaniu tutaj”. A jednak przetrwał przecież okazały budynek rejencji. Zaczynają się delibacje, czy nie jest to dobry punkt dla nowych polskich władz regionu. Stąd pełnomocnik rządu ppłk Leonard Borkowicz wysłał instrukcję dla urzędników, w której wyznacza im za cel nawiązanie stosunków z komendantami radzieckimi. W pilskim biurze Borkowicza stawia się też wraz z grupą potencjalnych osadników Bronisław, który swoje wspomnienia opatrzył pseudonimem „Kołobrzeżanin”.



Przyjazd repatriantów ze wschodu.
Gdańsk, październik 1947 r.

Repatriacyjny – przyp. red.). Na Neustettin kieruje się również z Jastrowa inna rodzina osadników. Siedzą w wagonie i obserwują kolejarzy, nalepiających na ich wagon napis „Drawsk”. Zastanawiają się wówczas, „gdzież więc jest ten Drawsk?”. Drawsk, Drawsko, Dramburg. Miasta „odzyskane” istnieją czasami tylko w wyobraźni. Ich istnienie jest niepewne, nazwy nic nie znaczą, póki nie wysiądzie się z wagonu.

Pierwsze wrażenia z miast, które mają być nowymi miejscami do życia, są mieszaniną zachwytu, strachu, niepewności. A przede wszystkim inności. Pawłowicz pisze:

a rynek i sąsiednie ulice nosiły ślady ciężkich zmagani wojennych”. Tak pisał Franciszek, weteran, który już 7 maja 1945 r. przyjechał do Koszalina, by objąć jeden z nowo utworzonych urzędów.

Ale miasta „odzyskane” i porzucone istnieją podwójnie. Bo skoro coś zostało odzyskane, to znaczy, że ktoś coś również stracił. Miejsca, które zostały opuszczone, to miejsca, które – choć fizycznie istnieją w przestrzeni – przetrwają tylko w pamięci. Pawłowicz napisze o Wołkowysku, z którego wyjeżdża: „Chodzą [radziecy] żołnierze z pannami, harmoszki tęsknie zawodzą do późnej nocy. Już to

tylko obcych ludzi, i jeszcze słyszymy dźwięczące w uszach obce dźwięki”. (...)

Zdezorientowanego sekretarza wałeckiego PPR Tadeusza Skoczni spotykamy w starostwie powiatowym. Tutaj w czerwcu 1945 r., wraz z innymi przedstawicielami administracji, wita grupę przybyłą z Łęczycy. Na jej czele stoi Pierwszy Bronisław, ten, który pojechał do zrujnowanej Piły, by szukać pełnomocnika Borkowicza. Bronisław stoi na czele grupy zwiadowczej złożonej z potencjalnych osadników.

Wbrew powszechnemu wyobrażeniu osadnictwo na „Ziemiach Odzyskanych” nie było tylko koniecznością, bywało też wyborem. Z Łęczycy, miasta w centralnej Polsce, grupa Bronisława wyjechała, bo skusiła ich obietnica: ziemi, awansu społecznego, zaawansowanego technicznie gospodarstwa. Zupełnie jak na jednym z plakatów propagandowych z epoki. Skreślony w bielach i błękitach chłop, w charakterystycznym kapeluszu, sukmanie i długich butach, z węzełkiem na kiju, rusza w szeroki świat. Jednym skokiem pokonuje odległość od krytej strzechą chałupki ku murowanemu domowi gdzieś pod Wrocławiem, nad którym powiewa polska flaga. Gdy się ▶

To, że ludzie mówią po swojemu, nie wszystkim się podoba. Trudno stworzyć jednolity naród na „odzyskanych” terenach, jeśli nie wszyscy posługują się tą samą polszczyzną.

„Wszystko było tu inne. Domy, kształty kamienic, ich fizjonomia, układ ulic. I te mury: bure, szare, brązowe. Zupełnie inne niż u nas”. Inni skupiają się na zniszczeniach: „Samo miasto zrobiło na mnie i początkowych osadnikach wrażenie przynębiające. Większość domów stała pustką, bo przeważna część ludności niemieckiej uciekła za Odrę. Pootwierane i puste sklepy oraz wybite szyby w oknach wzbudziły u przybyłych uczucie smutku i zawodu. Gruz i śmiecie zawałyły jezdnię i chodniki,

miasto jest inne. Nie ma Żydów, którzy nadawali ton przed wojną, prawie nie ma Polaków, zostali Białorusini i sporo przyjezdnych Rosjan”. Podobne odczucia będzie żywił jeden z wysiedlonych Niemców, który w późnych latach 50. napisze wspomnienie o Zippnow/Sypniewie: „Na przystanku autobusowym w Zippnow była już zebrana prawie cała wieś. Patrzono na nas rzecz jasna ze zdziwieniem jak na przybyszów z obcej planety. Mieliśmy osobliwe uczucie, że idziemy przez rodzinną wieś, a widzimy

► jednak uważniej przyjrzymy, postać chłopa-tytana robi upiorne wrażenie. W lśniącem białym uśmiechu jest coś robotycznego, to każdy i nikt. Z jego oczu nic nie da się wyczytać, bo ich nie ma. Nie widzi i nie wie, dokąd tak naprawdę zmierza.

A jednak Bronisław i jego łączykanie jadą „na zachód”, by rozeznaczyć się w możliwościach, jakie oferowały „Ziemie Odzyskane”. Może osiedlić się i sprowadzić rodziny? W takich wyjazdach jest coś z reklamowej prezentacji. W maju 1946 r. wychodzi nawet zarządzenie, by Państwowy Urząd Repatriacyjny udzielał pomocy „zwiadom chłopskim” z centralnej Polski, przedstawiając im możliwości, jakie niosły ze sobą „Ziemie Odzyskane”, i zachęcając do osadnictwa. (...)

Czym ich kuszone? Przykładowo: na pytanie z PUR, jak wygląda sytuacja na miejscu i kto może znaleźć łatwo pracę, jeszcze 20 lutego 1947 r. zarząd miejski Wałcza informował, że w samym mieście można nadal osiedlić 300 rodzin, choć połowa z nich będzie musiała wyremontować sobie mieszkania. W mieście pozostaje do uruchomienia cegielnia i cementownia, „odczuwa się brak robotników rolnych oraz sił wykwalifikowanych na kierowników

buchalterii”. Urząd z ochotą posługuje się także pojęciem „chłtonności”, sugerując nie tylko, że miejsca jest pod dostatkiem, ale że i szybko można się z nim oswoić, wsiąknąć w nowy krajobraz i zacząć żyć. W przypadku Wałcza i okolic, w sprawozdaniu o rok wcześniejszym niż to powyżej, „chłtonność” obliczano na 183 obiekty i 900 osób na wsi, a w miastach 50 obiektów i raptem 800 osób. Jak widać, sposoby liczenia były różne w zależności od tego, kto i po co pytał. Kogo zachęcano?

Chociażby ludzi z województwa krakowskiego, które według początkowych planów miało zasiedlać powiat wałecki. Z tego samego powodu Ilona, pisząc o Koszalinie, wspominała, że przyjeżdżało się tam przeważnie z Gniezna. Gnieźno sprawować bowiem miało „patronat” nad Koszalinem, nad Wałczem zaś Szamotuły. Zakładano, że jeżeli osadnicy przyjadą grupami z tych samych miejscowości, ułatwi im to asymilację na miejscu.

Bronisław ze swoimi łączykanami dojeżdża w końcu do Wałcza, ich podróż trwa dłużej niż jeden sun plakatowego osadnika. (...) Pierwsze kroki – zanim ruszą do starostwa – skierują do wałeckiego PUR na ulicy

Południowej 10a. Zostają serdecznie powitani, twierdzi Bronisław. Miejscy urzędnicy raportują inaczej. Przybyli mają usłyszeć: „Po cholere żęście tu przyjechali, mogliście przybyć w kwietniu”. Osadnicy przyjechali ich zdaniem za późno. Przestrzeń okazuje się nie taka znowu „chłtonna”. W urzędzie „podczas rejestracji” łączykanie po raz kolejny wyrażają chęć osiedlenia się wszyscy razem w jednej wsi, w Trzebinie, wówczas samodzielnej gminie nieopodal Człopy, w powiecie wałeckim. Bronisław nie opowiada tej historii dalej. (...)

Jednego z letnich popołudni 2022 r. proszę babcię Sabinę – babcię mojego męża – żeby opowiedziała mi o swojej szkole podstawowej w Biesiekierzu pod Koszalinem, do której poszła we wrześniu 1946 r. Babcia przyjechała z Łódzkiego. Szkołą organizowała para nauczycieli z Wileńszczyzny, Józef i Maria Kłyszejkowie. W 2013 r. postawiono im lokalnymi siłami nowy nagrobek. Swoich nauczycieli Babcia wspomina chętnie. Nadal imponują jej ich wiedza, elegancja, sposób zachowania. Pytam ją o uczniów i uczennice. Czy wszyscy mówili po polsku? Widzę, że to pytanie na początku ją trochę dziwi i trochę śmieszy. Odpowiada, że tak, oczywiście, wszyscy mówili po polsku. Potem milknie na chwilę, zastanawia się i odpowiada jeszcze raz, że jednak nie wszyscy. Sprawdzam zapiski z tej rozmowy w dzienniku terenowym, kiedy na ślad podobnego wspomnienia natrafiam w jednym z pamiętników. Ryszard, który do Drawskiej przyjechał z Krzemieńca w dzisiejszej Ukrainie, wspominał: „Zaciągaliśmy po staremu, śmieszyło to żywcoków, centralniaków i tych z miasta Łodzi”. Równocześnie jego śmieszy to „z miasta”: „Każdy łodziakin dodawał »z miasta« kiedy tu przybył”, zapamiętał.

To, że ludzie mówią po swojemu, nie wszystkim się podoba. W końcu trudno stworzyć jednolity naród na „odzyskanych” terenach, jeśli nie wszyscy posługują się tą samą polszczyzną. Między uczniami liceum, do którego chodził Ryszard, niesie się więc plotka, że „z góry» nadeszło rozporządzenie, aby nas zabużaćców

KSIAŻKI

Robert Peckham

Strach

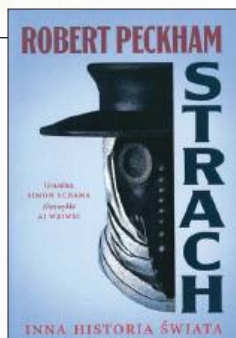
Inna historia świata

tłum. Aleksandra Ożarowska

Znak Horyzont, Kraków 2024

Strach pierwotnie miał utrzymać nas przy życiu. Dziś to nieodłączny element naszej codzienności – boimy się Boga, głodu, wojny, chorób i innych ludzi. I to właśnie inni ludzie, którzy potrafią wykorzystywać strach jako narzędzie władzy i manipulacji, często okazują się najbardziej przerażający. Autor śledzi historię strachu od czasów czarnej śmierci, poprzez wojny i prześladowania religijne, rewolucję francuską, totalitaryzmy XX w., aż po paranoję zimnej wojny, pandemię AIDS, krachy finansowe i lęki związane z rozwojem sztucznej inteligencji. Pokazuje, że strach potrafi nas również łączyć i wiele razy okazał się niezbędny, aby zmienić świat. Od początku istnienia cywilizacji kształtuje naszą historię i jest siłą pchającą ludzkość zarówno nad przepaść rozpacz, jak i na szczyty heroizmu. To prawda, że strach jest czynnikiem, który może wymusić zmiany, co wykorzystuje władza, ale błędem jest, że dzisiejsza wolność została wywalczona przez usunięcie lęku z życia politycznego. Promowany przez państwa strach odgrywał kluczową rolę nie tylko w triumfie współczesnej wolności, lecz także w powstaniu gospodarczego ładu, na którym została ona zbudowana.

(es)



(lub zabużaków) na specjalnych kursach uczyć polskiej mowy”. Ryszard kpi z tego, wskazuje, że kresowa polszczyzna brzmi bardziej polsko niż to, co można usłyszeć od centralniaków: „Który z nich potrafi powiedzieć: ławka, tyżwa? Żaden. Wychodzi im to jakoś tak: uawka, używa”. Zwraca uwagę na ubezdźwięcznione „h”: „Handel i Henryk to znów: Chandel i Chenryk”. Nie widzi mu się też sposób mówienia warszawiaków: „Piontkie, hużdawkie, jadziem, temcaszem to w ogóle i słuchać hadko”. Ale i w kresowej polszczyźnie widzi pewne wady: „(...) mieliśmy swoje grzechy językowe. A może zbyt daleko posuniętą oszczędność w wymawianiu. U nas mówiło się: ja był.

W 1947 r. skład ludności „Ziem Odzyskanych” wyglądał tak: niemal 22% autochtoni, ponad 36% „repatrianci” i prawie 42% przesiedleńcy. Ci „repatrianci” to właśnie „zabużanie”, „zabugowcy”, czy nawet „zabugole”. Tak będzie się o nich mówiło jeszcze długo. Nawet o tych z Wileńszczyzny, którzy wcale nie jechali do nowej Polski przez Bug. Choć przyjeżdżali ze wschodu, te wschody były również inne: inne były doświadczenia osadniczek i osadników z Grodzieńszczyzny, inne tych z Wołynia czy znad Niemna. W upokorzeniu zrównała ich podróż na zachód i późniejsze postrzeganie na „Ziemiach Odzyskanych”. Choć prasa dowartościowywała ich jako

domu. Zamiast odczytać to jako tęsknotę za tym, co znane, próbę oswojenia nowej przestrzeni i zagospodarowania się w niej tak, jak się umie, scena ta zostaje włączona do repertuaru wyśmiewania Kresowiaków jako gorszych, zacofanych, nieumiejących sobie poradzić. Razem z licznymi, powtarzanymi przy każdej okazji historiami o nierozpoznawaniu maszyn, niszczeniu sprzętów, wstawianiu w płoty kawałków ram od obrazów, będzie się ją przytaczać do dzisiaj. I to mimo tego, że w wielu miejscach te naprawy ad hoc wynikały nie z niewiedzy, ale konieczności. „Repatrianci” często docierali już do wyszabrowanych wcześniej miejscowości i tak ci „ludzie zachodu” musieli sobie radzić.

Ale w formujących się społecznościach osadniczych to, że ktoś odczuwał krzywdę, nie znaczyło, że będzie współczuł innym, którzy też ją czują. Konflikty wybuchają więc na linii autochtoni – „repatrianci”. „Repatriant – mówił rdzenny mieszkaniec Opolszczyzny – nie bierze się za uczciwą robotę. (...) Jak idzie do roboty, to chce na lekką pracę, choć na niej się nie zna”. Ale nie wszyscy podzielali ten pogląd. 40-latek spod Stanisławowa, który osiedlił się na Opolszczyźnie, zwracał uwagę, że „autochtoni do repatriantów odnoszą się lepiej niż do osadników lub emigrantów z Francji, bo wiedzą, że my tu nie przyjechaliśmy dla przyjemności, lecz musieliśmy tu przyjechać”. Ale to tylko fragment tego obrazu. Bo zaraz pada kolejne zdanie: „Jednak ja im nie wierzę. Trochę czuję się wśród nich jak wśród Ukraińców. Jest tu inaczej, tylko że człowiek nie boi się, że go zamordują”. Autochtoni wydają się obcy. Samo słowo brzmi dziwnie, jakby byli wyznawcami ekscentrycznej religii, o której się wcześniej nie słyszało. Z kolei Kresowiaków, zwłaszcza tych z dzisiejszej Ukrainy, inne grupy osadników często traktowały podejrzliwie. (...)

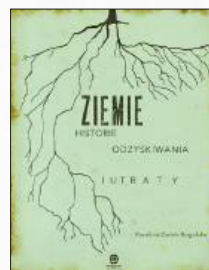
W formujących się społecznościach osadniczych to, że ktoś odczuwał krzywdę, nie znaczyło, że będzie współczuł innym, którzy też ją czują. Konflikty wybuchają więc na linii autochtoni – „repatrianci”.

Ja chodził. Ja widział”. Jest w stanie się zgodzić, „żeby dodawać to »em«, niech będzie. Nam to nie przeszkadza. Ale jest odgórny przykaz, więc chodzimy i czekamy aż to się skończy”. Ale coś nie chce się skończyć.

Cokolwiek by mówić o ich polszczyźnie, „repatrianci z Buga” są „podstawowym czynnikiem” w osadnictwie. Bo „została odcięta droga, przez co zagospodarowują się b. dobrze”, pisano w latach 40. Oznacza to tyle, że nie mają dokąd wracać. Nie mają więc też wyboru, po prostu muszą tu zostać. Nie wszyscy się z tego powodu cieszą. Część wybrała przecież mieszkania blisko dworców, żeby móc wyjechać, gdy tylko granica z powrotem się przesunie. Część, zwłaszcza ci starsi, pozostanie „nierozpakowana” – trochę metaforycznie, a trochę faktycznie. Ale granica wcale się już nie przesuwająca, poza drobnymi zmianami – ta na wschodzie w 1951 r. zostanie skorygowana, do Polski trafi region Ustrzyk Dolnych, do ZSRR kawałek powojennej Lubelszczyzny. Ale to nie takiej zmiany granic się wygląda, więc i te mieszkania koło dworców, i te nierozpakowane walizki nie zdadzą się na nic.

„gotowy model człowieka zachodniego”, który nie szabruje i nie szuka korzyści, ale faktycznie chce zagospodarować się w nowym miejscu, to często spotykały ich także przykrości. „Podczas wszelkiego rodzaju oficjalnych okazji – zapamiętał Ryszard – powiatowy sekretarz PPR (...) nieodmiennie zwracał się do audytorium: Towarzysze i towarzyszki. Obywatele i obywatelki. I WY, LUDZIE ZZA BUGA”. Wystukane na maszynie zdanie kończy się ciągiem wielkich liter.

O przesiedlonych z „Ziem Zabranych” pisze się, że wymagają więcej opieki „społecznej jak sanitarnej, kulturalnej i pomocy fachowej (...)”. To opinia z powiatu pyrzyckiego, wysłana do Ministerstwa Ziem Odzyskanych. „Jest wśród nich trochę analfabetów, ale i ci, co nie są analfabetami, są ciemni. To usłyszysz Stefan Nowakowski na Opolszczyźnie. Do rangi symbolu urośnie scena z „Samych swoich”, w której Pawlakowie, zabużańscy „repatrianci”, usuwają elegancką kuchenkę, żeby zbudować piec z zapiekiem, jak w dawnym



Fragmenty książki Karoliny Ćwiek-Rogalskiej *Ziemia. Historia odzyskiwania i utraty*, Wydawnictwo RN, Warszawa 2024

Jestem z Ateneum

Nie ma małych ról.
Z najmniejszego zadania
można coś zrobić

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Kiedy ponad 15 lat temu przychodził pan do warszawskiego Ateneum z dalekiej Legnicy, nie było łatwo. Dzisiaj przy kasie teatralnej znajdują pocztówki z podobiznami aktorów, a pierwsza to ta z pańskim wizerunkiem.

– Bo na literę B.

Owszem, ale napis nad zdjęciem głosi: „Jestem z Ateneum”. 15 lat temu chyba nie mógłby pan tego powiedzieć?

– Aklimatyzacja trochę trwała. Teatr Modrzejewskiej i Teatr Ateneum dzieli nie tylko odległość, ale i model uprawianego teatru, rodzaj publiczności. W Legnicy ludzie przychodzili, żeby o czymś posłuchać, pomyśleć, tu najczęściej przychodziło się na aktorów.

Taka tradycja.

– Taka tradycja. Nie mówię, że cała publiczność, ale większość przychodziła na swoich ulubieńców.

Jak pan przeszedł tę zmianę?

– Jak koklusz.

Myślałem, że jak grypę.

– Kiedy znalazłem się w Warszawie, okazało się, że wszystko wygląda trochę inaczej. W Teatrze Modrzejewskiej zespół był wartością główną, był zwarty, nie było w nim wyraźnej hierarchii. W Warszawie akcenty rozkładały się inaczej i ja z całym szacunkiem zaakceptowałem tę sytuację, tym bardziej że spotkałem tu bohaterów mojej młodości. Zetknięcie się z Piotrem Fronczewskim, Krzysiem Gosztyłą czy z Mańkiem



PRZEMYSŁAW BLUSZCZ

– aktor teatralny i filmowy

Przemysław Bluszczy – (ur. w 1970 r.) w 1996 r. ukończył Wydział Lalkarski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu. Przez wiele sezonów związany z legendarnym zespołem Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy za dyrekcji Jacka Głomba. Od 2009 r. jest aktorem Teatru Ateneum, do którego dołączył na zaproszenie dyrektora Izabelli Cywińskiej.

Opanią, z Marianem Kociniakiem było silnym przeżyciem. Choć kiedy przyszedłem, Marian Kociniak był w konflikcie z ówczesną dyrektorką Izą Cywińską, ale graliśmy razem w Teatrze na Woli w „Siostrach przytulankach” Marka Modzelewskiego (2009).

Zmienił pan skórę?

– To był poważny przeskok, polegający trochę na poczuciu, że w tej nowej dla mnie rzeczywistości tracę dużo czasu. W Legnicy pojawiał się jakiś cel, wszyscy grali do jednej bramki, a tu wszystko działało się wolniej, gdzieś rozchodziło, trwały konsultacje, debaty, że można by tak, a można by inaczej. Nawet jeśli się przynosiło dobry projekt – a mówię nie o samym Ateneum, ale w ogóle o Warszawie, i nie tylko o swoim doświadczeniu, ale także mojej bytowej żony – wcale nie było oczywiste,

że ten dobry projekt się zrealizuje. Nawet jeśli na nim skorzystaliby wszyscy uczestnicy. Wymagało to ode mnie trochę czasu, aby tę nową rzeczywistość zaakceptować. Ale zawsze uważałem, że w aktorstwie ważna jest pokora. Iza Cywińska chciała zrobić rewolucję w miejscu, które na rewolucję nie było gotowe. Trzymałem kciuki za jej niektóre wybory. Na przykład „Szarańcza” Biljany Sribljanović (2008) była dla mnie bardzo ważną propozycją.

W sugestywnym spektaklu Natalii Softysik nie padło ani jedno słowo o polityce, ale tło moralnej degrengolady było oczywiste – dawne wzmówienia realnego socjalizmu zostały zastąpione nowymi, a te nowe odwoływały się do mitu wielkiego zarcia.

– Ale publiczność nie była przygotowana, żeby zobaczyć Jurka Kamasę, który gra staruszką z demencją i pluje jedzeniem. To było estetyczne przekroczenie. Chociaż okresu tych poszukiwań nie zwieńczył sukces, należał on do bardzo twórczych. Także moja pierwsza sztuka, „Mia-sto” Jewgienija Griszkowca (2009), była trochę inna od standardowych wówczas realizacji. To była zmiana języka.

Spektakl przyjęto jednak z dużym chłodem, a graną przez pana postać obwąchiwano, pytając, kto to jest ten Bluszcz. Lata minęły i dzisiaj, proszę, produkujemy pocztówki z fotosiem Bluszcza. Wrócił pan w Ateneum i znalazł swoją ścieżkę. Myślę nie tylko o rolach głównych, ale nawet o drobiazgach, np. o Kocie z Cheshire z „Alicji w Krainie Snów” (2022), z jego niepokojącym uśmiechem. Nie ma nieważnych ról.

– Właśnie, dla mnie to zawsze było bardzo istotne. Tego się nauczyłem w Legnicy: nie ma małych ról. Czasami słyszę o kolegach, którzy się wyklócają o więcej tekstu (nie mówię o naszym teatrze), to dla mnie żenujące.

Popracowaliby z Jerzym Grzegorzewskim.

– Z najmniejszego zadania można coś zrobić. Aktor to zawód usługowy. Jesteśmy po to, żeby dać ludziom do myślenia, żeby uruchomić emocje. Ważne spotkania nie odbywają

się codziennie, ale się zdarzają. Miałem szczęście w Ateneum grać takie spektakle, że nagle stawały się czymś bardzo ważnym, czymś więcej niż tylko spektaklem. Czułem to już w „Mieście”. Nagle tekst, który opowiada o kryzysie wieku średniego, okazywał się tekstem dla mężczyzn z widowni, którzy się w nim odbijają, znajdują. Wiele ciekawych rozmów odbyłem po tym spektaklu. To samo zdarzało mi się po „Trans-Atlantyku” Witolda Gombrowicza (2018, reż. Artur Tyszkiewicz), który prowokował poważną rozmowę o Polsce, o patriotyzmie. A wisienką na tym torcie jest „To wiem na pewno” Andrew Bovella (2022, reż. Iwona Kempa).

To pana ważne spotkanie na scenie z Agatą Kuleszą. Wcześniej była to „Mary Stuart”, w której wystąpił pan jako kat – szafarz losu, a w tym spektaklu... tatuś, niby ciepły, ale rozdygotany wewnątrz.

– Rozdarty. Iwone Kempie udało się odnaleźć w nas niezwykłą czułość i okazać cierpliwość do aktorów. Jej styl pracy nie ma nic wspólnego

to długo, w różnych miejscach, także w Mazowieckim Instytucie Kultury na Elektoralnej, z którym akurat wtedy współpracowałem, i tam się wtedy mijaliśmy. Jacek wciąż zachęcał, żebym przeczytał ten tekst. Długo się do tego zabierałem, ale Jacek był cierpliwy i w końcu się doczekał. Przeczytałem i pomyślałem sobie, że to może być o tym, co sam przeżyłem w latach edukacji szkolnej, czego nie wspominam najlepiej.

Czuł się pan maltretowany?

– Przez opresyjny system, tak bym to oględnie określił. Z drugiej strony pomyślałem sobie, jak bardzo zmieniła się rola nauczyciela w porównaniu z czasami, kiedy ten monodram powstał. Tekst okazał się bardzo aktualny. Znam paru nauczycieli i wiem, jaki to jest dla nich slalom gigant. Nie tylko z uczniami, ale i z władzami szkolnymi, z kuratorium, z tymi wszystkimi oczekiwaniami wobec ich pracy. Dawniej, jak pamiętam, nauczyciel był dla mnie, albo i nie był, autorytetem. Teraz, żeby zostać autorytetem, nie wiem jaką pracę

Aktor to zawód usługowy. Jesteśmy po to, żeby dać ludziom do myślenia, żeby uruchomić emocje.

z przemocowością, pracuje się z nią w ciągłym dialogu. Rozmawiamy dużo o emocjach, o swoich odczuciach, doświadczeniach – to wszystko pracuje i w rezultacie powstaje spektakl, w którym ludzie się przeglądają i przeżywają to wspólnie z nami.

Widać, że nieźle czuje się pan w tej swojej przystani, w Ateneum. Ale jest coś takiego, co zawsze budzi pewne podejrzenie: aktorzy sięgają do monodramu, teatru jednego aktora, zazwyczaj wtedy, kiedy im za ciasno, kiedy brakuje im własnej przestrzeni. Rozmawiamy tydzień po premierze „Belfra!”. Podobno z tym tekstem nosiliście się z reżyserem Jackiem Bończykiem kilka lat.

– Kiedy pracowaliśmy nad spektaklem „Misja: Młynarski” (2021), Jacek zachęcił mnie do lektury „Belfra!”. Pytał, czy widziałem go grającego przez Pszonika. A ja nie widziałem, mimo że kilka razy byłem o krok od obejrzenia. Pszonik grał

trzeba by wykonać albo jaką mieć charyzmę. Powiedziałem Jackowi, że tekst jest fajny, a Jacek na to: „To co, może go zrobimy?”. I poszedł do dyrektora Artura Tyszkiewicza zapytać, czy byłby taką realizacją zainteresowany. I tak doszło do pracy nad „Belfrem!”. Ponieważ nie widziałem w tym monodramie Wojtka Pszonika, byłem w dobrej sytuacji.

Nie można mówić o żadnej próbie nawiązania.

– Nie można. Jacek widział monodram Pszonika, ale miał swój pomysł na ten tekst. Chciał, żeby to był bardzo żywy, zróżnicowany formalnie i dotkliwy spektakl, żeby nie był zwykłą opowieścią o ludzkim doświadczeniu, tylko opowieścią o strukturze, o władzy, o konsekwencjach władzy, o kosztach, jakie się ponosi, o tym, co się dzieje, jak się dojdzie do ściany. A do tego chciał wydobyć obecny w tym tekście motyw teatru w teatrze.

► **Do końca nie wiadomo, czy to jest relacja uczestnika wydarzeń, czy jedynie teatralna kreacja.**

– Ta klamra jest bardzo pociągająca. Koledzy z techniki po próbie generalnej sprawdzali w sieci, czy takie zdarzenie, o którym „Belfer!” opowiada, zamach nauczyciela strzelającego do uczniów, miało kiedykolwiek miejsce. Okazuje się, że nie było takiego wypadku. Jeśli na całym świecie nic takiego się nie wydarzyło, jest to godne zastanowienia.



Wyobrażenia widać wystarcza, aby odreagować stres.

– Obserwuję duże zainteresowanie nauczycieli tym monodramem. Ktoś nawet zażartował, że powstał branżowy spektakl dla nauczycieli.

Ateneum jest idealnym miejscem dla tego tekstu: bliskie sąsiedztwo Związku Nauczycielstwa Polskiego, współpraca ze związkiem, wzmocniona otwarciem nowej sceny Ateneum w siedzibie ZNP, także dziesięciolecie obecności nauczycieli na widowni Ateneum to solidny grunt dla „Belfra!”. Trochę pan został nagoniony do tego tekstu, nie był to więc wyraz kontestacji wobec teatru panującego, jak próbowałem sugerować. Zresztą pamiętam, że po premierze pańskiego pierwszego monodramu, „Samospalenia” Krzysztofa Szekalskiego (2013), wyrzekął pan, jaką katorgą jest teatr jednego aktora, i przysięgał, że już nigdy więcej.

– Monodram bywa nie do wytrzymania – powstaje stan na granicy samobójstwa. Może trochę przesadzam, ale kojarzy mi się ze

schematem westernu: jeden przeciwko wszystkim, w samo południe. **Nie wiadomo, kto kogo zastrzeli?**

– Nie wiadomo też, czy w ogóle się spotkamy. Przy „Samospaleniu” miałem kilka takich dziwnych spotkań, kiedy grałem dla młodych ludzi. Oni nie wiedzieli, co z tym zrobić, z niczym im się nie kojarzyło. Te kilka doświadczeń uczy, że trzeba postępować ostrożnie. Przy „Belfrze!” jest o tyle łatwiej, że on od razu wiąże publiczność – teraz popularny jest stand-up, a struktura opowieści

w tym monodramie stand-up przypomina. Dopiero w pracy nad tym tekstem zauważyłem, jak jest sprytnie wymyślony, w czytaniu jeszcze tego wszystkiego nie widziałem. Tekst stał się dla mnie niespodzianką. A jak się okazało, że mogę sobie pograć różne postacie, „popostaciować” sobie, a to aktor zawsze lubi, jeszcze lepiej się w tym tekście odnalazłem. Niektórym to podobno przeszkadza, ale moim zdaniem aktor jest po to, żeby „postaciować”. Trzeba tylko uważać na proporcje, żeby nie przesadzić, żeby to było smaczne.

Mnie się wydaje, że jest to przedstawienie trochę Gombrowiczem podsyte, że bardzo panu przy pracy nad „Belfrem!” pomogła wcześniej przygoda z Gombrowiczem.

– Podejrzewam, że bez mojego doświadczenia z „Trans-Atlantyku” to byłby zupełnie inny spektakl. **Tak jak jest inny od wspomnianego monodramu Pszoniaka, prezentowanego bez mała na „biało”, bez dekoracji, muzyki, światła, jako spotkanie świetlicowe. To był monolog człowieka przegranego,**

złamanego, który odbębnia swoją pokutę. A pański belfer czerpie z tej zabawy przyjemność.

– To jest show.

W dodatku z sytuacjami niesłychanie zabawnymi. Choć wymordowanie połowy klasy maturalnej niekoniecznie jest śmieszne.

– To właśnie dylemat moralny, z którym zмага się aktor, kiedy pyta: przyszłście zobaczyć potwora? Uwierzyliście w to wszystko? Bardzo dobrze to wszystko pracuje. Kiedy patrzę na nauczycieli obecnych na sali, którzy reagują nad podziw żywiołowo, odczuwam prawdziwą satysfakcję. A pedagodzy widzowie też mają swoją satysfakcję, pewnie podobną do autora monodramu, Jeana-Pierre’a Dopagne’a, nauczyciela z zawodu, który swoją potrzebę „odwetu” załatwił przez napisanie tego tekstu. Dopagne przez dziesięć lat uczył francuskiego, zanim „wymordował” w monodramie swoich uczniów. Kiedy widzę, jak na to reagują nauczyciele, czuję, że naprawdę trąciliśmy ważną strunę.

I co dalej? Coś ciekawego się szykuje? W tym roku Ateneum obchodzi 95 lat istnienia, podejrzewam, że chce pan tu dotrwać do stulecia.

– Kto wie, myślę, że tak. Mamy świetny czas, świetny zespół, mamy stabilne prowadzenie teatru, różnorodność propozycji, wracają do nas twórcy, których cenimy, z którymi lubimy pracować – za chwilę czeka nas premiera z Iwoną Kempą, która reżyseruje sztukę „Mój syn chodzi, tylko trochę wolniej”. Gram tam drobniaczko, ale cieszę się, że gram ten drobniaczko.

Świat stoi otworem na nowe pomysły, niejedno się wydarzy, może coś popełnię jako reżyser. Cieszę się, że przychodzi do nas publiczność. Nie ma też czegoś takiego, że po spektaklu każdy biegnie jak najszybciej na parking – spotykamy się, rozmawiamy, przeżywamy. To jest to, co zawsze lubiłem w zespole teatralnym. Nigdy nie ukrywałem, że to moja wspólnota.

Ale nie unika pan innych terenów, takich jak film czy telewizja?

– Tam trudno się zadomowić, raczej tam się bywa, ale bywam nie tak rzadko.

Tomasz Miłkowski

KURTyna W GÓRĘ

Śluby po brytyjsku

Te „Śluby panieńskie” toczą się nie w dworku szlacheckim, ale na brytyjskiej prowincji przełomu lat 60. i 70. Do tego czasu nawiązują kostiumy, wystrój pomieszczeń, trawnik przed domem. Reżyser trzyma się tekstu Fredry, trochę wzmocnionego cytatami ze „Sztuki obławiania”, dopisując kwestie bodaj w dwóch wypadkach. Gucio domaga się w I akcie keczupu (i go dostaje), Albin zaś, natknąwszy się w partii finałowej spektaklu na wchodzącą Klarę, oniemiał w zderzeniu z jego nagłą obojętnością, pyta: „Wchodzisz, wychodzisz?”. Obie kwestie wywołują salwy śmiechu, ale to w zasadzie jedyne momenty, kiedy tekst odbiega od wierszowanego dialogu Fredry.

Brytyjski reżyser Dan Jemmett, od lat pracujący we Francji, a w Teatrze Polskim mający za sobą kilka premier, m.in. Szekspirowską „Burzę”, przeniesieniem akcji komedii w inne czasy nie czyni wielkiej rewolucji. Od dawna postępuje tak większość inscenizatorów Szekspira (on sam też), a i z Fredrą poczynają sobie coraz śmielej, by wspomnieć „Zemstę” w reżyserii Michała Zadary w warszawskiej Komedii. Z premierą zmodernizowanych „Ślubów” zbiega się zresztą wystawienie „Zemsty” przeniesionej na Dzikie Zachód przez Radosława Rychcika w Teatrze Polskim w Bydgoszczy.

Rzecz zatem nie w przeniesieniu akcji, ale w zbudowaniu barwnego obrazu romansowych perypetii smakowicie oddanych postaci – aktorzy z autentycznym zapalem biorą udział



Aleksander Fredro, „Śluby panieńskie”, reżyseria Dan Jemmett, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana w Warszawie, premiera 29 stycznia 2025.



w tej zabawnej przebierance, niekiedy tak głębokiej, że część widzów nie rozpoznaje Sławomira Grzymkowskiego w Radoście, odkrywając przy tej okazji siłę komiczną aktora, do tej pory dość skąpo przezeń używaną.

Czwórka głównych bohaterów dała z siebie niemal wszystko. Maksymilian Rogacki, kojarzony z postaciami elegancko pozapinanymi (no, może poza „Koziołkiem Matolkiem”), zaskakuje tym razem luzacką swobodą, bliskim kontaktem z widownią. Z łobuzerskim uśmiechem podbija serce Aliny, która w wykonaniu Hanny Skargi przemienia się z nieustępliwej feministki w marzycielkę. Klara Katarzyni Lis z zaprzysiężonej przeciwniczki płci męskiej, pokonana sztuczkami Gustawa i Albina, staje się potulną narzeczoną, a świeży nabytek Teatru Polskiego, Wojciech Siwek, jako Albin wyrzeka się płacziwego nadskakiwania ukochanej i resztkami

sił trzyma fason nieczulego a zdradliwego kochanka. Jest jeszcze energiczna pani Dobrójska Ewy Makomaskiej, w której pod maską damy z manierami płoną namietności, i służący Jan zaczytujący się w „świńskich” wierszykach pana Fredry z wypiekami na twarzy. Słowem, doskonała zabawa, która rozkręca się w miarę trwania przedstawienia, aby pod koniec eksplodować kaskadami humoru. Taka konwencja to dla aktorów pewne wyzwanie – muszą mieć się na baczności, aby nie ulec pokusie bycia zbyt śmiesznymi. Ale trzymają się dzielnie.

Tomasz Miłkowski

NA EKRANACH



„3000 metrów nad ziemią”, reż. Mel Gibson, prod. USA, już w kinach

Latający cyrk Mela Gibsona

Czego trzeba, żeby nakręcić trzymający za gardło thriller? Wystarczy mały samolot lecący nad zaśnieżoną Alaską i trójka zwaśnionych bohaterów, z których każdy ma swój cel do zrealizowania. Zadanie agentki Harris polega na eskortowaniu świadka koronnego Winstona na proces przeciwko jego szefowi, bossowi rzezimiechów. Pilotem maszyny jest Daryl (demoniczny Mark Wahlberg). I choć zlecenie wydaje się łatwe, oczywiście szybko się okazuje, że nic nie jest takie, jakie nam się wydaje, a Harris będzie musiała walczyć nie tylko o swoje

życie. Mel Gibson za nic ma prawa grawitacji, fizyki, tak samo jak zasady prawdopodobieństwa. Ale to zupełnie nie szkodzi, bo jego film jest tak napisany i wyreżyserowany, że widz siedzi na krawędzi fotela, gdy logikę zastępuje adrenalina. I choć doskonale wiemy, że oglądamy kompletną bujdę, bo przecież w rzeczywistości już 15 minut po starcie awionetki z postaci zostałaby plama na śniegu, trudno nie ekscytować się tym, co się dzieje na ekranie. To bowiem kino w starym stylu, takie, w którym najważniejsza jest akcja. A tę twórca potrafi podkreślać w każdej z 90 minut projekcji.

Artur Zaborski

Kolumnę przygotowała Agata Gogotkiewicz



ŻEBY NIE JEŹDZIĆ NA PODHALE

Ludzie się dziwią, gdy mówię, że w Bytomiu jest stok narciarski

Anna Wyrwik

– Inicjatywa super! – mówi Andrzej.

– A czemu nie w góry? – pytam.

– Cena – odpowiada Maja.

– W góry jest daleko, a na Zakopanie długo stoi się w korkach.

– Tak, stok w mieście to dobry pomysł. Jest gdzie wyjść w weekend.

Maja i Andrzej przyjechali z Częstochowy. Są tu pierwszy raz. Ona uczy się jeździć na nartach. On uczyć się nie musi, bo jeździ od dziecka, więc ocenia okiem fachowca: – Miejsce bardzo okej. Jest blisko parking, a to duży atut. Zobaczmy, jak będzie się jeździło, bo to najważniejsze. Dla mnie ten stok to może nie za bardzo, bo w górach jest jednak większe nachylenie, ale do nauki warunki są idealne.

Według największego w Europie portalu dla narciarzy Bergfex w Polsce mamy 180 ośrodków narciarskich. Najwięcej w województwie małopolskim – 70. Śląskie zajmuje drugie miejsce z liczbą 37. Następnie są Podkarpackie – 22 i Dolnośląskie – 20. Poza najlepszymi miejscami do jeżdżenia, takimi jak

Białka Tatrzańska, Zieleniec, Czarna Góra czy Szczyrk, są miejsca nieoczywiste. Mamy Stację Narciarską Rybno w województwie podlaskim, koło Łomży, a blisko Mrągowa Górę Czterech Wiatrów – zjeżdżając z niej, można patrzeć na jezioro Czos. Są jeszcze Stacja Narciarska Łysa Góra w Sopocie, Stok Narciarski Parchatka między Lublinem a Radomiem czy ośrodek Kurza Góra Ski & Bike

**Do jeżdżenia na nartach musi być zima,
ale już nie musi być Zakopane.**

Park w Kurzętniku, w województwie warmińsko-mazurskim, gdzie działają trzy trasy narciarskie, w tym najdłuższa, 900-metrowa, oraz wyciągi krzeselkowe.

I mamy Sport Dolinę Bytom.

– Potocznie nazywamy to miejsce Czomolungma od tybetańskiej nazwy Mount Everestu. To taka nasza góra gór. Ośrodek powstał w początkach XXI w., potem upadł i nowi właściciele uratowali go w 2018 r. Pomysł polega na tym, by ludzie z aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej nie musieli jeździć do

Wistły czy na Podhale, ale mogli złapać narciarskiego bakcyła tu, na miejscu – mówi Maciej Kurylas, instruktor narciarstwa.

Maciek ma krótkie, rude włosy, dłuższą bródkę i tony energii. Jest nauczycielem WF. W 2016 r. z żoną Anną założyli Platformę Zdrowia i Aktywności „Rusz Tyłek”. W ramach niej organizują obozy i półkolonie dla dzieci i młodzieży latem

i zimą, a te zimą łączą ze szkołą narciarską.

Od 2019 r. prowadzą ją w Sport Dolinie Bytom.

– Organizujemy zajęcia indywidualne i grupowe – wylicza Maciek.

– W tygodniu prowadzimy też półkolonie i zajęcia dla grup z przedszkoli, szkół i domów dziecka.

Sport Dolina Bytom ma dwie trasy zjazdowe, ta główna z dwoma wyciągami talerzykowymi mierzy 350 m. Można zjeżdżać na nartach, na snowboardzie i na sankach po specjalnie do tego przeznaczonym torze, po sztucznym śniegu.

– W naszej strefie klimatycznej opady śniegu są coraz mniejsze. Dlatego wytwarzamy go za pomocą armatek śnieżnych, dzięki czemu



Sport Dolina Bytom
ma dwie trasy zjazdowe,
ta główna z dwoma wyciągami
talerzykowymi mierzy 350 m.



Potocznie nazywamy to miejsce
Czomolungma. To taka nasza
góra gór – mówi Maciej Kurylas,
instruktor narciarstwa.

zapewniamy narciarzom idealne warunki. Pomaga nam położenie ośrodka w dolinie, bo skutkuje to niższymi temperaturami niż w okolicy – wyjaśnia Maciek.

Sztuczny śnieg od lat jest stosowany w górach na całym świecie, bo nie tylko u nas opady są coraz mniejsze. Posiłkują się nim też właściciele ośrodków narciarskich we francuskich, austriackich czy szwajcarskich Alpach. – Gdy ludzie nie widzą śniegu za oknem, wydaje im się, że go tu nie ma. Pracujemy nad tym, by im pokazać, że niekoniecznie muszą go mieć, by u nas pojeździć na nartach – podkreśla Maciek.

Faktycznie, poza białym stokiem reszta terenu w Sport Dolinie Bytom jest koloru mokrej, pozimowej trawy albo ziemi po odwilży. Ten stok to

miejsce dobre do nauki, ale nie tylko. Maciek zapewnia, że dobry narciarz pojeździ wszędzie, i opowiada o Pucharze 5 Gmin w narciarstwie i snowboardzie, który odbył się tu 25 stycznia. W zawodach wzięło udział prawie 180 osób. Mówi też, że w środy wkręcają tyczki i zapraszają doświadczonych narciarzy do trenowania slalomu i zjazdu.

Coraz więcej ludzi łąpie bakcyła

Maciek w pomarańczowym kombinezonie i kasku wraca na stok. Zabiera na wyciąg kolejną uczennicę, której zaraz będzie tłumaczył, na czym polega jazda pługiem.

Jeździ kilkunastu instruktorów z dziećmi, dziewczyna na snowboardzie, jeden, drugi chłopak, mama

z instruktorem uczy dwóch na oko czterolatków. Jeżdżą narciarze, narciarki, prawa, lewa, prawa, lewa, a z głośników leci beat na tyle uniwersalny, że nada się i do nart, i na szkolną dyskotekę, i na dorosłą sobotnią noc. Na razie jest przedpołudnie, wielu dorosłych czeka na dzieci. Dzierżą kubki z kawą i telefony, którymi kręcą filmiki i robią zdjęcia.

– Pierwszy raz jestem – mówi Jarek, który z dzieckiem przyjechał z południa Śląska, jakieś 40 minut drogi. – Dowiedziałem się od kolegi i faktycznie fajne miejsce. Taka enklawa. I taniej niż w Wiśle. Wiem, że nie tylko w Bytomiu jest taki stok. W wielu innych miastach też: w Sosnowcu czy nawet w Krakowie i Warszawie.

Stok Narciarski Środula, który powstał w Sosnowcu w podobnym okresie jak ten w Bytomiu, dziś akurat nie działa, bo nie ma sztucznego śniegu, a prawdziwy nie spadł. Ale swoje stoki rzeczywiście ma kilka innych miast w Polsce: Poznań, Bydgoszcz, Szczecin, Olsztyn, Trójmiasto...

– Wszystko zaczęło się od Warszawy i Górki Szczęśliwickiej – wyjaśnia Piotr Burda z portalu Narty.pl. – To stok całoroczny, bo jest pokryty ▶

► igelitem, więc latem można jeździć na igelicie polewanym wodą. Takich stoków jest w Polsce dużo. Problemem okazuje się, jak wszędzie w naszym kraju, brak śniegu. Polska jest dość nisko położona. Z gór narciarskich jedynie Kasprowy Wierch dobiega do 2000 m n.p.m., a reszta jest niska. Problem ten dotyczy więc wszystkich stoków, również tych w miastach.

Prócz takich miejsc jak to w Bytomiu jest w Polsce wiele stoków sztucznych, które działają w ten sposób, że narciarz stoi w miejscu, a pod nim przesuwają się specjalne taśmy imitujące zimową trasę. Wciąż nie ma za to w Polsce hali narciarskiej, mimo że – jak mówi Piotr Burda – było już kilka podejść do jej budowy. Na razie nieudanych. W halach narciarze mogą jeździć po zadaszonych stokach pokrytych sztucznym śniegiem przez cały rok. Działają w nich bowiem specjalne maszyny produkujące śnieg nawet przy dodatnich temperaturach. Najbliższa tego typu hala to Snow Arena w litewskich Druskiennikach. Najbardziej znana to Ski Dubai. A w Dubaju na zewnątrz potrafi być przecież i 50 st. C.

– Stoki w miastach to alternatywa dla wyjazdu gdzieś dalej na narty. Jednak to tylko namiastka stoku narciarskiego, ponieważ trasy są krótkie – przyznaje Piotr Burda. – Tego typu miejsca są dobre dla klubów narciarskich, dla osób, które chcą sprawdzić, czy narty w ogóle je zainteresują, oraz dla rodzin z dziećmi. Sam jako narciarz traktuję te stoki jako ciekawostkę dla szkół i dzieciaków. Narciarzy szukających wyzwania to nie zadowolą.

Pewnie są to też miejsca dla tych, którzy na narty mają mało czasu i nie chcą go przeznaczać na stanie w korkach, bo o tym mówią wszyscy, których pytam o plusy stoku w Bytomiu.

– Dobry pomysł ze stokiem w mieście – chwali Paweł, który na snowboardzie jeździ od lat. Ostatnio na Słowacji. Na nartach nie jeździ i dlatego przyjechali z Patrycją, by się uczyć. Na desce Paweł by się tu nudził, ale na naukę miejsce jest idealne. Przyjechali z Zabrze, czyli jakieś 30 minut.

– Szukaliśmy miejsca w pobliżu – tłumaczy Patrycja. – Góry są dalej, poza tym korki zniechęcają.

– Tutaj bardziej się opłaca cenowo – dorzuca Paweł. – Z dojazdem nie ma problemu, parking jest, wyciąg jest, restauracja jest, czego chcieć więcej? I nie ma kolejek!

Parking jest spory, darmowy i o 10 rano stoi tu 40 samochodów, ale przybywa ich z godziny na godzinę.

– Coraz więcej ludzi zaczyna jeździć – Patrycja mówi, że zauważa w ostatnich latach modę na sporty zimowe.

– Pokolenie, które samo w dzieciństwie nie jeździło na nartach, bo rodziców to nie interesowało albo nie było stać, w dorosłym życiu już jeździ i ciągnie tu swoje dzieci – dopowiada Paweł.

Z wielu badań i raportów wynika, że sporty zimowe są w Polsce coraz popularniejsze. Rządzą narty. Polski Związek Narciarski cytuje badanie IBRiS przeprowadzone dla Polskich Kolei Linowych, według którego 29% Polaków potrafi jeździć na nartach, a 8% na snowboardzie.

Tutaj cenowo bardziej się opłaca. Z dojazdem nie ma problemu, parking jest, wyciąg jest, restauracja jest, czego chcieć więcej?

4 mln Polaków deklaruje, że w sezonie przynajmniej raz jedzie na narty. Zgadza się to z badaniem przeprowadzonym dla firmy Compensa, którego wyniki w styczniu podała Polska Agencja Prasowa. W tym roku wyjazd na ferie zimowe planuje 53% Polaków. Co trzeci z tej grupy zamierza jeździć na nartach.

Ktoś to dobrze wymyślił

W budynku narciarze wypożyczają sprzęt. Za stołem siedzi kasjerka, dalej chłopaki krzątają się między stojakami z nartami i półkami z butami. Ludzie się przebierają, ojciec zakłada synkowi niebieski kask.

– Niestety, wciąż są osoby, które jeżdżą bez kasku – przyznaje Maciej Kurylas. – Ustawa o bezpieczeństwie i ratownictwie w górach i na zorganizowanych terenach narciarskich

z dnia 18 sierpnia 2011 r. mówi jasno: „Osoba uprawiająca narciarstwo zjazdowe lub snowboarding na zorganizowanym terenie narciarskim, do ukończenia 16. roku życia, obowiązana jest używać w czasie jazdy kasku ochronnego konstrukcyjnie do tego przeznaczonego”. Nie ma nic na temat osób dorosłych. Według mnie to błąd. Staramy się zwracać na to szczególną uwagę i w wypożyczalni sprzętu oferujemy również kaski.

Maciek opowiada przy okazji o narciarzach ekwipunekowo nieprzygotowanych. – Jak widzę kogoś w dzinsach, uśmiecham się i mówię: „Wszystkiego dobrego!”. Krzywdą mu się nie stanie, ale to niewygodne.

Opisuje też ludzi, którzy z narciarstwem nie mają nic wspólnego i dopiero się uczą. – Wpinają narty w wypożyczalni i idą w nich z budynku na stok. Czasem zakładają kask odwrotnie i pokrętem regulującym kręcą na czole, a nie z tyłu. Bywa, że wpinają narty dziobami do tyłu – wylicza. – Różne są historie, ale my, instruktorzy, jesteśmy od tego, by pomóc,

a w przypadku osób biorących lekcje sprawdzać, czy sprzęt jest poprawnie założony.

Rodzice czekają, narciarze zjeżdżają, dziewczyna trenująca na snowboardzie upada, a para w dzinsach spaceruje z brązowym szpicem. Wszystkiemu przyglądają się dwie bytomianki mieszkające w okolicy.

– Ludzie się dziwią, gdy mówię, że w Bytomiu jest stok narciarski – słyszę od jednej. – Nawet gdy pokazuję zdjęcia i stronę internetową, trudno im uwierzyć. Ktoś to dobrze wymyślił.

– To nasza baza wypadowa na spacer – mówi druga. – Przychodzimy, bo tu są „Dolomity”.

Tak nazywane jest to miejsce w Bytomiu, co wzięło się od kopalni odkrywkowej dolomitu Blachówka, która tu, w Bytomiu-Suchej Górze, działała od XIX w. Górnicy



W budynku można wypożyczyć narty, buty i kaski.

wydobywali w niej rudę żelaza i niewielkie ilości dolomitu, a z czasem głównie dolomit.

– Bardzo fajne miejsce – zachwala mieszkanka. – Przyjeżdża tu dużo ludzi, również spoza Bytomia. Jest czynne przez cały rok. Można spacerować, jeździć na nartach, na rowery, jest dobra restauracja.

Odkłamujemy Bytom

Idę do restauracji Pod Progiem. Wokół drzwi wiszą dmuchane serca przygotowane pewnie na 14 lutego, na tle których mieszkanki robiły sobie przed chwilą zdjęcie.

– Dla narciarzy mamy grzane piwo, grzane wino, herbaty zimowe – wymienia menedżerka restauracji Natalia Żuławińska. – Wiele osób pije gorącą czekoladę, by się rozgrzać. Jeśli chodzi o dania, kartę zmieniamy sezonowo i mamy w niej nowoczesną kuchnię śląską.

Do Pod Progiem przychodzą głównie rodzice z dziećmi. Zjeść tu można cały rok, a poza tym można zorganizować przyjęcie, komunię, wesele itd. Jest 15 stolików w sali restauracyjnej i są trzy sale na przyjęcia, a do tego tarasy z widokiem na rezerwat przyrody Segiet. Powstał w latach 50. XX w., ma ponad 90 ha i leży na granicy Bytomia i Tarnowskich Gór, w szczytowych partiach Srebrnej Góry. Wraz z sąsiadującymi z nim kamieniołomami i sztolniami jako jedyny obiekt w województwie

śląskim został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Od wschodu graniczy ze wspomnianą kopalnią dolomitu.

– Czasem dziwi mnie, z jak daleka ludzie do nas przyjeżdżają – mówi Natalia. – Nie tylko z Polski, ale i z zagranicy.

Słyszę akurat język francuski, więc podchodzę do mężczyzny z dzieckiem i pytam o narty.

– Gdy dowiedziałem się, że na Śląsku jest coś takiego, powiedziałem: „Wow!” – opowiada Alexandre, który pochodzi z Francji, a w Bytomiu mieszka od 12 lat. – Od trzech lat tu przyjeżdżamy, ze dwa, trzy razy w roku. Beskidy są fajne, ale nie zawsze jest czas, by tam pojechać.

Ostatnio do Bytomia przeprowadza się wiele osób, i to nie tylko ze Śląska, ale i z innych rejonów Polski, a także, jak widać, Europy. Miasto z przemysłowego i zajmującego wysokie pozycje na listach najbrzydszych zmienia się w zielone i z inicjatywą. Bytomski Teatr Tańca i Ruchu Rozbark w dawnej zabytkowej cehowni Kopalni Węgla Kamiennego Rozbark, największa zewnętrzna sportowa ścianka wspinaczkowa w Polsce w Centrum Sportów Wspinaczkowych i Siłowych Skarpa Bytom, Opera Śląska, Muzeum Górnośląskie, galerie sztuki, zakłady rzemieślnicze, handmade pamiątki, jak w sklepie Lokalny Patriot, czy wyjątkowa kawa i warsztaty z jej parzenia, jak w kawiarni Bytom Zdrój.

Dzieje się dużo. Do tego mieszkania są tanie, a dziś to podstawa.

– Jako małe dziecko i nastolatka nigdy nie sądziłam, że Bytom będzie się tak zmieniać – cieszy się Natalia, która jest stąd. – Od kilku lat dzieją się te wszystkie fajne rzeczy i myślę, że to bardzo dobry kierunek. Bytom to duże i piękne miasto z potencjałem.

Podobnie mówi Maciek, według którego miasto wykorzystuje swoją szansę. – Dzięki kolejnym projektom odkłamujemy Bytom, który dotąd kojarzony był z górnictwem, familokami, brudem i syfem. Każdy, kto dziś tu przyjeżdża, jest zaskoczony, bo miał zupełnie inny jego obraz.

Piotr Burda podkreśla zaś, że stok narciarski to nie jest żadna nowa moda. – Kiedyś na Śląsku było zdecydowanie więcej stoków. W samych Katowicach mieliśmy kilka wyciągów talerzowych, na których można było jeździć na trasach po 150-200 m. Niektóre powstały w okresie PRL przy zakładach pracy. Potem, jak większość tego typu inwestycji, same się nie utrzymały.

Mimo to nie wszyscy bytomianie wiedzą, że mają w mieście stok narciarski. Natalia śmieje się, że wielu jest w szoku, gdy mówi im, gdzie pracuje. Maciek też często spotyka się z niedowierzaniem. I stara się, aby ludzie się dowiedzieli. – Kiedyś bym nie przypuszczał, że będzie można jeździć na nartach w Bytomiu. Do jeżdżenia na nartach musi być zima, ale już nie musi być Zakopane.

Anna Wyrwik

**ZAPŁAĆ RAZ
I CZYTAJ
PRZEGLĄD
PRZEZ ROK!**

- INNY PUNKT WIDZENIA
- WYJĄTKOWY
- NIEZALEŻNY
- NAJLEPSI AUTORZY

**Wybierz E-PRENUMERATĘ
lub dostęp do ARCHIWUM**

Zakup dostęp do naszego ARCHIWUM

Znajdziesz w nim wszystko od początku istnienia PRZEGLĄDU

Pełna oferta na tygodnikprzeglad.pl zakładka ARCHIWUM

Otrzymasz dostęp do bieżącego i archiwalnych numerów

Kup roczną e-prenumeratę PRZEGLĄDU na sklep.tygodnikprzeglad.pl

- Nowy numer już w każdą sobotę
- E-book „Nowa Huta – wyjście z raju” **GRATIS**
- Dostęp do wykupionych numerów nawet po wygaśnięciu prenumeraty
- Możliwość opcji **KUP NA PREZENT**



JACEK PAŁKIEWICZ

Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych
w odległych regionach

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY



1

JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator,
autor licznych książek,
odkrywca źródła Amazonki;
www.palkiewicz.com



AMAZONKA I AMAZONIA

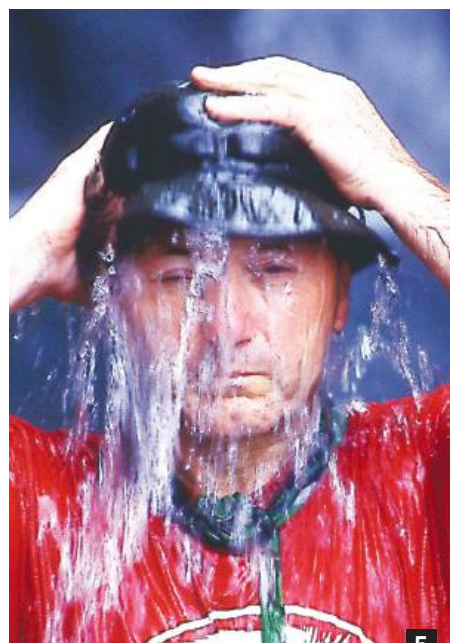
Nauka bywa hermetyczna wobec odkryć. Każda nowa prawda naukowa wprowadza zamieszanie w ułożonym, okopanym zwykle na ortodoksyjnych pozycjach świecie wiedzy. Potrzeba było 15 lat, aby odkrycie źródła Amazonki ugruntowało się w powszechnej świadomości i stało uznanym kanonem. W 2011 r. Peruwiańskie Towarzystwo Geograficzne zaakceptowało kompleksowe badania międzynarodowego zespołu, którym miałem przyjemność kierować. Dowodzi tego obelisk na górze Quehuisha w peruwiańskich Andach, skąd wypływa strumień Apacheta, źródłowy odcinek królowej rzek.

A Amazonia? Jest tak ogromna, że jakichkolwiek użyłoby się słów zachwytu, zawsze będą usprawiedliwione i nigdy nie będzie w nich przesady. Sama jej nazwa fascynuje. Trudne do przebycia *inferno verde*, zielone piekło, pierwotne plemiona indiańskie oraz legendy, które wyrosły w umysłach pierwszych śmiałych podróżników, są prześięknięte fantazją i tajemniczością. I zdolne uwieść każdego współczesnego eksploratora.





4



5



8

1. Meandrująca Amazonka
2. Pirania
3. Wiktoria królewska
4. Harce maluchów
5. Chwila orzeźwienia
6. W objęciach anakondy
7. Tablica u źródła Amazonki
8. Zaczyna Pucallpa
9. Nielegalny wyręb lasu
10. Trasa Transamazônica
11. Latynoska wyprawa do źródła, 2014 r.

ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORA



10



11



Szalony świat japońskiego Tindera

Systemem zwrotów grzecznościowych *keigo* to jeden z najtrudniejszych do opanowania aspektów języka. Przyznają to sami Japończycy

Vanessa Montalbano

Po założeniu profilu w aplikacji randkowej zaczęłam swiwać (przesuwać zdjęcia w aplikacji na telefonie): w lewo na nie, a w prawo, sygnalizując zainteresowanie. Wzajemne polubienie oznacza dopasowanie. Ponieważ wciąż nie potrafiłam odszyfrować *kanji* (pismo japońskie składa się z trzech rodzajów znaków, w tym *kanji*, czyli pochodzących z Chin ideogramów o zmiennej wymowie), posługiwałam się tłumaczem i udzielałam odpowiedzi w podstawowym japońskim. Szybko zauważyłam totalny brak poczucia humoru i błyskotliwych ripost. Większość wiadomości niewiele się od siebie różniła, były formalne, uprzejme, szablonowe. Podobnie jak w przypadku innych aspektów japońskiego społeczeństwa, również podryw podlegał określonym zasadom.

Powoli zaznajamiałam się z systemem zwrotów grzecznościowych *keigo*. Jest to jeden z najtrudniejszych do opanowania aspektów

języka. Przyznają to sami Japończycy i nawet dla nich *keigo* stanowi spore wyzwanie. Wyróżnia się trzy stopnie formalności: *teineigo*, czyli podstawowe formy grzecznościowe, *sonkeigo* do wyrażania szacunku i *kenjōgo*, którego używamy, by mówić o sobie w duchu pokory. Od najmłodszych lat Japończycy przyswajają koncepcję *senpai*, osoby starszej, która świeci przykładem, oraz *kōhai*, osoby młodszej, mniej doświadczonej, która podąża za mentorem. W zależności od relacji z rozmówcą i okoliczności żonglują odpowiednimi zwrotami.

Na Tinderze większość wiadomości jest pisana w *keigo*. Moja japońska przyjaciółka Seina zabroniła mi odpowiadać mężczyznom, którzy nie podjęli tego wysiłku. Czy używanie zwrotów grzecznościowych naprawdę było gwarancją poważnych zamiarów? Szczerze w to wątpiłam. *Keigo*, w porządku, ale do którego momentu? Zwykle szybko pytałam mężczyzn, czy możemy przyjąć bardziej nieformalny ton, który lepiej opanowałam. *Keigo* narzuca dystans,

który wcale nie pomaga w budowaniu bliskiej relacji. Seina wyjaśniła, że często porzucano formalny język po pierwszych randkach, a dokładnie po *kokuhaku*, czyli deklaracji wyznaczającej oficjalny początek związku. Czasami pary tkwiły w fazie *keigo* przez długie miesiące. (...)

Na Tinderze obowiązuje żargon, którego nie znajdziesz w podręcznikach. Odkrywałam także złożoność międzyludzkich relacji, którymi w Japonii rządzi rygorystyczny system oparty na hierarchii. Poznawałam różne sposoby wyrażania miłości. Mężczyzn i złożone, zmienne postrzeganie męskości. Kobiety i oczekiwania, jakie stawia przed nimi społeczeństwo. (...)

Dzięki Tinderowi poznałam zaskakujące słownictwo. Wygląd fizyczny i cechy osobowości dzielą się na ściśle określone kategorie. Weźmy twarz. Do najbardziej popularnych należą „solne” i „cukrowe”. Szczęśliwcy, których oblicze spełnia wyśrubowane kryteria – w pierwszym przypadku są to delikatne rysy i blada cera, w drugim

okrągła i dziecinna buzia – ochoczo to podkreślają. Niektórzy szukają kobiety o twarzy *tanuki* („słodkiej”, z małym noskiem i dużymi oczami), inni opisują siebie jako *Shōwa*, co znaczy, że mają charyzmę, a jednocześnie cenią prostotę i są serdeczni w kontaktach z ludźmi. Jeszcze inni mężczyźni porównują się do psów pod względem wyglądu: miła twarz, duże, *tare* – czyli „opadające” – oczy, albo zaznaczają, że przypominają czworonogi z charakteru: wierni, tryskający entuzjazmem, wymagający nieustannej uwagi – są jak szczenięta, które wszędzie podążają za swoim panem.

Jasno określa się własne potrzeby i wychwala atuty. Jedni zapewniają *amaeru*, co znaczy, że ich partner będzie zawsze mógł na nich liczyć, będzie rozpieszczany, nie będzie musiał się martwić, że cokolwiek ich urazi. Inni określają siebie jako *amaenbo*, ponieważ mają ogromne potrzeby emocjonalne. Słowo *amaenbo* w pierwszym znaczeniu odnosi się do rozpieszczonego dziecka lub takiego, które ciągle domaga się uwagi. Jest echem jednego z powodów, dla których część Japonek nie chce wychodzić za mąż. (...)

Na profilach faceci zdradzają oczekiwania, jakie mają wobec kobiet, oraz ujawniają szufladki, w których je umieszczają. Nie skąpi się pochwał dziewczynom *saba saba*, postrzeganym jako pozytywne, naturalne, takie, które „nie zadzierają nosa”, a pod ostrzałem są „samozwańcze *saba saba*”, bo tylko udają bez troskę, a w rzeczywistości mają wygórowane wymagania. Surowa krytyka spada też na *kojirase*, „skomplikowane dziewczyny”, ponieważ ich brak pewności siebie prowadzi do niestabilności na poziomie emocjonalnym. Wielu mężczyzn szuka *nori gaii*, dziewczyn złaknionych przygód. To etykieta łatwej dziewczyny. Równie często istotnym kryterium bywa czystość. Pożądane są kobiety będące ucieleśnieniem niewinności i naiwności. Takie, którym brakuje doświadczenia. (...)

Zaskoczyło mnie jednak, jak duże znaczenie przywiązuje się do grupy krwi. Na randkach standardowo

padało pytanie o tę kwestię, ponieważ Japończycy oceniają ludzi według tego kryterium. Na półkach księgarń mnożą się książki na temat znaczenia grup krwi, szczególnie te poruszające zagadnienie powinowactwa dusz, do którego prowadzi dopasowanie na tym polu. Podawanie grupy krwi na profilu randkowym jest czymś normalnym. Grupy krwi celebrytów, bohaterów programów typu reality show, a nawet polityków są powszechnie znane. Nawet postaci z anime czy gier wideo mają przypisaną konkretną grupę.

Czynnik Rh nie ma większego znaczenia, ponieważ 99% populacji ma grupę Rh+. Ja mam 0, co czyni mnie „urodzonym przywódcą, optymistą, osobą pewną siebie, dynamiczną, która potrafi mówić, co myśli, w sposób naturalny”. Z tego właśnie powodu „czasami jestem postrzegana jako arogantka” i podobno „mam problem z wyrażaniem swoich uczuć”, a także „boję się odrzucenia”. To charakterystyka, którą

Podawanie grupy krwi na profilu randkowym jest czymś normalnym. Liczy się ona nawet podczas rekrutacji do wielu firm.

z łatwością można odnieść do 30% japońskiej populacji, ponieważ grupa 0 znajduje się na drugim miejscu po najpowszechniejszej grupie A. Większość japońskich premierów ma grupę 0.

Osoby z grupą A cieszą się opinią świetnie zorganizowanych pracowników, uprzejmych, uważnych na szczegóły, rasowych dyplomatów. Grupa B jest ich absolutnym przeciwieństwem: ekstrawertycy, do bólu szczerzy, samolubni...

Najrzadsza grupa AB obejmuje nierozumianych marzycieli, którzy odstają od większości. Tak właśnie przedstawił się niejaki Kento na naszej pierwszej randce. „Jestem AB. *Kawatta hito*. A ty?” *Kawatta hito* dosłownie znaczy „inna osoba”. Ale w odniesieniu do czego? Nie lubię tego wyrażenia. Niektórzy używają go, by wyróżnić się z tłumu jako odrębne byty, lecz przecież jego wydźwięk może być też pejoratywny. W Japonii istnieje *burahara* lub *blood haras-*

ement, czyli zjawisko dyskryminacji ze względu na grupę krwi.

Owa koncepcja, której korzenie sięgają początku XX w., wywodzi się z eugeniki i została przejęta przez nazistów. W 1927 r. profesor psychologii Takeji Furukawa wydał publikację „Studium temperamentów na podstawie grup krwi”, choć swoje badania przeprowadził na zaledwie 11 osobach z najbliższej rodziny. W 1933 r. środowisko naukowe ostro skrytykowało jego tezy, lecz książka odniosła ogromny sukces czytelniczy, a sama idea zapuściła korzenie w głowach Japończyków. W latach 70. dziennikarz i prawnik Masahiko Nomi, choć nie był naukowcem, przyczynił się do popularyzacji tej teorii, lecz w wersji oczyszczonej z rasistowskich i eugenicznych naleciałości. Na lukratywnej fali New Age’u razem z synem napisał ponad 65 książek, które sprzedał w ponad 6 mln egzemplarzy. Grupa krwi liczy się nawet podczas rekrutacji do wielu

firm. W 2004 r. temat pojawił się w ponad 70 programach telewizyjnych. W konsekwencji Broadcasting Ethics & Program Improvement Organization (BPO, Organizacja ds. Etyki i Doskonalenia Programów Telewizyjnych) wystosowała oficjalny komunikat, aby powstrzymać nadawanie potencjalnie niebezpiecznych treści propagujących negatywne stereotypy. (...)

Kilka lat później razem z Seina pojechaliśmy do świątyni Daijingu w centrum Tokio, który cieszył się popularnością, ponieważ rzekomo zapewniał szczęście w miłości. Sprzedają tam *omikuji*, karteczki, które się losuje, żeby poznać przyszłość na podstawie grupy krwi. Rozmowa naturalnie zeszła na ten temat, a Seina wyznała, że gdy swipec’uje profile w internecie, nigdy nie chce mieć matcha z osobami z grupą B i AB. Nawet nie próbowałam jej od tego odwozić. Każdy ma swoje małe dziwactwa. (...)

► Walentynki to jedno z moich ulubionych świąt w Japonii. Tutaj to kobiety obdarowują mężczyzn czekoladkami. Kilka tygodni wcześniej supermarkety i sklepy „wszystko za 100 jenów” (czyli ok. 78 eurocentów) zapęniają się pudełkami w kształcie serc, ale już wieczorem 13 lutego półki w alejkach ze słodyczami świecą pustkami. Następnego dnia czekoladki przemawiają własnym językiem. Ukochanemu wręcza się czekoladki rzemieślnicze lub domowej roboty, *honmei choco*. Przyjaciołom: *tomo choco* (*tomo* pochodzi od *tomodachi*, „przyjaciół”). Kolegom z pracy i wszystkim tym, którym czujemy się mniej lub bardziej zobowiązane, daje się *giri choco*, czyli w dosłownym tłumaczeniu „obowiązkowe czekoladki”, generalnie niedrogie. W ostatnich latach pojawiły się nawet reklamy zachęcające do zakupu *jibun choco*, czyli czekoladek dla siebie. W niektórych firmach zakazano tej tradycji, żeby uwolnić pracownice od obciążenia finansowego i psychicznego wynikającego z kulturowego przymusu.

Z komercyjnego potencjału walentynek próbują skorzystać także inne nieoczekiwane branże. W supermarkecie zaskoczył mnie plakat głoszący, że nie wszyscy mężczyźni lubią czekoladę i słodycze. Poniżej niego znajdowało się zdjęcie *kamaboko*, różowo-białego surimi – edycja specjalna w kształcie serca. Kupiłam pudełko dla mojego najlepszego przyjaciela Gabriela, który mieszka w Japonii od ponad 10 lat, choć trafił tu przez przypadek, gdy przyjął ofertę pracy nie do odrzucenia. Zapakowałam surimi w małe ozdobne pudełko z czerwoną wstążką. Kiedy Gabriel otworzył prezent, wybuchnął śmiechem: „Surimi jest zawsze trafionym prezentem!”.

Miesiąc później wypada Biały Dzień, święto stworzone przez cukierników i szansa dla mężczyzn na odwzajemnienie się. Prezent musi być biały i trzykrotnie przewyższać wartość walentynkowe czekoladki. Przestrzega się tej zasady do tego stopnia, że

pewnego razu Seina, która obdarowała wszystkich kolegów z pracy czekoladkami, wezwała mnie na ratunek, abym pomogła jej przejeść górę ciast i cukierków otrzymanych w ramach podziękowań.

Miesiąc pomiędzy walentynkami a Białym Dniem musi się niemiłosiernie dłużyć, kiedy się czeka na odpowiedź. Podziwiałam odważne młode dziewczyny, które postanawiają wyznać miłość za pomocą pudełka czekoladek.

Japończycy często uważają się za nieśmiały. Nie jestem jednak do końca przekonana, czy naprawdę tacy są. Moi nauczyciele, przyjaciele i znajomi z pracy ciągle powtarzali: „Za dużo myślimy”. Dowodem tego jest język i jego niuanse, a także skomplikowane reakcje na nieoczekiwane wydarzenia.



Fragmenty książki Vanessy Montalbano *Tokyo Crush. Jak szukałam miłości w Japonii*, przeł. Adriana Celińska, Znak Literanova, Kraków 2025



Filharmonia
Narodowa

MIŁOŚĆ

14/15.02

Koncert walentynkowy

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej

Eiji Oue – dyrygent, Bartosz Michałowski – dyrektor chóru

Signum Saxophone Quartet

Bernstein, Bolcom, Argento

Na koncerty zaprasza
Strategiczny Mecenasa Roku
Filharmonii Narodowej



Bank Polski

Organizator

filharmonia.pl

MKiDN

Strategiczny
Mecenas



Bank Polski

Mecenas



Polska Grupa Energetyczna

Sponsor



TAVEX

PROFILAKTYKA, CZYLI ODRO CZONA NAGRODA

Jak zapobiegać chorobom układu sercowo-naczyniowego

Dr n. med. Anna Słowikowska
i Tomasz Słowikowski

Zapobieganie chorobom układu sercowo-naczyniowego stanowi duże wyzwanie, ponieważ oczekiwanie na efekt, jakim jest brak choroby, jej opóźnienie czy też łagodniejszy przebieg, jest trudne. Nagrodę otrzymuje się późno, no i nie ma pewności, czy te wszystkie wyrzeczenia rzeczywiście mają sens. Wiadomo, że nie należy jeść trujących grzybów. Żaden w miarę rozsądny człowiek nie zje muchomora sromotnikowego, bo na fatalne efekty nie trzeba czekać długo – bez pilnej interwencji toksykologa nikt nie ma szans. W czasie pandemii spowodowanej SARS-CoV-2 nikt, kto znajdował się w grupie ryzyka i miał chociaż odrobinę oleju w głowie, nie wpadał na pomysł zaproszenia na wspólny obiad zakażonej osoby, bo wystarczająco dużo tragicznych obrazów widział w relacjach telewizyjnych z Włoch, Indii, Brazylii czy Nowego Jorku.

W przypadku miażdżycy, cukrzycy czy nadciśnienia tętniczego sprawa nie jest prosta, ponieważ nikt nie obserwuje na bieżąco rozwoju blaszek miażdżycowych w swoich tętnicach. Niebezpieczeństwo narasta podstępnie i powoli. Nie jesteś przecież świadkiem zgonu przyjaciela, który minutę temu zjadł pyszną, tłustą golonkę, obfity i słodziutki deser, a po konsumpcji zapalił ze smakiem ze trzy papieroski, leżąc miło w fotelu. Widzisz szczęśliwego, zadowolonego człowieka. Od sporadycznych niezdrowych przyjemności nikt nie umrze, fakt. Problem polega na tym, że epizodyczne szaleństwa jednych

dla drugich stają się codziennym nawykiem i jest to prosta droga do chorób przewlekłych, a nawet katastrofy, jeśli na to wszystko nałożą się niekorzystne predyspozycje genetyczne. Czas spędzony w fotelu z książką i ciastkiem jest miły i nie zasługuje na linczowanie, ale spędzanie tygodni czy miesięcy bez ruchu oraz w towarzystwie wielu ciasteczek nigdy nie kończy się dobrze.

Dlaczego jedni z nas potrafią docenić rolę profilaktyki i stosować się do jej zasad, a drudzy nie?

Odpowiedź nie jest taka prosta. Na pewno jest ci znany słynny eksperyment z piankami amerykańskiego psychologa Waltera Mischela z Uniwersytetu Stanforda, bardzo

oczekiwania ma pewien związek ze statusem materialnym rodziców: im bardziej zamożna była rodzina, z której pochodzili dzieci, tym bardziej maluchy były skłonne pocze-kać. Niemniej według badaczy eksperyment pozwolił na wyciągnięcie ogólnego wniosku, że umiejętność oczekiwania na gratyfikację jest cenną cechą pomagającą w odnoszeniu sukcesów.

Pomyśl, sportowcowi też nikt nie da gwarancji, że dzięki swojej długoletniej, żmudnej pracy osiągnie sukces w przyszłości, podobnie muzykowi – że po latach ćwiczeń na instrumencie zostanie wirtuozem i zdobędzie nagrodę w prestiżowym konkursie.

Od sporadycznych niezdrowych przyjemności nikt nie umrze. Ale epizodyczne szaleństwa jednych dla drugich stają się codziennym nawykiem.

często przywoływany przy różnych okazjach. Przypomnijmy go. Chodzi o dzieci, którym obiecano słodkie pianki. Dzieci, które zgodziły się nie zjadać pianki od razu, tylko pocze-kać 15 minut, otrzymywały kolejną piankę jako nagrodę za oczekiwanie. Część dzieci zjadała pianki natychmiast, ponieważ nie była w stanie pocze-kać na nagrodę. Po latach sprawdzono, jak potoczyły się losy dzieci. Wyciągnięto wnioski, że te, które potrafiły oprzeć się pokusie zjedzenia pianek tuż po ich otrzymaniu, w dorosłym życiu osiągnęły większe sukcesy niż te mniej cierpliwe. Po wielu latach powtórzono eksperyment na znacznie większej liczbie osób i wyniki nie były aż tak spektakularne. Okazało się, że umiejętność

No, ale bez tej pracy sukces nie przyjdzie na pewno. Nikt nie osiąga perfekcji w graniu na instrumencie po dwóch tygodniach ćwiczeń. W przypadku chorób układu sercowo-naczyniowego będących konsekwencją miażdżycy perspektywa oczekiwania na nagrodę, czyli uniknięcie zawału serca, chorób tętnic obwodowych, udaru mózgu, też jest długa. Profilaktykę należałoby zacząć właściwie od urodzenia, wdrażając zdrowy styl życia od najmłodszych lat. W przypadku dzieci chodzi o uchronienie ich przed dymem papierosowym, otyłością, brakiem ruchu i snu, a w sprawach żywieniowych decydujący głos powinni mieć pediatrzy, to oni są ekspertami w dziedzinie żywienia najmłodszych. ▶

► W swojej praktyce kardiologicznej często spotykam się z pacjentami w układzie wielopokoleniowym. Ojciec lub dziadek, który wyszedł ze szpitala, przyprowadza do mnie swojego syna i wnuka, bo chce, żeby poważnie zajęli się sobą, póki jeszcze jest czas. Córka, która przywozi mamę do szpitala, zawsze pyta, co może zrobić, aby w przyszłości uniknąć miażdżycy. Ci, którzy zauważyli związek przyczynowo-skutkowy między chorobą wieńcową a swoim wieloletnim kiepskim stylem życia albo genami, chcieliby ochronić bliskich, póki jest to jeszcze możliwe. Udar mózgu przyjaciela, konieczność operacji przyjaciółki, która z nienacką wylądowała w szpitalu, przywieziona z pracy z bólem w klatce piersiowej (a przecież przez wiele lat wydawało się, że jest zdrowa, na nic się nie leczyła, nie skarżyła, była szczupła, no, tylko paliła papierosy), bywają impulsem do podjęcia zmian, bo niebezpieczeństwo utraty zdrowia i sprawności okazuje się czymś realnym, a nie typową nudną gadką lekarzy (czyż oni naprawdę nie potrafią mówić o niczym przyjemnym?).



– sprawia, że wydają się one niemożliwe do przestrzegania i chyba nie ma sensu się przejmować jakąś profilaktyką, bo tylko można stracić całą radość życia. Poza tym ci, którzy codziennie pracują na swoje utrzymanie i nie dysponują nadmiarem czasu, są często poirytowani wszechobecną „religią fitness” i kultem młodego ciała. Zwłaszcza

Dlatego wyjaśnimy kilka najbardziej drażliwych tematów.

Gorący temat nr 1: kawa

Praktycznie każdy pacjent pyta z nieśmiałością i pewnym zażenowaniem (naprawdę, przysięgam, tak jest!), czy po wyjściu ze szpitala może wypić chociażby ćwierć filiżanki słabej kawy na tydzień. Pacjenci

wracający na oddział z bufetu szpitalnego z kawą na widok lekarza bardzo często chowają ją za siebie, gotowi się poparzyć, aby się nie wydało, że

prowadzą niezdrowy tryb życia. Nie pamiętam, ile razy byłam proszona, żeby wyjaśnić rodzinom pacjentów, że współczesna nauka nie znalazła dowodów na szkodliwość kawy (wystawiać pisemne zgody na picie kawy też mi się zdarzało). Niestety, wielu pacjentów miało szlaban na kawę od lat (na papierosy nie), dopiero w szpitalu uzyskało wiedzę, że kawa nie jest czynnikiem odpowiedzialnym za miażdżycę i „wylew” (proszę, używajcie słowa udar). Pewne stereotypy są wieczne. Według wszystkich wytycznych i analizowanych prac naukowych nie możemy obwiniać kawy o szkodliwe działanie na układ sercowo-naczyniowy.

Odniesiesz sporo korzyści, jeśli polubisz jakąkolwiek formę ruchu.

Zastanówmy się, dlaczego większość ludzi nie znosi słowa „zapobieganie”, a inni na dźwięk wyrazu „profilaktyka” dostają nieprzyjemnych dreszczy. Za tę niechęć można winić wiele czynników. Głównym z nich jest brak rzetelnej edukacji na temat procesów toczących się w organizmie. Brak tej wiedzy przekłada się na wiarę w medyczną „magię”. Poza tym zaśluszane byle gdzie liczne nieracjonalne zakazy powodują, że nikt nie wierzy w te uzasadnione. To trochę tak jak ze znakami drogowymi. Nadmiar niepotrzebnych w pewnym momencie prowadzi do ignorowania tych naprawdę ważnych. Liczba zakazów – często nieuzasadnionych

że nieskazitelne ciała w kolorowych pismach nie są wyłącznym efektem ćwiczeń, picia specjalnych mikсів, odżywek itp. – specjaliści medycyny estetycznej i spece od obróbki zdjęć pewnie przyznają mi rację.

Według „recept” niektórych blogerów należałoby rzucić pracę, zamieszkać w sali gimnastycznej i popijać cudowne eliksiry wiecznej młodości. Liczba mitów i bzdurnych teorii na temat zdrowia przyprawia o zawrót głowy. Codziennie rozmawiam z pacjentami poddawany mi operacjom serca oraz ich bliskimi i przekonuję się, że zdecydowana większość ludzi nie zna podstaw profilaktyki chorób układu krążenia.

Wręcz przeciwnie, kawa jest dobra dla serca i tętnic, oczywiście z kilkoma wyjątkami. Jeśli z uwagi na zawartość kofeiny powoduje u kogoś przyspieszenie czynności serca, to nie ma sensu jej pić. Są osoby, które nie piją kawy z powodu wyjątkowej wrażliwości na kofeinę. Ale nie ma dzisiaj naukowych podstaw do zabrania komukolwiek picia kawy i generalizowania, że szkodzi sercu i tętnicom.

Gończy temat nr 2: seks

Wiele osób uważa, że seks jest wyjątkowo szkodliwy dla serca, i pomimo braku przeciwwskazań kardiologicznych unika aktywności seksualnej. Nawet nie dlatego, że seks nie jest im potrzebny do szczęścia (nie dla każdego seks jest w życiu istotny, i to normalne), ale ponieważ myślą, że to wyrzeczenie jest niezbędne, aby uniknąć śmierci. W tym czasie rozpadają się związki, niektórzy lądują w gabinetach psychoterapeutów z zaburzeniami lękowymi i depresyjnymi – zupełnie niepotrzebnie.

Gończy temat nr 3: jedzenie

Udowodniono, że zła dieta niekorzystnie wpływa na organizm, to nie podlega dyskusji. Ale zdrowe żywienie nie oznacza jedzenia siana i tektury. Zapytaj vegetariana, czy marzy o codziennej porcji tłuszcikowej karkówki. Nie, lepiej nie pytać, nie narażaj go na to nieprzyjemne wyobrażenie. Od vegetariana natomiast, nawet jeśli lubisz mięso, możesz nauczyć się kilku sensownych przepisów na dobre, warzywne potrawy. „Zdrowe” nie oznacza „niezdrowe”. Smaczne, proste jedzenie naprawdę daje dużo radości, zwłaszcza spożywane w miłym towarzystwie. Czy to naprawdę takie trudne przerzucić kilka kanałów w telewizji lub stron w internecie i podpatrzeć, co dobrego i zdrowego gotują kucharze? A może warto zainspirować się kuchnią włoską albo azjatycką? Niewykluczone też, że twoja babcia czy partner potrafią z prostych produktów wyczarować równie niezwykle danie co najlepsi szefowie kuchni.

Gończy temat nr 4: ruch

Nie musisz katować się ruchem, który uważasz za mało przyjemny.

To nie ma sensu. Wybierz taką formę, która ci odpowiada. Dla jednych będzie to tenis, dla drugich taniec i gra w koszykówkę, a jeszcze inni są fanami domowych ćwiczeń i szybkich spacerów w drodze z pracy. Zamknięcie siłowni i klubów fitness podczas pandemii dla wielu było trudne. Zwykle oprócz porcji ruchu otrzymywali dawkę dobrego humoru w gronie znajomych i trenerów. Ale nie musisz mieć wyrzutów sumienia, jeśli nie spędzasz całego życia na siłowni, przesada w żadnej dziedzinie nie jest dobra. Odniesiesz sporo korzyści, jeśli polubisz jakąkolwiek

gdy z powodu pracy spędzasz przy biurku, przed komputerem 10-12 godzin dziennie, ale bez pracy nie ma pieniędzy, a bez pieniędzy trudno o siebie zadbać, jak poprawiające się wyniki badań, gdy czarno na białym widzisz, jak rośnie HDL-C (stężenie cholesterolu w lipoproteinach o dużej gęstości – to te dobre lipoproteiny), a spadają TG (trojglicerydy) i LDL-C (stężenie cholesterolu w lipoproteinach o małej gęstości). Zauważalne, konkretne, mierzalne efekty są silnym motywatorem do wytrwania w tych początkowo niełatwych zmianach.

Współczesna nauka nie znalazła dowodów na szkodliwość kawy. Niestety, wielu pacjentów miało szlaban na kawę od lat (na papierosy nie).

formę ruchu. Warto skonsultować się z dobrym fizjoterapeutą, jeśli spędzasz długie godziny przed komputerem i bóle kręgosłupa to twoja codzienność. Fizjoterapeuta na pewno dobierze taki zestaw ćwiczeń, aby przyniosły ci ulgę i pomogły pozbyć się bólu.

Gończy temat nr 5: papierosy

Są złe, nawet w minimalnych ilościach. Także dla biernych palaczy. Rzucenie jest trudne? Nikt nie mówi, że pozbywanie się nałogów jest proste. Ale decyzja należy wyłącznie do ciebie. A e-papierosy? Również wywierają negatywny wpływ na zdrowie, kpiną jest twierdzenie, że nie są szkodliwe.

Czy istnieją jakieś nagrody, które można otrzymać wcześniej i dzięki którym można zobaczyć efekty swoich starań?

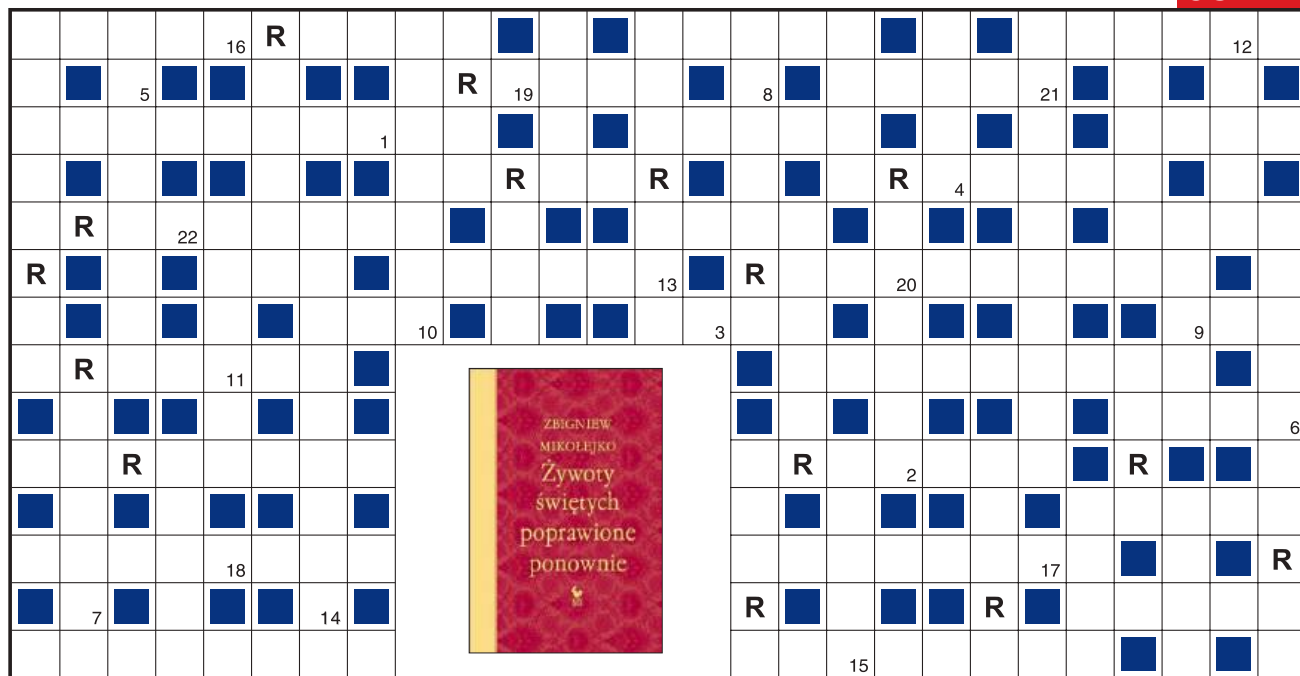
Oczywiście, że tak. Pacjentom gotowym na zmianę stylu życia, która jest niezbędnym warunkiem poprawy stanu zdrowia, polecam wykonanie lipidogramu przed wdrożeniem zmian oraz w trakcie wyrabiania nowych, zdrowych nawyków. Nic tak nie motywuje do utrzymania dobrego stylu życia (co wcale nie jest łatwe,

Tylko początki są trudne. Jeśli komuś uda się solidnie schudnąć, poczuje się zdrowiej, atrakcyjniej, wręcz zacznie mieć sam do siebie pretensje, że zabrał się do tego tak późno. Zdrowe jedzenie okazuje się czymś smacznym. („Jak mogłem zjadać te obrzydliwe tony tłustych potraw i wysoko przetworzonych dań, pełnych tłuszczów trans, skoro tyle świetnych warzyw mogę kupować od zaprzyjaźnionych rolników czy przedsiębiorców prowadzących uczciwe gospodarstwo”). Ruch w formie np. tańca, biegania czy nawet odpowiednio dobranych ćwiczeń domowych daje mnóstwo przyjemności, nie mówiąc już o filiżankach pachnącej kawy. Gończy temat nr 2 nie wymaga komentarza.

Możliwość zredukowania dawek leków na nadciśnienie po zrzućeniu kilku kilogramów też jest bardzo kusząca (więcej pieniędzy zostaje w kieszeni). Poprawa wrażliwości na insulinę w przypadku chorych na cukrzycę, a czasem nawet rezygnacja z insuliny podawanej podskórnie – również.



Fragmenty książki dr n. med. Anny Słowikowskiej i Tomasza Słowikowskiego *Serce w dobrym stylu*, Marginesy, Warszawa 2025



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- ...Darski, czyli Nergal
- francuski sos z oliwy i czosnku
- likier kminkowy (rymuje się z malarzem)
- pani dzwoniąca z sondazowni
- gazele, gnu i elandy
- piłkarz Milik lub aktor Jakubik

- w konstytucji, kodeksie i gazecie
- Bachofen-Echt z obrazu Klimta lub Emmuska Orczy
- lekkie ciasto na tort
- nazwisko odkrywcy grobowca Tutanchamona
- zamieniona w drzewo laurowe

- stolica Syrii
- legenda jazzu Brubeck lub Gahan z Depeche Mode
- ma niepełne święcenia
- w tych z betonu nie ma wolnej miłości
- o kimś osobliwym, zmanierowanym
- Orestes zabił jego i Klitajmestrę
- grana jako sygnał lub na cześć
- cztery podstawowe Księżyca
- nogi w niego – krzywe
- mały, ciągliwy cukierek śmietankowy
- imię autora „Mostu na Drinie”
- atomu, komórki, Ziemi
- zawodowi oficerowie i podoficerowie

- sos z pomidorów
- dać go – odrzucić załoty
- o eleganckim stroju i wybitnej roli
- wstęp w tekście prasowym
- wyrób szaf, kanap i krzeseł
- maszyna do wyluskiwania ziarna z kłosów
- odprawiana przy ołtarzu
- „Moje serce to jest...” Ewy Bem
- stolica Bahamów
- nieznana wartość w równaniu
- zlecenie złożone u rzemieślnika
- opinia, nota, ewaluacja
- nad nią Frankfurt i Słubice
- największy przedstawiciel delfinowatych
- ostrożeń polny
- nóż do korowania, strugania
- pentagon

- rozprawianie w podnieceniu
- czule o drobnych dłoniach dziecka, kobiety
- odzew, odpowiedź
- szuka żony w programie z Manowską
- przesunięcie figury na szachownicy
- ser lub wędlina
- czysta wełna
- pancerz żółwia
- niektórzy mają pod nim nierówno
- drożyna
- wyczucie, subtelność w zachowaniu
- nervowe mruganie
- wnętrznosci
- ale zabawa!
- działanie zmierzające do popełnienia przestępstwa
- Lestat lub Edward Cullen
- przykrywka, zakrętka

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1208”. Do rozlosowania książki „Żywoty świętych poprawione ponownie” ufundowane przez Wydawnictwo Iskry. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 lutego 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1205” z nr. 4: Co oko widzi, w to umysł wierzy.
Nagrody otrzymują: Lidia Banaszkiewicz z Warszawy, Anna Dymalska z Wrocławia, Zbigniew Grzegorzewski ze Śremu.

Kowboj nie przyjedzie

Jim Mazurkiewicz miał być ambasadorem w Polsce. Tymczasem będzie nim Thomas Rose. Zamiast Polonusa w kowbojskim kapeluszu Donald Trump przysłała nam ortodoksyjnego Żyda w jarmułce. Znanego ze skrajnie proizraelskich poglądów.

Mazurkiewicz wołał: „Czuję się Polakiem! Jestem z tego dumny!”. Rose jest zupełnie inny. „Zadba o to, aby nasze interesy były reprezentowane w Polsce, i zawsze stawiał Amerykę na pierwszym miejscu”, napisał Trump w swoim portalu społecznościowym Truth Social. Bardzo ciekawe, jak na nowego ambasadora zareaguje polska prawica...

Z zapowiedzi Trumpa wynika, że nowy ambasador przyjedzie do Polski z krótkim przesłaniem – by pilnować spraw amerykańskich. I stawiać je na pierwszym miejscu. Mazurkiewicz, jakkolwiek by patrzeć, tego nie gwarantował.

A Rose? Obserwując jego aktywność, można być pewnym, że w promowaniu swojej wizji świata nie będzie się czuł ograniczany dyplomatycznymi konwenansami. Nie jest zawodowym dyplomatą, lecz biznesmenem i dziennikarzem. Przy tym jego dziennikarstwo sprowadza się do twardej, prawicowej publicystyki. Jest współgospodarzem konserwatywnego talk-show w radiu satelitarnym SiriusXM i podcastu Bauer and Rose. W jego ostatnim odcinku ocenił likwidowaną przez Donalda Trumpa amerykańską agencję pomocową USAID jako „największą operację prania pieniędzy demokratów w historii”. Trudno to uznać za język dyplomaty...

Jako prawicowiec i syjonista zabierał niedawno głos na platformie X w sprawie możliwego przyjazdu premiera Netanjahu do Polski, na uroczystości 80. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz. Krytykował Tuska,

że może aresztować Netanjahu. A potem, po liście Dudy do premiera i odpowiedzi rządu w tej sprawie, pisał: „Gratulacje dla Andrzeja Dudy za uniknięcie rozłamu w stosunkach USA-Polska, który stanął w obrobie Polski, przekonując Donalda Tuska do cofnięcia tej okropnej decyzji”.

Jeśli więc ktoś się zastanawiał, co też Andrzejowi Dudzie strzeliło do głowy, by pisać list do Tuska w sprawie Netanjahu, kiedy ten i tak nie zamierzał do Polski przyjeżdżać – mamy trop. Jest nim Thomas Rose.

Tych tropów może być zresztą więcej. Rose zamieszczał na platformie X m.in. swoje opinie na temat zmian wprowadzonych przez rząd w mediach publicznych. A także na temat Andrzeja Dudy, z którym spotkał się w grudniu 2024 r.: „Ogromnym zaszczytem było dla mnie spotkanie z największym przyjacielem Ameryki w Europie”.

Zdażył też wypowiedzieć się na temat wyborów prezydenckich w naszym kraju: „Nadchodzi czas decyzji przed wyborami prezydenckimi w Polsce, czy Polska chce zbliżyć się do centrum władz w Unii Europejskiej, (...) czy może Polska chce pozostać dumnym, suwerennym krajem, który spełnia swoje zobowiązania sojusznicze”. Poza tym „przyszłość polsko-amerykańskich relacji pozostaje w rękach Polaków i polskiego rządu”, a „prezydent Trump spogląda na Polskę optymistycznie”.

Tak oto zamiast człowieka, który łagodziłby polsko-amerykańskie kłoty i ukontentował amerykańską Polonię, Donald Trump przysłał do nas zaangażowanego publicystę, z konkretnym politycznym planem. Może być ciekawie.

Attaché

Niespodzianka na farmie krokodyli w Pierrelatte koło Awinionu – żółwik albinos. Takie osobniki to rzadkość wśród żółwi czerwono-brzuchych.
28 stycznia 2025 r.



PENETRACJE



RODZINNY WYPOCZYNEK NA DZIAŁCE



EKSPOZYCJA STAŁA UPAMIĘTNIAJĄCA POBYT
KAROLA NAWROCKIEGO W APARTAMENCIE
W MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ



Sarka Farka

Jak zaaresztują Morawieckiego
A jak Obajtka to ja biegnę
To Holecka



Ostateczny dowód na globalne ocieplenie,

proszę pana.

Zamiast śniegu w styczniu,
sypie już tylko Paweł Szopa.

KRAKÓW

EWA LIPSKA,
POETKA

Podziwiamy coraz to nowsze odkrycia naukowe. Jak twierdzą uczeni, epoka krzemowa zastąpiona zostanie niebawem epoką kwantową i otoczy nas wkrótce fala wszechświatów równoległych. Ale te osiągnięcia nie idą w parze z moralnością polityczną świata. Cóż – pozostaje nadzieja. Ale nadzieję trzeba wspierać. Czym trzeba wspierać? Oczywiście szeroko rozumianą kulturą i sztuką. Trzeba budować wartości, dla których warto żyć. Dlatego brońmy się przed przemysłem kulturalnym. Nie bójmy się zadawać trudnych pytań. Pochylajmy się nad sensem ludzkiej egzystencji. Dyskutujmy o nicości bytu i sytuacjach granicznych. Wsłuchujmy się w głos doświadczenia i bądźmy niepokornymi użytkownikami tego świata.

ANGORA

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Marianna Schreiber nominację otrzymała za całokształt. Za sumę bezprzykładowych aktów idiotyzmu, które już nawet nikogo nie gorszą, a tylko zawstydzają. (...) Drugą nominowaną została niejaka Kotula, polityczka udająca magisterkę. Kotula jest ikoną lewicowej miernoty, jaka współrządzi dziś Polską, wyszczekanej, bezwzględnej, ale pozbawionej honoru, klasy i powagi. Tłumaczenia, że zapomniała, pomyliła się, że jej w domu nie było, i w ogóle to sorry, są poniżej czegokolwiek. (...) Tytuł „Łachudry sezonu zima 2025” przyznaję Tomaszowi Sakiewiczowi, spryciarzowi, który przetrwał politycznych mecenasów. I nawet się upadł, bo wyssał niezłą kasę, jaką w ciągu ośmiu lat rządów tzw. prawicy do wyssania dostał. Cwaniak, który położył ogromne zasługi w szczuciu Polaków, gdy rozpoznał, że to się po prostu opłaca! Politycznie i finansowo! Kuty na cztery kopyta ekonom.

press

RAFAŁ PIKUŁA,
REDAKTOR PROWADZĄCY MAGAZYNU SPIDER'S WEB+

Niezależnie od tego, czy Krzysztofa Stanowskiego z Kanału Zero lubimy, czy nie, jest fenomenem dziennikarskim. Owszem, jest bezczelny, bywa prostacki, mściwy, małostkowy i wybiera sobie łatwe ofiary, ale dobrze czuje, w którą stronę zacierają media. Co najważniejsze, to nie on rozpędził lokomotywę taniej sensacji i polaryzujących tematów, tylko wsiadł do właściwego wagonika. Gra chłopaka z ludu, trybuna ludowego, ostatniego sprawiedliwego w świecie kłamstw. Nie układa się ze starymi mediami, dlatego go tak nie znoszą. Atakują albo pomijają. Zastanawia to, że materiały Kanału Zero nie są cytowane. Nawet jeśli są jakościowe.

STYL

NATALIA RYBICKA,
AKTORKA

Aktor chce grać, doświadczać nowego, szuka adrenaliny. Mały potrzebuje ciągłego świecenia. Więc także lęk: co będzie, jeśli zgaśniemy – czy ktoś znowu nas zapali? Jesteśmy zależni od ludzi, którzy nas zatrudniają. Ale to nie spędza mi snu z powiek. Może tylko czasem zastanawiam się, dlaczego nie jestem brana pod uwagę do jakichś zdjęć próbnych. Generalnie przez lata pracy nauczyłam się, że na pewne sprawy nie mam wpływu. Wiem, że zawsze daję z siebie 100%. Po prostu czasem reżyser widzi w roli kogoś innego. Drapanie pazurami i ustawianie się na ściankach? Nie umiem, są rzeczy ważniejsze. Ale cieszę się, że mogę się spełniać zawodowo.

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

Wyrazy 4-literowe 1	Wyrazy 5-literowe 3	Wyrazy 6-literowe 5
Wyrazy 4-literowe 2	Wyrazy 5-literowe 4	Wyrazy 6-literowe 6

ROZWIĄZANIA: OGON, CZEK, LIST, AURA, SERCE, OBAWA, GRUNT, EPOKA, KRATER, LUBLIN, ORZECH, CIEPŁO



Aby język giętki...

HANNA KRALL O CIEKAWOŚCI ŚWIATA

To dobra, pożyteczna postawa. Dlatego zostałam reporterką.

GUY SORMAN O DONALDZIE TRUMPIE

Jest matolem. Nie pracuje, cały dzień ogląda telewizję. Nie ma żadnego prawdziwego programu.

ANNE APPLEBAUM

O X (TWITTERZE) I FACEBOOKU

Tłumią tradycyjne dziennikarstwo i wszystko, co przypomina jeszcze wiadomości.

SĘDZIA ANNA PTASZEK

O MAŁGORZACIE MANOWSKIEJ

Nie przypominam sobie, żeby stawała w obronie sędziów karnie przenoszonych do innych wydziałów za obronę praworządności.

ADAM ZAMOYSKI O OSOBLIWOŚCI

Polska jest osobliwa. Natomiast nie jest na tyle osobliwa, by twierdzić, że jest wyjątkowa.

JAN P. MATUSZYŃSKI

O MĘSKIEJ WRAŻLIWOŚCI

Zrobiłem film o wrażliwym mężczyźnie i co w tym niezwykłego? Nieprawda, że „chłopaki nie płaczą”. Płaczą.

GABRIELA MUSKAŁA O GRANIU

Moja uniwersalna uroda i warunki fizyczne sprawiają, że mogę stać się każdym.

RENATA DANCEWICZ O PRACY

Nie jestem fanatyczną aktorką i nigdy nie byłam. Nie mam też parcia, żeby dostawać ambitniejsze, większe role.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
listy@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogółkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władacki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszna

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Dwa ślimaki

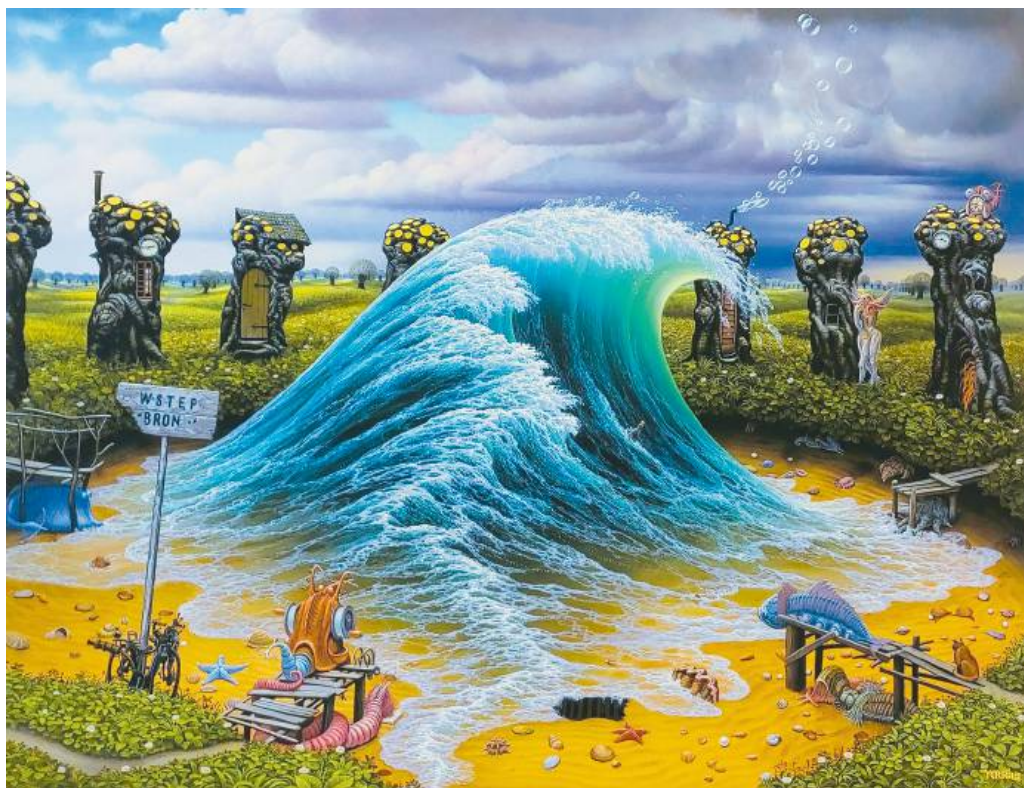


A na deser Toruń

WYŚNIONY ŚWIAT Sztuka Jacka Yerki

Jacek Yerka (właściwie Jacek Kowalski, ur. w Toruniu w 1952 r.), wybitny malarz, plakacista i ilustrator, wraca do rodzinnego miasta i na macierzystą uczelnię. Wystawa jego prac uświetnia obchody 80-lecia istnienia Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Jacek Yerka to artysta o nieograniczonej wyobraźni, autor obrazów o tematyce fantastycznej, często symbolicznej, zafascynowany malarzami włoskiego renesansu i złotej ery malarstwa niderlandzkiego. Osiągnął niezwykłą biegłość warsztatową i zaskakuje precyzją. Maluje powoli, w skupieniu, realizując pomysły dojrzewające miesiącami w szkicownikach, dzieła zaś prezentuje niezwykle rzadko.

Akademickie Centrum Kultury i Sztuki OD NOWA
Galeria Dworzec Zachodni
Toruń, ul. Jurija Gagarina 37A
do 7 marca



Prywatna fala

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WARSZAWSKI
♦ **TEATR CAPITOL** ♦
ZAPRASZA

**Zakochaj się
w Teatrze!**

Walentynki 13-15 lutego

GRAMY W CAŁEJ POLSCE

GDAŃSK • GDYNIA • KRAKÓW • KUTNO

LUBLIN • OLSZTYN • POZNAŃ

WARSZAWA • WROCŁAW • ZAMOŚĆ

♦ KUP



♦ www.teatrcapitol.pl ♦

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl f5d14a63a0



*Anaïs Demoustier
Jonathan Cohen
Edouard Baer
Gilles Lellouche
Pia Marmai
Romain Duris*

QUENTIN DUPIEUX
i SALVADOR DALÍ

*Dwie ikony
surrealizmu razem!
To się musiało udać!*



MOSTRA INTERNAZIONALE
D'ARTE CINEMATOGRAFICA
LA BIENNALE DI VENEZIA 2023
Oficjalna Selekcja



Daaaaali!

reżyseria
QUENTIN DUPIEUX
(„Deerskin”, „Wrong”)

w kinach od 14 lutego

